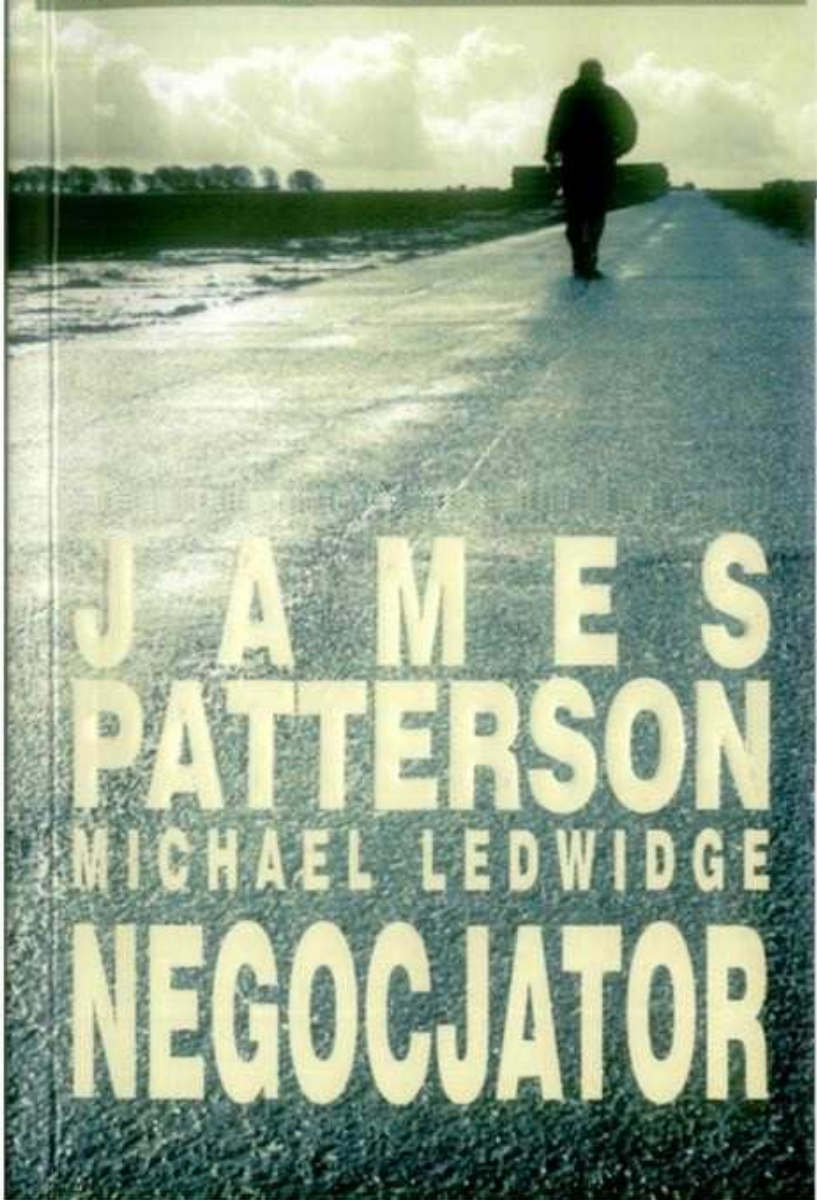


KTO ZABIŁ ŻONĘ PREZYDENTA USA I WZIĄŁ SETKĘ ZAKŁADNIKÓW?



**JAMES
PATTERSON
MICHAEL LEDWIDGE
NEGOCJATOR**



JAMES PATTERSON

James Patterson należy do ścisłej czołówki najpopularniejszych pisarzy amerykańskich, obok książek Browna, Grishama i Kinga, właśnie jego powieści najczęściej trafiają na światowe listy bestsellerów. Sławę przyniósł mu thriller *W sieci pajęka*, w którym po raz pierwszy pojawia się Alex Cross, czarnoskóry policjant i psycholog, specjalizujący się w tropieniu seryjnych zabójców (w postać tę dwukrotnie wcielił się Morgan Freeman). Patterson nigdy nie zawodzi czytelnika – każda jego książka to wciągająca mieszanka nieoczekiwanych zwrotów akcji, oszłamającego tempa narracji i nieustającego ani na chwilę napięcia.

Ameryka pogrąży się w żalobie po zagadkowej śmierci ukochanej Pierwszej Damy. Na pogrzeb żony byłego prezydenta USA w największej katedrze w Nowym Jorku przybywa elita: czołowi politycy, milionerzy, gwiazdy mediów. Ale podniosła uroczystość zamienia się w koszmar – uzbrojeni po zęby napastnicy dostają się do środka i biorą ponad setkę zakładników. Nie wahają się zabić kilkorga z nich, by udowodnić, iż grają śmiertelnie serio. Do akcji wkracza policyjny negocjator, detektyw Michael Bennett. Przez kilka dni będzie musiał stawić czoło najbardziej bezkompromisowemu przeciwnikowi, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. To na niego zwrócone są oczy świata, on poniesie odpowiedzialność za ewentualną porażkę. Tymczasem w szpitalu, po kilku latach heroicznej walki, umiera jego własna żona...

ISBN 978-83-7359-683-2



9 788373 596832

**J A M E S
PATTERSON
MICHAEL LEDWIDGE
NEGOCJATOR**

Z angielskiego przełożył

JERZY MALINOWSKI



WARSZAWA 2008

Tytuł oryginału:
STEP ON A CRACK

Copyright © James Patterson 2007
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by
Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2008

Copyright © for the Polish translation by Jerzy Malinowski 2008

Redakcja: Eliza Kujan
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-683-2

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYLÓWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: OpolGraf S.A., Opole

Dla W. i J. oraz czwórki ich dzieci C, M., A. i N.

Książkę dedykuję również Palm Beach Day Academy.

Dowód wdzięczności dla Manhattan College.

Dla Richiego, Deirdre i Sheilah.

A także dla MaryEllen, Carole i Teresy.

Postaw nogę na szczelinie, wkrótce
twoja matka zginie.

Postaw nogę na szczelinie, wnet
dopadną cię wilki czyhające w bramie
na ofiarę.

POWIEDZONKA Z MIASTA

Prolog

Ostatnia wieczerza

1

Kapitan w kremowej wieczorowej marynarce odwrócił się, kiedy Stephen Hopkins pochylił się nad stolikiem w ustronnym kącie sali i pocałował swoją żonę. Caroline zamknęła oczy, smakując szampana, i nagle poczuła szarpnięcie, kiedy Stephen złapał za cienkie jak spaghetti jedwabne ramiączko sukni od Chanel.

— Nie wiem, czy zauważyłeś, ale mój biust nie jest całkiem bezpieczny w tej sukni — zwróciła mu uwagę, kiedy Ochłoneła. — Jeśli będziesz się tak dalej bawił, może dojść do katastrofy. Jak moja szminka?

— Smakuje wyśmienicie — odparł Stephen z uśmiechem amanta filmowego. Teraz jego dłoń wylądowała na jej udzie.

— Skończyłeś pięćdziesiąt lat — strofowała go Caroline — nie piętnaście.

To niezwykle, pomyślała, strząsając rękę Stephena ze swojego uda, że wciąż może być tak wesoło z własnym mężem. Ich coroczna randka pod hasłem: „Boże Narodzenie w Nowym Jorku” z roku na rok stawała się coraz bardziej pasjonująca. Kolacja w L'Arene, prawdopodobnie najbardziej eleganckiej francuskiej restauracji w mieście, potem staroświecki spacer po Central Parku i wreszcie powrót do apartamentu prezydeńskiego w hotelu Pierre.

Już od czterech lat był to ich wspólny bożonarodzeniowy prezent. Z roku na rok ta randka stawała się coraz bardziej romantyczna i cudowniejsza.

Jak na zamówienie za oknami restauracji zaczął sypać śnieg, wielkie srebrzyste płatki osiadały na stożkowatych staromodnych latarniach przy Madison Avenue.

— Gdyby mogło się spełnić twoje życzenie, to co chciałbyś dostać pod choinkę? — zapytała niespodziewanie Caroline.

Stephen uniósł kieliszek ze złocistym szampanem Laurent-Perrier Grand Siecle Brut i zastanawiał się nad dowcipną odpowiedzią.

— Chciałbym... chciałbym... — zająknął do kieliszka i nagle jego dobry humor prysł, a na twarzy pojawił się smutek. — Chciałbym kubek gorącej czekolady.

Caroline otworzyła usta i zadrżała lekko.

Wiele lat temu ona i Stephen byli młodymi, tęskniącymi za domowymi pieleszami studentami Harvardu. Nie mieli nawet pieniędzy, by w święta odwiedzić rodzinę. Pewnego ranka jako jedyni studenci jedli śniadanie w olbrzymiej stołówce Annenberg Hall. Stephen przysiadł się do jej stolika. „Żeby było przytulniej” — powiedział wtedy.

Wkrótce wiedzieli, że oboje zamierzają specjalizować się w naukach politycznych. Na dziedzińcu, przed zbudowaną z czerwonej cegły Hollis Hall, Caroline rzuciła się na ziemię i zrobiła na śniegu orzełka. Kiedy Stephen pomagał jej wstać, ich twarze niemal się zetknęły. Szybko wzięła łyk gorącej czekolady zabranej ze stołówki tylko po to, żeby nie pocałować tego chłopaka, który zdążył już się jej spodobać, choć dopiero co go poznała.

Caroline wciąż miała w pamięci obraz uśmiechniętego Stephena w ostrym zimowym świetle. Fajnego chłopaka, który jeszcze wtedy nie wiedział, że się z nią ożeni. I że zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Do tej pory w jej uszach brzmiało pytanie, które zadał trzydzieści lat temu, kiedy odsunęła od ust kubek z czekoladą: „Szampana też lubisz?”.

Od gorącej czekolady do szampana, pomyślała Caroline, unosząc kieliszek z musującym płynem. A teraz od szampana idzie gorącej czekolady. Dwadzieścia pięć lat małżeństwa, Zatoczyli pełne koło.

Jakie było ich życie, zastanawiała się, delektując się tą chwilą. Szczęśliwe, interesujące i...

— Przepraszam, panie prezydencie — szepnął ktoś. — Bardzo przepraszam.

Jakiś blondyn o ziemistej cerze, w szarym dwurzędowym garniturze stał w odległości trzech metrów od ich stolika. Wymachiwał trzymanym w rękę menu i długopisem. Kierownik sali, Henri, pojawił się natychmiast, a wraz z nim Steve Beplar, agent Secret Service. Obaj próbowali dyskretnie usunąć intruza.

— Przepraszam — nieznajomy zwrócił się teraz do agenta głosem, w którym brzmiało przygnębienie. — Pomyślałem tylko, że może pan prezydent zechce podpisać moje menu.

— W porządku, Steve — odezwał się Stephen Hopkins, machając ręką. Spojrzał na żonę i uniósł ramiona w geście rezygnacji.

Sława, pomyślała Caroline, odstawiając kieliszek na nieskazitelnie czysty obrus, przekłętą sława.

— Czy może pan napisać dedykację dla mojej żony? Carla — rzucił intruz zza szerokich ramion agenta. — Carla to moja żona! — dodał nieco za głośno. — O mój Boże! Udało mi się! Mam niesamowite szczęście, że trafiłem na najlepszego prezydenta ostatniego stulecia. Jezu, spójrzcie! Ludzie, wyglądacie wspaniale! Szczególnie pani, pani Hopkins.

— Życzę wesołych świąt — powiedział Stephen Hopkins, uśmiechając się tak serdecznie, jak tylko potrafił.

— Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem — odezwał się mężczyzna, złożył ukłon i się wycofał.

— Przeszkadzać? — Stephen Hopkins uśmiechnął się szeroko do żony, kiedy mężczyzna zniknął. — Czy mąż Carli sądzi, że zniszczenie najbardziej romantycznej chwili można nazwać przeszkadzaniem?

Wciąż jeszcze się śmiali, gdy nagle z cienia wynurzył się kelner, postawił przed nimi talerze i równie szybko zniknął. Caroline z uśmiechem spojrzała na misterną konstrukcję swojej terrine z kaczych wątróbek. Jej mąż dopijał właśnie szampana.

To wygląda zbyt piękne by jeść, pomyślała Caroline, biorąc do rąk nóż i widelec.

Pierwszy kęs był tak eteryczny, że potrzebowała dłuższej chwili, żeby rozpoznać ten smak.

A potem było już za późno.

Poczuła, że fala gorącego powietrza wdziera się do jej płuc i krtani. Oczy o mało nie wyszły jej z orbit, srebrny widelec trzymany przy ustach wysunął się z ręki i z brzdękiem upadł na porcelanowy talerz.

— O Boże, Caroline! — usłyszała głos Stephena patzącego na nią z przerażeniem. — Steve! Pomocy! Coś się stało Caroline! Nie może oddychać!...

2

Boże, błagam, nie. To się nie może stać. Nie! — myślał Stephen Hopkins, słaniając się na nogach. Już otwierał usta, żeby ponownie krzyknąć, kiedy Steve Beplar chwycił stolik i odrzucił go na bok.

Kryształowe i porcelanowe naczynia z hukiem eksplodowały na wypolerowanej drewnianej podłodze, gdy agentka Susan Wu, kolejna z czwórki zaufanych ochroniarzy, ściągnęła panią Hopkins z siedzenia. Agentka włożyła Caroline palec do ust, sprawdzając, czy nie ma w nich resztek jedzenia. Następnie ustawiła się za nią, zaciśnięte pięści ułożyła pod jej klatką piersiową i zaczęła stosować chwyt Heimlicha.

Stephen czuł się tak, jakby jakaś lodowata dłoń ścisnęła mu serce. Bezradnie wpatrywał się w twarz żony, która z czerwonej stała się ciemnopurpurowa.

— Stop! Czekajcie! — zawołał. — Ona się nie udławiła, to alergia! Jest uczulona na orzeszki ziemne! Gdzie jej adrenalina?! Taka strzykawka w kształcie długopisu? Gdzie jej torebka?!

—W samochodzie na zewnątrz! — powiedziała agentka Wu. Puściła się biegiem przez salę restauracyjną i po chwili wróciła z torebką Caroline.

Stephen Hopkins wywrócił do góry nogami torebkę, wysypując jej zawartość na kanapę.

— Nie ma tu jej! — krzyknął, rozrzucając kosmetyki i perfumy.

Steve Beplar warknął coś do mikrofonu umieszczonego w rękawie, a potem zarzucił na ramię byłą Pierwszą Damę, jakby była zaspianym brzdącem.

— Czas pojechać do szpitala, sir — powiedział, ruszając w kierunku wyjścia. Osoby przebywające w restauracji z przerażeniem przyglądały się temu zajściu.

Chwilę później Stephen Hopkins, na tylnym siedzeniu policyjnego forda crown victoria, układał głowę żony na kolanach. Z jej gardła, niczym ze słomki do koktajli, dobiegał cichy świst. Patrząc w zwężone z bólu źrenice Caroline, cierpiał wraz z nią.

Lekarze z wózkiem czekali już na podjeździe, kiedy samochód, po pokonaniu ograniczających prędkość garbów w jezdni, zatrzymał się przed izbą przyjęć szpitala St. Vincent Midtown na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy.

— Podejrzewa pan reakcję alergiczną? — zapytał jeden z lekarzy, mierząc puls Caroline, podczas gdy dwóch sanitariuszy wносиło ją na noszach przez rozsuwane szklane drzwi do środka.

— Ma bardzo silną alergię na orzeszki ziemne. Od dziecka — wyjaśnił Stephen, biegnąc obok noszy. — Uprzedzono o tym kucharzy w L'Arene. Musiało wyniknąć jakieś nieporozumienie.

— Ona doznała wstrząsu, sir — powiedział lekarz. Kiedy nosze z Caroline minęły drzwi z tabliczką; „Tylko dla personelu”, powstrzymał gestem byłego prezydenta. — Musimy ustabilizować jej stan. Zrobimy wszystko, co...

Nieoczekiwanie Stephen Hopkins popchnął zaskoczonego lekarza.

— Nie zostawię jej teraz — powiedział. — Idziemy. To rozkaz!

Kiedy wchodził do pokoju zabiegowego, Caroline właśnie podłączano kroplówkę i zakładano maskę tlenową na twarz. Skrzywił się, widząc, jak rozcinają jej suknię aż do pępka, żeby podłączyć EKG.

Maszyna po włączeniu wydała z siebie przerażające, jednostajne buczenie, a na wydruku pojawiła się płaska czarna linia. Pielęgniarka natychmiast przystąpiła do resuscytacji.

— Strzelam! — wrzasnął lekarz i przyłożył elektrody do piersi Caroline.

Stephen patrzył, jak pod wpływem impulsu jej klatka piersiowa podskoczyła do góry i po chwili dało się słyszeć słabe pik-pik. Na przesuwającej się taśmie z wydrukiem pojawił się nagły, ostry szpic, potem jeszcze jeden.

Każdy z nich był znakiem bijącego serca Caroline Hopkins.

W kącikach oczu Stephena pojawiły się łzy ulgi — i nagle znów przeciągły, jednostajny dźwięk.

Lekarz kilkakrotnie próbował pobudzić defibrylatorem serce do pracy, ale maszyna wciąż wydawała z siebie ten jeden jednostajny ton. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętał być prezydent, to kolejny akt miłosierdzia lojalnego agenta Secret Service.

Steve Beplar, z oczami pełnymi łez, sięgnął ręką i wyciągnął z kontaktu wtyczkę wyjącego urządzenia.

— Bardzo mi przykro, sir. Ona nie żyje.

3

Blady blondyn, miłośnik autografów z L'Arene, kazał zatrzymać się czarnuchowi prowadzącemu taksówkę na Dziewiątej Alei, o jeden dom na północ od szpitala St. Vincent. Wepchnął dziesięciodolarówkę w brudny otwór i łokciem otworzył drzwi, starając się nie dotykać zatłuszczonej klamki. Nie na darmo nazywano go Czyścioszkiem.

Kiedy skręcał na rogu, obok niego z piskiem opon zahamowała furgonetka stacji telewizyjnej Channel 12 Eye-Scene. Zatrzymał się, kiedy zobaczył umundurowanych policjantów powstrzymujących napór gęstniejącego przed wejściem do izby przyjęć szpitala tłumu reporterów i operatorów kamer.

Nie, pomyślał. Niemożliwe! Czyżby już było po wszystkim?

Przechodząc na drugą stronę Pięćdziesiątej Drugiej, spostrzegł wyróżniającą się z tłumu zrozpaczoną kobietę ratownika medycznego.

— Proszę pani... — powiedział, podchodząc do niej. — Może mi pani powiedzieć, czy to tutaj przywieziono Pierwszą Damę Caroline?

Korpulentna Latynoska kiwnęła głową i nieoczekiwanie jęknęła. Po policzkach pociekły jej łzy. Drżące dłonie powędrowały do ust.

— Właśnie umarła — powiedziała. — Caroline Hopkins nie żyje.

Czyścioszkowi przez chwilę zakręciło się w głowie, jakby ogłuszył go nagły poryw wiatru. Zamrugał gwałtownie oczami i potrząsnął głową, jednocześnie zaskoczony i uszczęśliwiony.

— Nie — odezwał się. — Na pewno?
Podenerwowana kobieta chlipnęła i nieoczekiwanie padła mu w objęcia.

— Ay Dios mio! Ona była święta! To wszystko, co zrobiła dla chorych na AIDS! Kiedyś pojawiła się w Bronksie, tam, gdzie pracowała moja matka. Uścisnęła nasze dłonie jakby była królową angielską. To dzięki jej kampanii Service America zostałam ratownikiem medycznym. Dlaczego nie żyje?!

— Bóg jeden wie — odparł uspokajającym tonem Czyścioszek. — Ale teraz jest w Jego władaniu, prawda?

Czuł te miliardy zarazków, które nosiła w sobie kobieta. Wzdrygnął się na myśl o nieopisanym brudzie, z jakim musieli się stykać ratownicy z Nowego Jorku każdego dnia swej niewdzięcznej pracy. Biedna sanitariuszka z dzielnicy Hell's Kitchen!

— O Boże, co ja robię? — rzekła, wypuszczając go z objęć. — To przez te wiadomości... Przejęłam się. Byłam wstrząśnięta. Chciałam nawet kupić jakieś świece albo kwiaty, albo... sama nie wiem. To takie nierzeczywiste. Mam... mam na imię Yolanda.

— Yolanda? Tak... Cóż... Muszę już iść — powiedział Czyścioszek, kierując się ku ulicy.

Kiedy znalazł się po wschodniej stronie Dziewiątej Alei, wyciągnął telefon komórkowy. Po połączeniu się z restauracją L'Arene, wyraźnie słyszał w słuchawce brzęk naczyń i wygłaszane po francusku polecenia kucharzy.

— Załatwione, Julio — powiedział. — Nie żyje. A teraz zjeżdżaj stamtąd. Zamordowałeś Caroline Hopkins. Gratuluje.

Czyścioszek z trudem powstrzymał się przed pokiwaniem głową nad swoim szczęściem. Szczęście nic miało tu żadnego wpływu na bieg wydarzeń.

Trzy lata spędzone na planowaniu, pomyślał, skręcając w Czterdziestą Dziewiątą i kierując się na wschód, a teraz pozostały tylko trzy dni, żeby zwieńczyć dzieło.

Kilka minut później siedział na tylnym siedzeniu kolejnej taksówki jadącej Ósmą Aleją na północ. Z kieszeni wyjął kilka chusteczek odświeżających i starannie przetrął nimi ręce i twarz. Wygładził poły marynarki i złożył dłonie na kolanach, uciekając od brudu tego miasta.

Powiem ci, droga Yolando, co jest naprawdę niewiarygodne, pomyślał, kiedy taksówka gwałtownie skręciła na rondzie Columbus Circle i ruszyła Broadwayem.

Śmierć Lady Caroline to dopiero początek!

Część pierwsza

Dziesięciu wspaniałych

Rozdział 1

O ile na tak zwanych głównych ulicach Nowego Jorku trudno zwrócić czyjąkolwiek uwagę (no, może trudniej jest tylko złapać taksówkę w czasie ulewy), to nam tego ponurego grudniowego popołudnia się to udało.

Jeśli coś mogło poruszyć czułą strunę w sercach mieszkańców tego miasta, to właśnie widok mojego klanu Bennettów: trzyletniej Chrissy, czteroletniej Shawny, pięcioletniego Trenta, siedmioletnich bliźniaczek Fiony i Bridget, ośmioletniego Eddiego, dziewięcioletniego Ricky'ego, dziesięcioletniej Jane, jedenastoletniego Briana i dwunastoletniej Juliany. Cała ta gromada, ustawiona według wzrostu, kroczyła za mną gęsiego.

Miło było widzieć, że w ludziach zamieszkujących naszą zblazowaną metropolię pozostało jeszcze nieco przyjaznych uczuć.

Ale tym razem wszystkie kiwnięcia głową i ciepłe uśmiechy spacerowiczów, robotników budowlanych i sprzedawców hot dogów, które ciągnęły się za nami od stacji metra przy Bloomingdale aż do Pierwszej Alei, nie robiły na mnie zrażenia.

Miałem inne rzeczy na głowie.

Jedynym mieszkańcem tego miasta, który wyraźnie nie

miał ochoty na czule szczypanie dzieci w policzki, był starszy mężczyzna w szpitalnej piżamie, ukrywający w dłoni papierosa. Przesunął nieco stojak na kropłówkę, przepuszczając nas w drzwiach prowadzących do skrzydła, w którym leżeli nieuleczalnie chorzy pacjenci Centrum Leczenia Raka.

Założę się, że on też miał dość kłopotów na głowie.

Nie wiem, skąd New York Hospital bierze pracowników oddziału dla nieuleczalnie chorych, ale podejrzewam, że ktoś z działu kadr włamał się do komputera świętego Piotra i zwędził listę świętych. Ich nieustające współczucie i uprzejmość, z jaką traktowali mnie i moją rodzinę, były naprawdę godne podziwu.

Mimo to, mijając wiecznie uśmiechniętego Kevina z recepcji i anielską Sally Hitchens, przełożoną pielęgniarek, jedyne, na co było mnie stać, to ledwie zauważalne skinienie głowy.

Powiedzieć, że nie byłem specjalnie towarzyski, to zbytnia delikatność.

— Spójrz, Tom — powiedziała kobieta w średnim wieku do swojego męża, najpewniej odwiedzająca go w szpitalu — nauczyciel przyprował uczniów! Pewnie będą śpiewać kolędy. Czy to nie urocze? Wesołych świąt, dzieciaki!

Często nas to spotykało. Jestem z pochodzenia amerykańskim Irlandczykiem, ale moje dzieci, wszystkie adoptowane, to pełna gama ras. Trent i Shawna są Afroamerykanami, Rick i Julia Latynosami, a Jane Koreanką. Ulubionym programem telewizyjnym mojej najmłodszej jest Magiczny autobus szkolny. Kiedy przyniosłem do domu DVD, dziewczynka zawołała:

— Tato, to program o naszej rodzinie!

Wystarczy, że tylko założę na głowę czerwoną potarganą perukę i stanę się wysoką na metr osiemdziesiąt siedem, ważącą blisko dziewięćdziesiąt kilo, panią Loczek. I na pewno nie będę przypominał tego, kim jestem — starszego

detektywa w wydziale zabójstw nowojorskiej policji, rozjemcy i negocjatora.

— A znacie, dzieci, kolędę *It came Upon a Midnight Clear*?
— nalegała kobieta. Już zamierzałem w ostrych słowach wyprowadzić ją z błędu, ale Brian, mój najstarszy syn, kiedy zobaczył, że wszystko się we mnie gotuje, powiedział cichutko:

— Nie, proszę pani. Niestety, nie znamy. Ale możemy zaśpiewać *Jingle Bells*.

W windzie dziesiątka moich dzieciaków śpiewała na całe gardło *Jingle Bells*, aż dojechaliśmy na piąte piętro. Kiedy wysiadaliśmy, spostrzegłem w oczach kobiety łyzy szczęścia. Ona też nie spędzała tu wakacji, a mój syn wybrnął z sytuacji lepiej niż dyplomata ONZ, lepiej, niż kiedykolwiek mnie się udało.

Miałem ochotę pocałować go w czoło, ale jedenastoletni chłopak chyba by mnie za to zabił. Zamiast tego klepnąłem go po męsku w plecy i ruszyliśmy cichym, białym korytarzem.

Kiedy mijaliśmy dyżurkę pielęgniarek, Chrissy, obejmując swoją małą przyjaciółkę Shawnę, śpiewała już drugą zwrotkę piosenki *Rudolf czerwono-nosy renifer*. Dziewczynki w sukieneczkach, z misternie uczesanymi przez starsze siostry w koński ogon włosami, wyglądały jak małe figury.

Moje dzieciaki są wspaniałe. Po prostu zachwycające. Aż trudno w to uwierzyć.

Na końcu korytarza, naprzeciw wejścia do pokoju pięćset trzysta siedzi na wózku inwalidzkim kobieta w kwiecistej sukience, opinającej jej czterdziestokilogramowe ciało i w czapce baseballowej osłaniającej bezwłosą głowę.

— Mama! — wrzasnęły dzieci i w cichym dotychczas szpitalnym korytarzu rozległ się nagle tupot dziesięciu par nóg.

Rozdział 2

Objęło ją dziesięć par rąk naraz; sam nie wiem, jak dzieci zdołały to zrobić. Kiedy do nich doszedłem, było tych rąk już jedenaście par. Moja żona była na morfinie, kodeinie i perkocecie, ale za to widziałem, że otoczona wianuszkami swoich piskląt nie cierpi.

— Michael — szepnęła do mnie Maeve — dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Wyglądają wspaniale.

— Ty też — szepnąłem. — Chyba nie wstałaś znowu sama z łóżka?

Każdego dnia, kiedy ją odwiedzaliśmy, była ubrana, wendiflon ze środkami przeciwbólowymi starannie ukryty, a jej twarz rozpromieniona uśmiechem.

— Jeżeli pan nie lubi elegancji, panie Bennett — powiedziała moja żona, walcząc ze zmęczeniem widocznym w jej szklanym wzroku — to trzeba było się ożenić z kimś innym.

Po raz pierwszy Maeve zaczęła się skarżyć na ból brzucha w ostatni Nowy Rok. Myśleliśmy, że to zwykła poświąteczna niestrawność, ale kiedy minęły dwa tygodnie, a ból nie ustępował, lekarz postanowił, że na wszelki wypadek trzeba zrobić laparoskopię. Na jajnikach stwierdzono narośl, a wynik biopsji był wiadomością najgorszą z możliwych. Złośliwy

nowotwór. Tydzień później biopsja węzłów chłonnych macicy przyniosła jeszcze gorsze wieści. Rak się rozprzestrzenił.

— Pozwól, że tym razem ci pomogę, Maeve — szepnąłem, kiedy próbowała wstać z wózka.

— Chcesz, żebym zrobiła ci krzywdę — spojrzała na mnie — detektywie twardzielu?

Maeve z całych sił walczyła o życie i godność. Stanęła do heroicznej walki z rakiem, tak jak w latach pięćdziesiątych Jake LaMotta stanął do walki z Sugar Ray Robinsonem.

Sama była pielęgniarką i wykorzystała każdą znajomość, całą swoją wiedzę i doświadczenie. Przeszła tyle chemio- i radioterapii, że zaczęło to w końcu zagrażać jej sercu. Niestety, mimo wszystkich rozpaczliwych prób, mimo, że zrobiono wszystko, co dało się zrobić, tomografia ujawniła rozwijające się guzy w obu płucach, wątrobie i trzustce.

Patrząc na stojącą na drżących, wychudzonych nogach, opierającą się o wózek inwalidzki Maeve, przypomniałem sobie słowa LaMotty: „Nigdy nie posłałeś mnie na deski, Ray”. Tak pewnie powiedział, przegrywając nokautem technicznym z Robinsonem.

Nigdy nie posłałeś mnie na deski.

Rozdział 3

Maeve usiadła na łóżku i sięgnęła po leżącą obok białą kartkę.

— Mam coś dla was — oznajmiła łagodnym głosem. — Ponieważ wszystko wskazuje na to, że będę musiała pozostać dłużej w tym dziwnym miejscu, postanowiłam przygotować dla was listę prac domowych, które spadną na wasze barki.

Starsze dzieci jęknęły:

— Mamo!

— Wiem, wiem. Obowiązki. Kto je lubi? — powiedziała. — Oto, co wymyśliłam! Jeżeli będziecie działać zespołowo, nasze mieszkanie będzie jakoś funkcjonować, zanim zdołam wrócić. No jak, załogo? Zatem zaczynamy. Julio, ty odpowiadasz za kąpiel najmłodszych i za ich poranne ubieranie. Brian, ty zajmiesz się rozrywką, dobrze? Gry planszowe, wideo i tym podobne. Wszystko, co tylko przyjdzie ci do głowy, byle to nie była telewizja. Wszyscy młodzi ludzie mają mieć wypełniony wolny czas. Jane, ty będziesz nadzorować odrabianie lekcji. Do pomocy weź sobie Eddiego, naszego domowego geniusza. Rick, mianuję cię szefem od dużych śniadań w domu Bennettów. Pamiętaj, masło orze-

chowe i dżem dla wszystkich prócz Eddiego i Shawny — oni po nim głupieją. Idziemy dalej. Fiona i Bridget. Nakrywanie do stołu i sprzątanie. Możecie się zamieniać, uzgodnijcie to pomiędzy sobą.

— A ja? — zapiszczał Trent. — Jakie będzie moje zadanie? Nie mam żadnego zajęcia.

— Ty zajmiesz się butami, Trent — powiedziała Maeve. — Bez przerwy słyszę narzekania „gdzie są moje buty?”. Masz je wszystkie pozbierać i położyć obok łóżek. I nie zapomnij o swoich.

— Nie zapomnę — odparł Trent z zapalem pięciolatka.

— Shawna i Chrissy, dla was też mam zajęcia.

— Aha — odpowiedziała Chrissy i wykonała obrót godny baleriny. Miesiąc wcześniej dostała na urodziny płytę DVD Barbie z jeziora łabędziego i teraz wszystkie emocje wrazała zaimprovizowanym tańcem.

— Wiecie, gdzie w kuchni stoi miska Socky'ego? — zapytała Maeve.

Socky to kapryśny bury kot, którego Maeve przyniosła ze śmietnika za naszym domem. Moja żona zawsze miała słabość do pechowców i bezpańskich zwierząt. Najlepszym dowodem było to, że wiele lat temu wyszła za mnie za mąż.

Shawna przytaknęła z poważną miną. Mimo że miała dopiero cztery lata, była najspokojniejszym i najbardziej posłusznym z naszych dzieci. Śmiałyśmy się nieraz z Maeve z tego, co jest ważniejsze: geny czy wychowanie. Cała dziesiątka pojawiła się na świecie z wcześniej zaprogramowaną osobowością. Rodzice mogą ją nieco poprawić albo zupełnie zniszczyć, ale zmienić? Zmienić ciche dziecko w gadułę lub trzpiotkę w intelektualistkę? O nie. To niemożliwe.

— Zatem waszym zadaniem będzie dbanie o to, żeby Socky miał zawsze w misce wodę do picia. A, i jeszcze

jedno, moja bando — rzekła Maeve, kładąc się nieco na łóżku. Zbyt długie siedzenie sprawiało jej ból.

— Muszę jeszcze powiedzieć o kilku rzeczach, zanim zapomnę. W naszej rodzinie świętujemy urodziny wszystkich jej członków. I nieważne, czy ktoś ma cztery, czternaście czy czterdzieści lat, czy jest w domu, czy gdzieś w świecie. Musimy się trzymać razem, dobrze? I jeszcze posiłki. Póki mieszkacie pod jednym dachem, przynajmniej jeden posiłek powinniście spożywać wspólnie. Nieważne, że to jest wstrętny hot dog zjedzony przed ekranem paskudnego telewizora, istotne, żebyście byli razem. I ja też zawsze będę z wami. Rozumiecie? Trent, słuchasz, co mówię?

— Hot dogi przed telewizorem — odpowiedział Trent, uśmiechając się szeroko. — Uwielbiam hot dogi i telewizję.

Roześmialiśmy się wszyscy.

— A ja uwielbiam ciebie — powiedziała Maeve. Spostrzegłem, że opadają jej powieki. — Jestem z was bardzo dumna. Z ciebie też, mój dzielny detektywie.

Maeve stała nad grobem z takim dostojeństwem, o jakie nie podejrzewałbym nikogo, a była dumna z nas? Ze mnie? Czułem się tak, jakby ktoś oblał mnie strugą lodowatej wody. Miałem ochotę wyć, wyrznąć pięścią w cokolwiek — szybę w oknie, ekran telewizora, brudny świetlik w holu. Zamiast tego przedarłem się przez tłum dzieci, zdjąłem z jej głowy czapkę i pocałowałem ją w czoło.

— No, dzieciaki. Mama musi teraz odpocząć — powiedziałem, zawzięcie usiłując ukryć ból, jaki nosiłem w sercu. — Czas na nas. Zbieramy się.

Rozdział 4

O trzeciej czterdzieści pięć Czyścioszek wszedł po kamiennych schodach do katedry Świętego Patryka znajdującej się przy Piątej Alei.

Prychnął na widok tłumu klęczącego w milczącej modlitwie. Jasne, pomyślał, Wielki Facet tam, u góry, musi być poruszony taką pobożnością w samym środku współczesnej Gomory.

Sztywna staruszka o ziemistej cerze ubiegła go i usiadła w ławce tuż przy konfesjonale. Jakie ona, do diabła, chciała wyznać grzechy? — zastanawiał się, siadając obok. „Wybacz mi, ojczu, kupiłam wnukom najtańszą czekoladę”.

Chwilę później pojawił się starannie ostrzyżony ksiądz po czterdziestce. Ojciec Patrick Mackey kiepsko zamaskował zaskoczenie, kiedy dostrzegł lodowaty uśmiech Czyścioszka.

Starszej pani z tłustym karkiem więcej czasu zajęło wygramolenie się z ławki niż sama spowiedź. Potem Czyścioszek o mało jej nie przewrócił, próbując się dostać do konfesjonau.

— Słucham cię, synu — dało się słyszeć zza kraty głos księdza.

— Północno-wschodni narożnik Pięćdziesiątej Pierwszej

i Madison — rzucił Czyścioszek. — Za dwadzieścia minut, ojczulku. Lepiej tam bądź, bo inaczej...

Minęło około trzydziestu minut, kiedy ojciec Mackey otworzył drzwi od strony pasażera w samochodzie Czyścioszka. Zamienił księżowskie łąchy na jasnobłękitną marynarkę i džinsy. Spod marynarki wyjął kartonową tubę.

— A więc masz to! — powiedział Czyścioszek. — Dobra robota, ojczulku. Jesteś cennym pomocnikiem.

Ksiądz kiwnął głową i obejrzał się za siebie, na kościół.

— Jedźmy stąd — rzekł.

Dziesięć minut później zatrzymali się na pustym parkingu przed opuszczonym heliportem. Przez szybę samochodu East River wyglądała jak wielka błotnista kałuża. Czyścioszek z trudem powstrzymał się przed opowiedzeniem dowcipu, kiedy otwierał wieczko przyniesionej przez księdza tuby.

Kartki, które znajdowały się w środku, były stare i zniszczone, a ich brzegi pożółkły jak pergamin. Wskazujący palec Czyścioszka zatrzymał się pośrodku drugiej kartki.

Jest! A więc to nie plotka. To istnieje naprawdę.

Wreszcie to zdobył. Ostatni szczegół jego mistrzowskiej operacji.

— Nikt nie wie, że to masz? — zapytał.

— Nikt — odpowiedział ksiądz i zachichotał. — Zdumiewa mnie paranoja Kościoła. Instytucja, w której pracuję, to jedna wielka zagadka.

Czyścioszek aż cmoknął, nie mogąc oderwać oczu od architektonicznych planów. W końcu sięgnął pod siedzenie i wyjął pistolet Colt Woodsman. Dwa wystrzały amunicji kalibru dwadzieścia dwa nie były wprawdzie zbyt głośne, ale sprawiły, że głowa ojca Mackey a wyglądała, jakby eksplodował w niej granat.

— Idź do diabła — powiedział Czyścioszek.

Gorączkowo zaczął oglądać swoją twarz w lusterku wstecznym i z przerażeniem odwrócił wzrok. Na czole, nad prawym okiem, dostrzegł kilka kropel krwi. Wyszorował haniebnie splamione miejsca chusteczką i przetał całą twarz alkoholem. Dopiero wówczas jego oddech wrócił do normy.

Pogwizdywał, fałszując niemiłosiernie, i zwijał kartki, po czym z powrotem włożył je do kartonowej tuby.

Majsterszyk, pomyślał jeszcze raz, prawdziwy majsterszyk.

Rozdział 5

Po powrocie do domu dzieciaki stały się bardzo aktywne. Z każdego pokoju zamiast dźwięków telewizora czy strzelaniny z gier komputerowych dochodziły odgłosy pracujących Bennettów.

W łazience szumiała woda, gdy Julia przygotowywała kąpiel dla Shawny i Chrissy. Brian siedział przy stole w jadalni z talią kart w ręku i cierpliwie uczył Trenta i Eddiego gry w oczko.

W kuchni Rick smarował dżemem kromki chleba. Jane rozłożyła na podłodze swojego pokoju planszę do gry dla Fiony i Bridget.

Nie słyszałem narzekań, jęków, nawet głupich pytań.

Do długiej listy zalet mojej żony należało dodać jeszcze jedną. Była genialna. Musiała zdawać sobie sprawę, jak bardzo cierpią, jak czują się zagubione i niepotrzebne, więc dała im coś, co wypełni pustkę, co nada sens ich życiu.

Marzyłem tylko, żeby i dla mnie coś takiego wymyśliła.

Większość rodziców powie wam, że pora kładzenia się do łóżka to najtrudniejsza część dnia. Wszyscy, nie wyłączając rodziców, są zmęczeni i marudni, a pewna nerwowość może się zacząć objawiać frustracją, krzykiem i groźbami. Nie

miałem pojęcia, jak Maeve radziła sobie z tym co wieczór — podejrzewałem jakąś magiczną mieszankę wrodzonego umiaru i spokoju. Wieczorne układanie dzieci do łóżek było jedną z tych rzeczy, z którymi bałem się zmierzyć.

O ósmej wieczorem z odgłosów dochodzących z zewnątrz można było wnioskować, że już zaczęły się święta.

Spodziewałem się, że kiedy wejdę do pokoju dzieci, zobaczą otwarte okno i zwieszoną z niego linę z powiązanych prześcieradeł. Tymczasem Chrissy, Shawna, Fiona i Bridget leżały z kołdrami naciągniętymi po podbródek, a Julia zamykała właśnie książkę Olivii.

— Dobranoc, Chrissy — powiedziałem, całując ją w czoło. — Bardzo cię kocham.

Chłopcy także byli już w łózkach.

— Dobranoc, Trent — pocałowałem chłopca w czoło. — Zrobiłeś dziś wspaniałą rzecz. Może chcesz jutro pójść ze mną do pracy?

Trent zmarszczył czoło, zastanawiając się nad moją propozycją.

— Jutro są czyjeś urodziny? — zapytał po chwili. — Któregoś z detektywów?

— Nie — odparłem.

— Więc wolę pójść do szkoły — powiedział, zamykając oczy. — Jutro w szkole mamy urodziny Lucy Shapiro, a urodziny oznaczają czekoladowe ciasteczka.

— Dobranoc, chłopcy — rzekłem, kierując się do drzwi. — Bez was nie dałbym sobie rady.

— Wiemy, tato! — zawołał z piętrowego łóżka Brian. — Nie martw się. Jesteśmy z tobą.

Rozdział 6

Zamknąłem ostatnie drzwi i na chwilę zatrzymałem się w korytarzu obok pokoju chłopców. W normalny dzień wracałbym teraz z komisariatu, salon rozświetlałby niebieski blask telewizora, jeśli Maeve oglądałaby jakiś program, albo ciepłe żółte światło gdyby, czekając na mnie, czytała książkę.

Patrząc z korytarza na ciemne wejście do salonu, zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu wiem, co to jest prawdziwa ciemność.

Wszedłem do salonu i zapaliłem lampę stojącą obok kanapy. Usiadłem w milczeniu i rozglądając się wokół, zacząłem przywoływać wspomnienia.

Tapeta, którą skrupulatnie okleiliśmy ściany. Rodzinne zdjęcia zrobione i oprawione w ramki przez Maeve. Świąteczne wycieczki do ogrodu botanicznego w Bronksie. Dorodna dynia. Maeve ułożyła to wszystko w pudełkach z pamiątkami z wakacji. Były tam muszle i piasek z wyprawy do Myrtle Beach przed dwoma laty, szyszki i liście z tygodniowego pobytu w Poconos w sierpniu ubiegłego roku.

Skąd brała na to wszystko siły? Jak znajdowała na to czas?
Jedyną odpowiedzią było to, że moja żona była wyjątkową osobą.

Nie tylko ja tak uważałem. Tak naprawdę nie było nikogo, kto by nie uwielbiał Maeve.

Kiedy adoptowaliśmy Julię, Maeve rzuciła pracę w szpitalu, by spędzać z nią więcej czasu. Zajęła się też opieką nad starszym mężczyzną na West End Avenue. Pan Hessler miał dziewięćdziesiąt pięć lat, był potomkiem bogatego rodu właścicieli linii kolejowych, a poza tym był zgorzkniały i zły na otaczający go współczesny świat. Tydzień po tygodniu uprzejmością i współczuciem Maeve powoli łamała jego opór. Wozila go regularnie na wózku do Riverside Park, by mógł posiedzieć na słońcu, i wciąż mu przypominała, choć wcale tego nie chciał, że jest żywym człowiekiem. Na koniec stał się zupełnie inną osobą, pozbył się zgorzknienia, a nawet pogodził z córką.

Po jego śmierci okazało się, że zapisał Maeve w spadku swój apartament, ten, w którym obecnie mieszkamy.

W przeciwieństwie do naszych sąsiadów lubujących się w antykach i perskich dywanach, Maeve wypełniła nasze mieszkanie dziećmi. Cztery miesiące po przeprowadzce do nowego lokum adoptowaliśmy Briana. Sześć miesięcy później Jane. I tak dalej, i tak dalej...

„Święta” to wyświechtane słowo, wiem o tym, ale kiedy siedziałem teraz zupełnie sam i patrzyłem na wszystkie dokonania mojej żony, ono właśnie przychodziło mi do głowy.

Żywot świętej, pomyślałem z goryczą.

Wprost ku męczeńskiej śmierci.

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, serce podskoczyło mi do gardła.

Nie zajmuj się światem zewnętrznym, pomyślałem, kiedy dzwonek rozległ się ponownie.

Pomyślałem, że to musi być pomyłka, zapewne jakiś gość szukający Underhillów, naszych sąsiadów. Trzeci dzwonek.

Zdenerwowany wreszcie wstałem.

Popelniasz błąd, gościu, pomyślałem, mocując się z klamką. Właśnie obudziłeś demona.

Rozdział 7

Patrząc na wyświechtane džinsy i marynarską kurtkę, stwierdziłem, że stojąca w drzwiach młoda blondynka z pewnością nie wybiera się na koktajl party.

Z drugiej strony plecak na grzbiecie i marynarski worek trzymany w ręku wskazywały, że jednak dokądś się wybierają.

— Pan Bennett? — zapytała, stawiając na podłodze worek i wyciągając w moją stronę drobną kształną dłoń. — Pan Michael Bennett?

Jej irlandzki akcent brzmiał ciepło, choć dłoń była zimna.

— To ja, Mary Catherine — powiedziała. — Nareszcie jestem.

Sądząc z akcentu, musiała być krewną mojej żony. Usiłowałem skojarzyć sobie twarz Mary Catherine z którymś z naszych nielicznych gości weselnych ze strony Maeve.

Niestety, pamiętałem tylko jakąś starą ciotkę, kilku dalekich kuzynów i trzech kawalerów w średnim wieku. O co tu, do diabła, chodzi?

— Nareszcie jestem? — powtórzyłem ostrożnie.

— Jestem gosposią — wyjaśniła Mary Catherine. — Nona twierdziła, że rozmawiała z panem.

Gospościa? Nona? — zamyśliłem się. Wreszcie przypomniałem sobie, że Nona to imię matki Maeve. Moja żona nigdy nie chciała zbyt wiele mówić o swojej przeszłości i młodości spędzonej w Donegal. Miałem wrażenie, że jej rodzina jest nieco ekscentryczna.

— Przepraszam cię, Mary... — zacząłem — ale nie bardzo wiem, o czym mówisz.

Mary Catherine otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili je zamknęła. Jej jasna jak porcelana twarz spurpurowiała. Szybko podniosła z podłogi swój tobołek.

— Przepraszam, że zajęłam panu czas — powiedziała szybko i zrobiła smutną minę. — Musiała zająć jakaś pomyłka. Jeszcze raz przepraszam.

Worek marynarski wyślizgnął jej się z rąk, kiedy podchodziła do windy. Przekroczyłem próg i wtedy spostrzegłem leżący na podłodze stos listów, który moi usłudźni sąsiedzi Underhillowie rzucili pod stojący w korytarzu stół. Z pokazanej kupki korespondencji moją uwagę zwróciła niewielka koperta.

— Chwileczkę. Zaczekaj, Mary Catherine. Jeden moment. Otworzyłem list. Napisany był odręcznie drobnym, ale czytelnym maczkiem. Przebiegłem go wzrokiem, wychwytyjąc Drogi Michaelu, wielokrotnie powtarzane Mary Catherine i wreszcie finałowe Niech cię Bóg błogosławi w chwili próby, Nona.

Nadal nie rozumiałem, co to wszystko, u licha, ma znaczyć.

Do dzisiaj nie byłem nawet w stu procentach pewien, czy moja teściowa żyje. Jedno tylko wydawało się nie ulegać wątpliwości — jest zbyt późno, a ja czuję się zbyt zmęczony, żeby próbować to wszystko dziś wyjaśnić.

— Och — odezwałem się do dziewczyny w chwili, gdy otworzyły się drzwi windy. — A więc to ty jesteś Mary Catherine, gospościa.

W jej błyszczących, błękitnych oczach pojawiła się iskierka nadziei. Ale co ja miałem z nią począć? Nasze mieszkanie było wręcz przeludnione. Nagle przypomniałem sobie o służbowce na piętrze, która kiedyś należała do nas, a obecnie wykorzystywana była jako magazyn.

— Chodź — powiedziałem, podnosząc jej bagaż i prowadząc ją do windy. — Pokażę ci, gdzie zamieszkaś.

Dobre dwadzieścia minut zajęło mi wyniesienie z niewielkiego pokoju łóżeczka dziecięcego, zabawek, starych fotelików samochodowych i lalek Barbie należących do Chrissy.

Nim zdążyłem wrócić z dołu ze świeżą pościelą, Mary Catherine rozłożyła na podwójnym łóżku materac i starannie poukładała swoje rzeczy w szufladach komody.

Przyglądałem się jej przez chwilę. Zbliżała się do trzydziestki. Była niewysoka i biła z niej jakaś serdeczność. Dziewczyna ma ikrę, pomyślałem. To dobrze, biorąc pod uwagę, jakie czekają ją wyzwania.

— Nona zapewne nie wspomniała, jak liczną mam rodzinę, prawda?

— Mówiła o zgrai, o całej zgrai.

— A ile to dla ciebie „cała zgraja”? Zgadniesz?

— Pięcioro?

Potrząsnąłem przecząco głową i wyciągniętym w górę kciukiem dałem jej wskazówkę, że to za mało.

— Siedmioro?

Zauważyłem oznaki paniki na jej twarzy, kiedy gestem kazałem jej zgadywać dalej.

— Chyba nie dziesięcioro? — zapytała.

Przytaknąłem.

— Dzięki Bogu, wszystkie potrafią korzystać z toalety. To wspaniałe dzieciaki. Ale jeśli chcesz nas opuścić teraz, jutro lub za tydzień, nie będę miał do ciebie żalu.

— Dziesięcioro? — powtórzyła Mary Catherine.

— Tak. Jedyńka i zero — powiedziałem z uśmiechem. — Aha, i jeżeli zamierzasz u nas pracować, masz mówić do mnie Mike. Albo ty idioto, jeśli wolisz. Tylko nie używaj zwrotu pan Bennett.

— W porządku, Mike — odparła Mary Catherine. Kiedy wychodziłem, widziałem, że oznaki paniki nie znikają z jej twarzy.

— Dziesięcioro — powtórzyłem pod nosem. Dziesięcioro wspaniałych.

Rozdział 8

Kiedy położyłem się w zimnej pościeli, nie mogłem zasnąć. Przypomniałem sobie, że jutro jest pogrzeb Caroline Hopkins — kolejny smutny fakt, odbierający ochotę na sen.

Leżąc w ciemnościach, słuchałem, jak wiatr gwizdże za rogami budynku. Gdzieś w oddali, pewnie na Broadwayu, rozległ się alarm samochodu; przeraźliwy dźwięk to narastał, to milkł na chwilę.

Przez dobrą godzinę starałem się nie użalać nad sobą. Nie byłem jedynym, którego ciało się zbuntowało. Nie byłem jedynym, który poświęcił swoje życie, by przez trzydzieści osiem lat pomagać innym.

Potem się rozplakałem. Powoli, boleśnie, jak pierwsze pęknięcia lodu na sadzawce, gdy zaszliśmy za daleko. Jeszcze minuta i moje wewnętrzne opanowanie przysło, rozbijając się na tysiące kawałków.

Początkowo godziłem się na pomysł mojej żony, żeby adoptować dzieci. Kiedy okazało się, że nie możemy mieć własnych, robiłem wszystko, czego zapragnęła Maeve. Bardzo ją kochałem i chciałem uczynić szczęśliwą.

Ale kiedy była już z nami Jane, coraz mniej chętnie

podchodziłem do spraw adopcji. Troje dzieci w Nowym Jorku? Samo utrzymanie mieszkania sporo kosztowało, a ja nie byłem krezusem.

Maeve przekonała mnie, że zarówno w naszym mieszkaniu, jak i w naszych sercach mamy miejsce na jeszcze jedno dziecko. Po Fionie i Bridget, ilekroć Maeve wspominała o kolejnym dziecku poszukującym rodziny zastępczej, przewracałem tylko oczami. A ona mawiała: „Co znaczy jeszcze jeden kilogram dla słońia?”.

Ale jak słoń może żyć bez serca? — myślałem sobie, a łzy ściekały mi po policzkach.

Niemożliwe, nie dam sobie rady. Starsze dzieci za chwilę będą nastolatkami, a młodsze... Jezu Chryste, jak mam samodzielnie zadbać o ich życie, ich szczęście, ich przyszłość?

Nagle usłyszałem, jak otwierają się drzwi.

— Ćwir, ćwir — powiedział dziecięcy głosik.

To była Chrissy. Każdego ranka przychodziła do naszej sypialni z pustą miską na płatki śniadaniowe, udając głodne zwierzątko. Raz był to kotek, raz piesek, mały pingwin, a kiedyś nawet mały pancernik.

Postukała dłonią w brzeg łóżka.

— Ćwir, ćwir, nie mogę spać. Otarłem łzy poduszką.

— Duży ćwirek też nie może — odparłem.

Nie spała z nami w łóżku, odkąd skończyła dwa lata. Już zamierzałem zaprowadzić ją do jej łóżka, ale w końcu odchyliłem brzeg kołdry.

— Wskakuj szybko do gniazodka, ćwirku!

Kiedy Chrissy ułożyła się obok mnie, zdałem sobie sprawę, że znów się myliłem. Dzieci wcale nie były dla mnie brzemieniem, przeciwnie, to one pozwalały mi się jakoś pozbyć.

Chrissy zasnęła w ciągu dwóch minut, przywierając zimnymi jak sople lodu stopami do moich pleców. W północy zdałem sobie sprawę, że może trudno to nazwać szczęściem, ale po raz pierwszy od wielu tygodni poczułem się lepiej.

Rozdział 9

Zapowiadał się bardzo ciekawy, obfitujący w wydarzenia dzień. Data historyczna jak cholera.

Srebrzyste dźwięki dzwonów katedry Świętego Patryka wciąż jeszcze unosiły się nad Piątą Aleją, kiedy pod masywnymi drzwiami wejściowymi do kościoła pojawił się Czyścioszek. Wziął łyk kawy i potrząsnął głową na widok tłumu wariatów zajmujących chodnik wzdłuż barierek ustawionych przez policję.

Pogrzeb Caroline Hopkins opóźniał się już o czterdzieści minut, a frekwencja była tak duża, jak sterty wieńców zalegających na podłodze kościoła przez całą jego długość. Jeśli spełnią się prognozy podawane w telewizji, ludzi będzie więcej niż podczas zapalania świątecznej choinki na placu Rockefellera. Caroline z pewnością cieszyła się wielką popularnością jako Pierwsza Dama, ale dla wielu z tych imbecyli najważniejsze było to, że urodziła się i dorastała w Nowym Jorku. Była jedną z nich. Tak samo, jak jednym z nich był burmistrz Nowego Jorku. Czyścioszek wziął następny łyk kofeiny i dalej obserwował otoczenie. Na szczycie schodów prowadzących do katedry stał policyjny dudziarz o czerwonej twarzy i walczył z unoszonym przez podmuchy zimnego wiatru kiltem.

W kruchcie, tuż za otwartymi na oścież olbrzymimi drzwiami z brązu, sierżant marynarki wojennej sprawdzał wartość honorową złożoną z żołnierzy piechoty, marynarki, lotnictwa i marines. Obciągnął marynarkę jednego z marines i klepnął kantem dłoni nieskazitelnie czysty mundur marynarza, strząsając niewidoczny pyłek.

Zaczęły podjeżdżać limuzyny. Pierwszy wszedł burmistrz Andrew Thurman. Nic dziwnego, pomyślał Czyścioszek, burmistrz uważał się za bliskiego przyjaciela Hopkinsów. Jako następna przybyła para zaangażowanych w politykę gwiazd filmowych Marilyn i Kenneth Rubenstein. Proekologiczni aktorzy nakręcili z Caroline kilka spotów reklamowych w proteście przeciwko odwiertom ropy naftowej na pustkowiach Alaski. Tymczasem ich nastoletnie dzieci miały duże problemy z narkotykami i alkoholem.

Kiedy ktoś z tłumu stojącego na Piątej Alei gwizdnął, dwukrotny zdobywca Oscara, Kenneth Rubenstein, odwrócił się z wartym milion dolarów uśmiechem i pomachał rękami, jakby właśnie odbierał trzecią statuetkę. Czyścioszek uśmiechnął się szeroko, widząc, jak kruczowłosa żona Kennetha, Marilyn, daje mu kuksańca łokciem. Cinema verite, pomyślał.

Zaraz po gwiazdach filmowych pojawił się potentat rynku nieruchomości Xavier Brown z żoną, Celeste, ubraną w ciuchy Chanel. Oni także byli bliskimi przyjaciółmi Pierwszej Damy. Do diabła, a kto nie był?

Następny w kolejności przybył rozgrywający drużyny New York Giants, Todd Snow. Kiedy objął ramieniem swoją atrakcyjną żonę, modelkę, na jego palcu zaśnił sygnet zwycięzcy finałów Super Bowl. Ten sportowiec brał udział w akcjach dobroczynnych organizowanych przez Caroline Hopkins.

Czyścioszek patrzył z satysfakcją na ciągnący się przez całą Piątą Aleję rząd limuzyn z przyciemnianymi szybami.

Witajcie, witajcie! Cała ekipa jest w komplecie. No, prawie cała.

Na koniec podniósł wzrok i spojrzał na olbrzymie rozetowe okno i wysokie na sto osiemdziesiąt metrów wieże katedry. Stał na kamiennej płycie i pomyślał, że tłum jest tak wielki, że nie wiadomo, czy do środka zmieści się jeszcze trumna.

Rozdział 10

John Rooney zrobił minę jak potwór Grinch, kiedy jego limuzyna zatrzymała się w końcu przed kłębiącym się wokół katedry Świętego Patryka tłumem. Jako przynoszący w tej chwili największe zyski hollywoodzki aktor przybył tu, żeby podziękować wiernym fanom, którzy zawsze pojawiali się na tego typu uroczystościach. Część z nich to byli zwykli ludzie, którzy chcieli zmanifestować swoje poparcie i uwielbienie.

Ale teraz, kiedy widział ciekawskie spojrzenia i wzniesione nad głowami aparaty fotograficzne, zachowywał się ostrożnie. Udział w pogrzebie, nawet tak uroczystym, przyprawiał go o gęsią skórę.

Na szczęście dla niego, ta strona ulicy, przy której stała katedra, była zarezerwowana tylko dla VIP-ów. Rooney ruszył za Big Danem, osobistym ochroniarzem. Po obu bokach schodów stał już rząd dziennikarzy.

Trochę wysiłku musiał włożyć w to, by się nie obejrzeć, kiedy ktoś z tłumu na ulicy krzyknął: „Co się dzieje, głupku?”, powiedzonko z jego najnowszej komedii.

Nie mógł jednak pozostać obojętny na ciekawskie spojrzenia dziennikarzy stojących szpalerem na schodach. Kiedy oślepił go blask fleszy, poczuł, jak rośnie mu poziom ad-

renaliny we krwi. Podniósł wzrok na szare niebo i podrapał się w głowę.

I wreszcie, po raz pierwszy tego dnia, uśmiechnął się promiennie.

— To chyba nie jest dobry pomysł, proszę państwa — powiedział beztrzesko. — Dzisiejsze prognozy pogody nie przewidywały błyskawic.

Przebiegł wzrokiem po twarzach rozbawionych dziennikarzy, ale kolejny dowcip uwiązał mu w gardle, kiedy zobaczył oburzoną minę pewnej pięknej brunetki stojącej przy drzwiach wejściowych. Ona miała rację, a on był zwykłym dupkiem. Jak można brylować przed publicznością na pogrzebie?

Rooney zrobił ponurą minę i wszedł do kościoła.

Widział, jak ludzie w ostatnich ławkach oglądają się i szturczą na jego widok, kiedy wręczał oficerowi ochrony swoje zaproszenie.

Tak, to ja. Tu jestem, pomyślał poirytowany. To jedna ze stron sławy. W rzeczywistym świecie, w restauracji czy na lotnisku gapiący się ludzie wprawiali go w zakłopotanie. To było tak, jakby czegoś od niego chcieli, tylko czego? Nie wiedział, jak przypuszczał, oni też nie wiedzieli. Ludzie uważali, że gwiazdy zakładają ciemne okulary po to, by się maskować, tymczasem chodziło o to, żeby nie nawiązywać kontaktu wzrokowego.

Słyszając za plecami trzask migawek aparatów fotograficznych, Rooney obejrzał się w stronę wejścia do katedry.

Proszę, proszę, kogo my tu mamy!

Linda London, dwudziestoletnia bywalczyńni telewizyjnych reality show, przybyła w tym samym momencie, co Mercedes Freer, gwiazda muzyki pop. Rooney wiedział, że już sam fakt, iż idą razem, był ciekawym niusem. Ale to, co naprawdę rozgorączkowało dziennikarzy, to fakt, że obie miały na sobie takie same krótkie czarne sukienki i woalki.

Żeby było jeszcze ciekawiej, kilka kroków za źródłem ewentualnej pyskówki kroczyła legendarna ikona rocka lat siedemdziesiątych, Charlie Conlan. Wysoki, beznadziejnie zimny, musiał dobiegać teraz sześćdziesiątki, choć wciąż dobrze się trzymał. W kruchcie podał Rooneyowi rękę.

Charlie napisał i wykonał trzy cudowne piosenki do filmów dla dzieci, w których Rooney grał główną rolę. Byli nawet wspólnie na krótkim promocyjnym tournee. Przez cały czas Conlan nie przestawał się uśmiechać, dawał napiwki wszystkim kelnerom, portierom i kierowcom, którzy się pojawili w jego zasięgu. Rozdawał autografy wszystkim, którzy go o to poprosili. Nawet paparazzi go lubili.

— Pieprzony cyrk, co? — odezwał się Charlie chropawym głosem. — Robisz tu za klauna, Johnny?

— Jeśli tak, to ty jesteś konferansjerem — odrzekł Rooney ze śmiechem.

W tłumie rozległy się głośne okrzyki zachwytu. Ze swojej różowej limuzyny lincoln town car wysiadła właśnie Eugena Humphrey.

— Spokojnie, spokojnie, ludzie — besztła tłum charyzmatyczna gospodyni talk show Królowa Los Angeles. — To jest pogrzeb, a nie rozdanie nagród Emmy. Trochę więcej szacunku.

O dziwo, tłum natychmiast umilkł.

— Eugena tu rządzi — powiedział ktoś i była to święta prawda.

Rozdział 11

Reporterka „New York Timesa”, Cathy Calvin, nie wiedziała, gdzie szukać następnego dobrego ujęcia. Odwróciła się, kiedy na końcu opustoszałej Piątej Alei pojawił się karawan. Na przedzie jechała kolumna dziewięciu policyjnych harleyów. Ich tłumiki ryczały głośno w martwej ciszy, która zapadła nad tą znaną na całym świecie ulicą.

Gdy z szeregu wystąpiła warta honorowa i pomaszerowała wolnym krokiem w stronę chodnika, wyglądało to tak, jakby posągi w katedrze nagle ożyły.

Warta pojawiła się przy krawężniku w tym samym momencie, kiedy podjechał karawan.

Gdy z pietyzmem zdejmowali trumnę okrytą amerykańską flagą, rozległy się trzaski migawek i zabłyśły flesze.

Z tłumu wyłoniło się dwóch agentów Secret Service w ciemnych garniturach i dołączyło do żałobników. Trumna z ciałem Pierwszej Damy z łatwością została uniesiona na wysokość ramion.

Żołnierze i agenci zatrzymali się u szczytu schodów, tuż za byłym prezydentem i jego córką, kiedy z południa dało się słyszeć niskie, potężne dudnienie.

Chwilę później eskadra pięciu myśliwców F-15 pojawiła

się nisko nad końcem ulicy. Gdy samoloty dotarły do Czterdziestej Drugiej Ulicy, jeden z nich nagle wyłamał się z szyku i poszybował wprost ku niebu.

Żałobnicy z trumną na ramionach odczekali, aż ucichnie ostatnie echo ryku silników w kamiennie-stalowym wąwozie Piątej Alei i zaczęli wchodzić do świątyni. Kiedy były prezydent przekroczył próg katedry, odezwały się wysokie tony wygrywane przez samotnego dudziarza. Wyglądało to tak, jakby całe miasto patrzyło w milczeniu, aż wreszcie zabrzmiała znajoma melodia *Amazing Grace*.

Cathy Calvin spojrzała na tłum i już wiedziała, że ma temat dnia. Ludzie zdejmowali czapki z głów, kładli dłonie na sercu i śpiewali hymn. Zblazowani, wydawałoby się, nowojorczy, otwarcie płakali.

Ale nie to ją najbardziej zaskoczyło.

Największą niespodzianką dla Cathy Calvin, reporterki, która niejedno widziała i przeżyła, było to, że kiedy uniosła dłoń do własnego policzka, poczuła płynące po nim łzy.

Rozdział 12

Łzy jak na zamówienie, pomyślał Czyścioszek, patrząc przez lornetkę ze swojego obrotowego fotela w tylnej części samochodu.

A niech to, pomyślał jeszcze i uśmiechnął się tak szeroko, że rozbolały go policzki.

Łzy szczęścia.

Samochód był zaparkowany na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy i Piątej Alei. Czyścioszek przez ostatnią godzinę bez przerwy obserwował paradę pojawiających się gwiazd i dygnitarzy.

Jedno to coś przewidzieć, pomyślał Czyścioszek, kiedy za prezydentem Hopkinsem i jego świtą wazelinarzy zamknęły się drzwi wejściowe. Ale zupełnie co innego patrzeć, jak przewidywania się urzeczywistniają.

Opuścił lornetkę i sięgnął do leżącego u jego stóp pudełka po chusteczkę. Zaczerwienione dłonie zaczęły go piec, kiedy je szorował. Zwykle nosił ze sobą balsam do rąk, który łagodził otarcia, ale w całym dzisiejszym podnieceniu zapomniał o nim.

Na szczęście zapomniałem tylko o tym, pomyślał, ciskając zużytą chusteczkę na piętrzącą się już u jego stóp stertę i podniósł lornetkę do oczu.

Przyjrzał się otoczeniu katedry, sprawdzając swoją wysokiej rozdzielczości lornetką Steiner 15x80 wszystkie stanowiska ochrony.

Przed kościołem stał szpaler policjantów, a pojazdy jednostek antyterrorystycznych ESU blokowały wszystkie uliczne skrzyżowania.

Policjanci z ESU, w czapkach baseballowych na głowach, mieli przewieszane przez piersi budzące grozę karabiny maszynowe Colt Commando, ale w rękach trzymali kubki z kawą, w palcach zaś papierosy. Zamiast zachowywać czujność, nabijali się z siebie nawzajem i opowiadali nie stworzone rzeczy o tym, co zrobią z wolnym czasem po służbie.

Pytanie: czy oni są tacy głupi? — pomyślał Czyścioszek. —
Odpowiedź: owszem.

W chwili, gdy dźwięki dud zaczęły przycichać, zadzwonił jego telefon komórkowy. Czyścioszek opuścił lornetkę i przyłożył słuchawkę do ucha.

W całym ciele czuł podniecenie wywołane tym, co się wydarzy za chwilę.

— Wszystko w porządku, Jack — powiedział do słuchawki. — Już czas. Spraw, żebyśmy byli z ciebie dumni.

Rozdział 13

Jack stał w nawie katedry i, spoglądając na dziesiątki agentów Secret Service, ochroniarzy i policjantów wypełniających wnętrze katedry, gryzł nerwowo czubek anteny telefonu komórkowego.

Czy plan się powiedzie? — zastanawiał się po raz tysięczny. Za chwilę wszystko się wyjaśni. Schował telefon i ruszył w kierunku wyjścia na Pięćdziesiątą Pierwszą.

Kilka minut później zbiegł pospiesznie po marmurowych schodach i zwolnił zatrząsk utrzymujący w półotwartej pozycji grube na pół metra drewniane drzwi. Policjantka z odznaką NYPD, paląca w progu papierosa, spojrzała na niego z irytacją.

— Pani wchodzi czy wychodzi? — zapytał Jack z uśmiechem, choć uprzejmość przychodziła mu teraz z trudem. — Zaczyna się msza. Zamykamy.

Na naradzie dotyczącej bezpieczeństwa stróżom prawa powiedziano, żeby służbom kościelnym pozostawić sprawy dotyczące ceremonii.

— Lepiej wyjdę — powiedziała policjantka.

Słuszna decyzja, krawężniku, pomyślał Jack, zamykając ciężkie drzwi i łamiąc klucz w zamku. Wybrałaś życie.

W pośpiechu wbiegł schodami na górę i obszedł od tyłu ołtarz. Pełno tam było księży w białych komżach.

Kiedy dotarł do południowego transeptu, zaczęły grać organy, a spod chóru wyłoniła się trumna.

Teraz Jack pobiegł do bocznego wyjścia na Pięćdziesiątą Ulicę; tu także zamknął masywne wrota, ale nie złamał klucza, wiedział bowiem, że za chwilę to wyjście będzie im potrzebne.

Półowa Hollywood, Wall Street i Waszyngtonu była teraz zamknięta w katedrze.

Szybko wrócił do korytarza za ołtarzem. Za jedną z potężnych kolumn otworzył małe, wąskie drzwi prowadzące na wąską klatkę schodową. Trzymając się poręczy wykonanej z liny obciążonej skórą, zszedł po schodach. Na dole znajdowały się bogato zdobione miedziane drzwi pokryta zieloną patyną. Nad nimi widniał napis: Krypta arcybiskupów Nowego Jorku.

Jack podszedł bliżej i szarpnął drzwi. Wszedł do krypty i delikatnie zamknął za sobą wrota. W pomieszczeniu wyciosanym w nagiej skale widział w półmroku ułożone w półokręgu kamienne sarkofagi pochowanych tu arcybiskupów.

— To ja, kretyni — odezwał się cicho. — Zapalcie światło.

Dało się słyszeć pstryknięcie i kinkiety na ścianach rozświetliły się elektrycznym blaskiem.

Za sarkofagami skrywał się tuzin ludzi. Większość miała na sobie T-shirty i dresowe spodnie. Byli potężnie zbudowani, muskularni i nie sprawiali wrażenia przyjaźnie usposobionych.

Mężczyźni założyli kamizelki kuloodporne z kevlaru, a do kabur pod pachą włożyli pistolety Smith & Wesson kalibru dziewięć milimetrów. Czarne rękawiczki bez palców, znane jako „saperki”, chroniły knykie przed ołowianym śrutem.

Następnie tajemnicza ekipa założyła brązowe franciszkańskie habity z kapturem. Do kieszeni włożyli coś, co przypo-

minało pilota do telewizora, a w rzeczywistości było paralizatorem. W obszerne rękawy habitów wetknęli wielkokalibrowe karabinki. Połowa strzelb była załadowana gumowymi kulami, a druga połowa zbiornikami z wyjątkowo żującym gazem łzawiącym CS.

Na koniec mężczyźni założyli na głowy czarne kominiarki i kaptury. Wyglądali teraz jak upiorne cienie.

Jack uśmiechnął się z aprobatą, sam też włożył kamizelkę, habit i kominiarkę, a na koniec naciągnął na głowę kaptur.

— Załadować broń i do dzieła — powiedział z uśmiechem, otwierając ciężkie drzwi. — Czas wnieść jakiś radosny element do uroczystości pogrzebowych.

Rozdział 14

John Rooney, gwiazda filmowa i komik, czuł, jak zapiera mu dech w piersiach widok warty honorowej wkraczającej do kościoła z trumną okrytą flagą.

Procesja po każdym kroku pozostawała przez chwilę w bezruchu, jakby trumna była zbyt ciężka i zmuszała do wypoczynku. Z góry grzmiała muzyka organów.

Kiedy żałobnicy niosący trumnę postawili ją na katafalku, Rooney przypomniał sobie pogrzeb swojego ojca na cmentarzu Arlington. O wojsku można mówić różne rzeczy, pomyślał, ale trzeba przyznać, że jak nikt inny potrafią oddać honory zmarłemu.

Zerknął w prawo, gdzie pojawił się szereg zakapturzonych zakonników w brązowych habitach. Kroczyli w stronę ołtarza z taką samą powagą, jak warta honorowa. Po chwili podobna grupa mnichów pojawiła się po jego lewej stronie.

W półmroku wypełniającym kościół nie było widać twarzy osłoniętych kapturami. Rooney zdawał sobie sprawę, że tego dnia mnóstwo będzie przeróżnych rytuałów i ceremonii, ale to było dla niego czymś nowym. Wojsko wiedziało jak uhonorować zmarłego, a katolicy potrafili wzbudzić strach przed boskim gniewem.

Muzyka organowa weszła w crescendo, kiedy mnisi zatrzymali się nagle i rozstawili w równych odstępach w bocznych nawach.

Rooney podskoczył, słysząc w tle muzyki serię przytłumionych wybuchów. Potem ze wszystkich stron nadciągnęła chmura białego, gęstego dymu.

W sektorze dla VIP-ów wybuchła panika, ludzie usiłowali jak najszybciej opuścić swoje ławki.

Rooney owi wydawało się, że widział, jak jeden z mnichów mierzy z karabinu do tłumu.

Nie, to niemożliwe, pomyślał, mrugając oczami. Coś mu się musiało pomieszać, to nie może być prawda!

Otworzył oczy, kiedy umundurowany policjant, któremu z nosa i uszu ciekła krew, potknął się pośrodku głównej nawy.

Big Dan, ochroniarz Rooneya siedzący obok niego z chusteczką przy twarzy, wyjął z kabury przy pasku pistolet kalibru trzysta osiemdziesiąt. Wydawał się zastanawiać, w którym kierunku go wycelować, kiedy jeden z mnichów jak zjawa wyłonił się z chmury dymu i uderzył ochroniarza w kark kawałkiem czarnego plastiku. Rozległ się złowieszczy trzask, Big Dan wypuścił z ręki broń, osunął się na siedzenie i zaczął dygotać, jakby wpadł w trans.

W tym samym momencie organy zamilkły.

Rooney poczuł przebiegający go dreszcz strachu. Kiedy umilkła muzyka, słysząc było już tylko paniczne wrzaski wydobywające się z tysięcy gardeł i odbijające echem od kamiennego sklepienia.

Ktoś opanował katedrę Świętego Patryka!

Rozdział 15

Nie miałem pojęcia, co się w tej chwili dzieje. Tak zresztą było od czasu, kiedy dowiedziałem się o chorobie Maeve. Byłem półprzytomny, przeliczyłem załogę i wyjechałem samochodem z garażu. Była ósma czterdzieści jeden i miałem dokładnie cztery minuty, żeby dotrzeć do szkoły Holy Name przy Amsterdam Avenue. W przeciwnym razie dzieci trafią do kozy.

Z dachu naszego domu można by zapewne dorzucić piłką do szkoły przy Dziewięćdziesiątej Siódmej Ulicy, ale każdy, kto zna poranne godziny szczytu na Manhattanie, wie, że pokonanie w cztery minuty odległości dwóch bloków to prawdziwe wyzwanie.

Wiem, że mogłem je wysłać piechotą. Julia, Brian i starsze dzieci wiedziały, jak się wystrzegać chuliganów. Ale chciałem teraz spędzać z nimi jak najwięcej czasu, żeby czuły, że nie zostały pozostawione własnemu losowi.

Poza tym miałem silną potrzebę przebywania z nimi przez cały czas.

Tak naprawdę przed wypisaniem dzieciom lipnych zwolnień powstrzymywała mnie myśl o dyrektorze szkoły, siostrze Sheilah. Ławkę, w której siadywałem przed jej sędziowskim obliczem, zapamiętam do końca życia.

Wysadziłem dzieciaki na rogu Amsterdam Avenue na kilka sekund przed rozpoczęciem lekcji. Wskoczyłem z samochodu i otworzyłem drzwi naszego rodzinnego wehikułu, dwunastoosobowego forda super duty, którego kupiłem na policyjnej aukcji. Minivany to były samochody, którymi mamuśki mogły podwozić do szkoły dwoje, może czworo dzieci. Klan Bennettów potrzebował profesjonalnego sprzętu.

— Biegiem! — krzyknąłem, wyciągając dzieciaki z samochodu i stawiając je na chodniku.

Shawna dobiegła do szkoły w chwili, gdy siostra Sheilah zamierzała zamknąć na haczyk ciężkie dębowe drzwi. Widziałem, jak zasuszona stara zakonnica patrzy na mnie, a w jej wzroku było coś, co przypominało odbezpieczoną, gotową do strzału broń.

Wcisnąłem pedał gazu i uciekłem stamtąd tak szybko, aż głośno zapiszczały opony.

Rozdział 16

Kiedy wróciłem do domu, myślałem, że zawiódł mnie zmysł powonienia. Pachniało kawą. Dobrą kawą. Mocną kawą.

Był jeszcze inny zapach. Nie chciałem zapeszyć, ale wszystko wskazywało na to, że coś się piekło.

Gdy wszedłem do kuchni, Mary Catherine wyjmowała właśnie z piekarnika tacę pełną babeczek. Babeczki z jagodami. Uwielbiam babeczki z jagodami, tak jak Homer Simpson lubi pączki. Taka młoda dama chyba nie zje sama na śniadanie sześciu babeczek. Czy podzieli się ze mną?

I ta kuchnia! Po prostu lśniła czystością! Błyszczący blat, odłożone na miejsce naczynia. Kto tego dokonał?

— Mary Catherine?

— Panie Bennett — odpowiedziała Mary Catherine, odgarniając z twarzy kosmyk blond włosów. — Gdzie się wszyscy podzieli? Kiedy tu rano przyszedłem, poczułem się jak Królowa Śnieżka, która weszła do domu krasnoludków. Mnóstwo małych łóżeczek i ani śladu życia.

— Krasnoludki są w szkole — odparłem.

Mary Catherine spojrzała na mnie pytająco. Wcześniej w podobny sposób patrzyła na mnie siostra Sheilah.

— O której wychodzą? — zapytała.

— Około ósmej — odpowiedziałem, nie mogąc oderwać wzroku od parujących babeczek.

— Więc będę zaczynała o siódmej, panie Bennett. A nie o dziewiątej. Nie ma sensu, żebym przychodziła pomagać, kiedy nie ma już nic do zrobienia.

— Przepraszam. A na imię mam Mike, pamiętasz? — powiedziałem. — Czy to...

— Drugie śniadanie. A może jajka? — i dodała — Mike. Drugie śniadanie? — pomyślałem. Sądziłem, że jest tylko jedno, to pierwsze. Może gospoia to dobry pomysł?

— Smażone z dwóch stron?

— Bekon czy kiełbasa? — zapytała.

To na pewno dobry pomysł, pomyślałem z uśmiechem i pokręciłem głową.

Zastanawiałem się właśnie, co wybrać, kiedy poczułem wibrację telefonu. Zerknąłem na numer na wyświetlaczu. Mój szef. Zamknąłem oczy, marząc o tym, żeby numer zniknął z ekranu. Niestety, nie miałem zdolności telepatycznych, gdyż telefon podskakiwał mi w rękę, jak świeżo wylowiony z wody pstrąg.

Żałowałem, że nie jest to prawdziwa ryba.

Wrzuciłbym ją z powrotem do potoku.

Rozdział 17

Ponownie potrząsnąłem głową, otwierając klapkę telefonu i przytykając go do ucha.

Telefon od szefa w dzień wolny od pracy mógł oznaczać tylko jedno.

Za chwilę powinienem usłyszeć złą wiadomość.

— Bennett — rzuciłem do słuchawki.

— Dzięki Bogu — usłyszałem mojego szefa Harry'ego Grissoma. Harry jest szefem mojej komórki wydziału zabójstw północny Manhattan. Kiedy mówiłem, że należę do elitarnego wydziału zabójstw, spotykałem się z pełnym szacunkiem kiwaniem głową przez innych policjantów. Ale chętnie zamieniłbym się z każdym z nich na stanowiska w zamian za jajecznicę. I piękne, wielkie jagodowe babeczki.

— Słyszałeś, co się stało? — zapytał szef.

— Gdzie? Co? — zapytałem pełen najgorszych przeczuć. W moim głosie musiała zabrzmieć wyraźna nuta niepokoju, bo Mary Catherine odwróciła się od zlewozmywaka i spojrzała na mnie. Po jedenastym września dla wielu nowojorczyków, a szczególnie dla policjantów, strażaków i sił specjalnych, następne uderzenie było tylko kwestią czasu.

— Co się, do diabła, stało? O co chodzi? — dopytywałem się.

— Powoli, Mike — powiedział Harry. — Nie było żadnej eksplozji. Przynajmniej na razie. Wiem tylko tyle, że około dziesięciu minut temu w katedrze Świętego Patryka doszło do strzelaniny. W tym czasie odbywał się pogrzeb prezydentowej Caroline, więc nie wygląda to zbyt dobrze.

Poczułem gwałtowny skurcz w brzuchu. Strzały podczas państwowego pogrzebu? U Świętego Patryka? Chwilę temu? Dziś rano?

— Terrorysty? — zdumiałem się. — Skąd?

— Chyba jeszcze nie wiemy — odrzekł szef. — Wiem tylko, że szef policji Manhattanu Południowego, Will Matthews, jest już na miejscu i chce cię tam zobaczyć tak szybko, jak to możliwe.

Ciekawe w jakiej roli, zastanawiałem się. Nim znalazłem się w wydziale zabójstw, byłem jednym z negocjatorów nowojorskiej policji.

Czy nie dość miałem kłopotów osobistych, żeby dokładać mi na barki jeszcze jeden?

Ale gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, pomyślałem. Oto całe moje życie. Miałem jeszcze nadzieję, że był to zwyczajny przypadek okupacji. Albo, jeszcze lepiej, jakieś banalne pojedyncze morderstwo. Mogłem się teraz zająć okupacją albo morderstwem.

— Czy jestem potrzebny do negocjacji? — spytałem szefa. — Czy może w katedrze doszło do zabójstwa? Pomóż mi, Harry.

— Niestety, nie wiem zbyt wiele — oznajmił mój szef. — Ale nie sądzę, żeby chodziło o nieporozumienie pomiędzy ministrantami. Po prostu jedź tam i sam sprawdź, o co chodzi. A potem daj mi znać.

— Już jadę — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Poszedłem do sypialni, włożyłem dzinsy, sportową bluzę i policyjną kurtkę. Kurtkę z emblematem wydziału zabójstw.

Przemylem twarz zimną wodą i z sejfu w szafie wyjąłem glocka.

Mary Catherine czekała w przedpokoju z kubkiem kawy i brązową papierową torbą z babeczkami. Wyraźnie podniósł mi się poziom adrenaliny. Zauważyłem, że Socky, który nie akceptował nikogo innego prócz Maeve, Chrissy i Shawny, ocierał się o jej kostki u nóg. Wreszcie zaczęło być normalnie.

Zastanawiałem się, jakich odpowiednich słów użyć w podzięcie i jakich udzielić instrukcji dotyczących prowadzenia domu, kiedy ona po prostu otworzyła drzwi i powiedziała:

— Idź już, Mike.

Część druga

Grzesznicy

Rozdział 18

Aż gwizdnąłem przez zęby, kiedy wysiadałem z należącego do mojego wydziału chevroleta impala przed blokadą zamykającą Piątą Aleję i Pięćdziesiątą Drugą Ulicę. Od czasu uroczystej parady w dzień Świętego Patryka nie widziałem w okolicy katedry tylu gliniarzy.

Tyle że tym razem zamiast idiotycznych beretów z pompkami, koniczynek i uśmiechów, mieli na głowach stalowe hełmy, w rękach karabiny maszynowe, a na twarzach śmiertelnie poważne miny.

Wyciągnąłem rękę za niebiesko-białą barierkę, pokazując sierżantowi odznakę. Skierował mnie do ruchomego punktu dowodzenia, długiego, białego autobusu zaparkowanego na ulicy przylegającej do katedry. Sierżant pouczył mnie, żebym zaparkował przy śmieciarkach blokujących Piątą Aleję.

Ruchome centrum dowodzenia. To na pewno nie było pojedyncze zabójstwo. Sprawa była o wiele poważniejsza.

Kiedy wysiadłem z samochodu, usłyszałem dźwięk przypominający pracujący młot udarowy. Podniosłem głowę i zobaczyłem wyłaniający się zza Rockefeller Center policyjny śmigłowiec, który w końcu zawisł nad katedrą. Podmuch rotora poderwał do góry kurz, stare gazety i puste kubki po

kawie. Snajper w otwartych drzwiach helikoptera obserwował zza lufy karabinu brudne szyby iglicy wieży kościelnej.

Odwróciłem wzrok od śmigłowca, kiedy o mało nie wpadłem na znanego, kontrowersyjnego dziennikarza radiowego, który brylował na środku ulicy przed wewnętrzną blokadą.

— Co też, do diabła, wymyślili tym razem ci stuknięci księża? — usłyszałem jego słowa.

Kiedy dotarłem do miejsca pomiędzy zaparkowanymi ciężarówkami, zatrzymałem się i patrzyłem z niedowierzaniem. Pół tuzina antyterrorystów przebiegało Piątą Aleję z pochylonymi głowami. Zatrzymali się i oparli plecami o stojący przy krawężniku długi, czarny karawan.

Jak to się mogło stać? Akurat podczas pogrzebu Caroline Hopkins?

Rozdział 19

Komisarz Will Matthews był niski, miał tylko metr siedemdziesiąt wzrostu, złamany nos i natarczywy sposób patrzenia na ludzi, a przy tym sprawiał wrażenie prawdziwie irlandzkiego, zadziornego policjanta. Kiedy go dostrzegłem, stojącego na chodniku przy wozie dowodzenia, wyglądał, jakby skończył dopiero czternaście lat.

— Cieszę się, że do nas dołączyłeś, Bennett — przywitał mnie krótko.

— Tak, pewnie — odparłem. — Chociaż nie miałem do-
tąd okazji, żeby zorientować się, o co chodzi.

Zamiast zachichotać, Matthews sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar przyłożyć mi pałką. I to było tyle tytułem wyjaśnień.

— Nie mam nastroju do żartów, Bennett — powiedział. — Burmistrz, były prezydent, kardynał, cała masa gwiazd filmu i estrady... Kto jeszcze? Eugena Humphrey i około trzech tysięcy VIP-ów jest zakładnikami tuzina albo więcej dobrze uzbrojonych, zamaskowanych mężczyzn. Rozumiesz?

Trudno było uwierzyć w to, co mówił Will Matthews. Już sam burmistrz i były prezydent, to nie mieściło się w głowie, a cała reszta?

Komisarz patrzył na mnie z wojowniczą miną, czekając, aż uniosę opadniętą szczękę i posłucham dalszego ciągu.

— Nie wiemy, czy ci faceci to terroryści. Ze wstępnych raportów policjantów, których uwolniono z kościoła, wynika, że przynajmniej szef nie jest Arabem. Rozmawiał z zakładnikami i, jak mi powiedziano, mówił, cytując: „jak biały”. Ci zamaskowani ludzie o nieustalonych personaliach poradzili sobie z trzydziestoma jeden policjantami, dwoma tuzinami agentów federalnych i agentami Secret Service chroniącymi byłego prezydenta, nie używając przy tym ostrej amunicji. Wystarczył gaz łzawiący, gumowe kule i paralizatory. Jest jeszcze coś. Dwadzieścia minut temu otworzyli drzwi od Pięćdziesiątej Ulicy i wykopali na zewnątrz wszystkich policjantów i agentów. Mamy kilka porzbijanych nosów i podbitych oczu, ale równie dobrze mogli ich zabić. Powinniśmy się chyba cieszyć z takich małych sukcesów.

Starłem się nie pokazać po sobie szoku i zaskoczenia. A to wcale nie było łatwe. Ochrona musiała być potężna, a mimo to dała się podejść? Bez użycia broni?

— Jak mogę pomóc? — zapytałem.

— Pierwsze właściwe pytanie. Ned Mason, nasz główny negocjator, już tu jedzie. Ale mieszka daleko, w hrabstwie Orange albo jakimś innym dziwnym miejscu. Chyba w Newburgh. Wiem, że już nie pracujesz w zespole negocjacyjnym, ale muszę mieć kogoś dobrego na wypadek, gdyby porywacze zadzwonili przed przyjazdem Masona. Chciałem ci także przypomnieć, że mamy na karku całą chmurę dziennikarzy. Mogę więc cię potrzebować do zapanowania nad tą szarańczą. Dowodzeniem taktycznym zajmie się Steve Reno. Możesz się z nim konsultować. A teraz skup się i zastanów, co powiedzieć prasie.

Posłuchałem rozkazu i skupiłem się, patrząc na olbrzymi, okazały gmach katedry. Próbowałem wyobrazić sobie, jakim

typem człowieka jest ten, który to zrobił. Nagle przy barykadzie na Pięćdziesiątej usłyszałem potworny zgiełk. Działo się coś złego!

Instynktownie sięgnąłem po broń, kiedy zza barykady wyłonił się jakiś blondyn bez koszuli i rudowłosa kobieta z intensywnym makijażem. Co jest, do diabła? Przebiegli przez opustoszałą Piątą Aleję i skierowali ku schodom prowadzącym do katedry, kiedy trzech antyterrorystów zagroziło im drogę.

Ruda peruca zsunęła się z głowy kobiety, ukazując obcięte na rekruta włosy. Blondynek cały czas się uśmiechał, a oczy, dzięki potężnej dawce heroiny, miał wielkie jak spodki.

— Niech żyje miłość! Niech żyje miłość transseksualna! — krzyczał blondyn, kiedy policjanci wlekli jego i wierzgającego nogami transwestytę w stronę barykady przy Pięćdziesiątej Pierwszej.

Odetchnąłem z ulgą. Nic strasznego. To nie był żaden zamachowiec-samobójca. Jeszcze jedno widowisko uliczne, z których słynie Nowy Jork.

Schowałem swojego glocka do kabury i zerknąłem za komisarza Willa Matthews, stojącego na chodniku z rozdziawionymi ze zdumienia ustami. Zdjął czapkę i podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie.

— Nie masz przypadkiem papierosa? — zapytał.

Potrząsnąłem głową.

— Nie palę.

— Ja też — powiedział, odchodząc — ale pomyślałem sobie, że powinienem zacząć.

Rozdział 20

Dziesięć minut później z fasonem zajechało FBI.

Cztery czarne furgonetki marki Chevrolet przepuszczono przez blokadę przy Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Ze środka wyskoczył uzbrojony po zęby oddział taktyczny. Wysocy, ubrani na czarno komandosi sprawiali wrażenie profesjonalistów. Ciekaw byłem, czy należeli do elitarnego oddziału FBI zajmującego się odbijaniem zakładników. Sytuacja wymagała właśnie ich obecności.

Ciemnowłosa mężczyzna w średnim wieku, ubrany w grafitowego koloru garnitur, podszedł do mnie i uściśnął mi rękę.

— Mike Bennett? — zapytał przyjaźnie. — Paul Martelli. CNU — Jednostka Zarządzania Kryzysowego. Szef przysłał nas tutaj na wypadek, gdybyśmy mogli w czymś pomóc.

CNU było najlepsze w prowadzeniu negocjacji. Jego szef, Martelli, był dobrze znany w środowisku negocjatorów. Książka, którą napisał, była niczym Biblia dla zainteresowanych tym tematem.

Zwykle najeżam się na widok federalnych, ale tym razem, muszę przyznać, kiedy pojawił się Martelli, ulżyło mi. Podczas trzyletniej służby w oddziale negocjatorów niejedną raz miałem do czynienia z trudną sytuacją, ale nigdy taką, jak

teraz. A na dodatek ten podły nastrój związany z chorobą Maeve i losem dzieci. Do diabła, zamierzałem skorzystać z każdej zaoferowanej mi pomocy.

— Widzę, panowie, że zajęliście się już łącznością i prasą — powiedział Martelli, patrząc na wozy dowodzenia i blokady ulic. — Mike, kto jest głównym negocjatorem?

Martelli, nawet kiedy mówił o najprostszych sprawach, promieniował zaraźliwym spokojem. Teraz wiedziałem, dlaczego jest uważany za najlepszego.

— W tej chwili ja — rzekłem. — Trzymają mnie tu na posterunku, póki nie pojawi się nasz najlepszy negocjator. Wtedy usunę się na drugą pozycję. Porucznik Steve Reno zajmuje się dowodzeniem taktycznym. Ostatnie słowo ma nasz dowódca, Will Matthews.

Każda sytuacja kryzysowa wymagała ścisłego ustalenia hierarchii dowodzenia. Negocjator nie mógł podejmować decyzji. Nim obiecał, że spełni jakieś warunki porywaczy, najpierw zawsze musiał zapytać kogoś wyższego rangą. Dzięki temu zyskiwało się trochę czasu, a pomiędzy porywaczem i negocjatorem tworzyła się specyficzna więź. Poza tym musiał być to ktoś, kto podejmie ostateczną decyzję, czy negocjujemy dalej, czy przechodzimy do działań taktycznych. Negocjatorzy zwykle chcieli rozmawiać. Ci od działań taktycznych — strzelać.

— Najważniejsze teraz — uśmiechnął się lekko Martelli — to wykazać się cierpliwością. Musimy zyskać na czasie, żeby się dobrze zorganizować. Niech SWAT zajmie się zdobyciem jak największej liczby informacji. Ci w środku też potrzebują czasu, żeby ochłonąć. Czas zmniejsza napięcie.

Chyba czytałem o tym w książce, pomyślałem. W książce, którą napisał Martelli.

Rozdział 21

Obaj odwróciliśmy głowy, kiedy przez blokadę przy Czterdziestej Dziewiątej przemknął na motorze Suzuki 750 policjant w trzepoczącej na wietrze kurtce policji nowojorskiej.

— Nawiazali kontakt? — warknął na przywitanie Ned Mason, zsiadając z motoru.

Pracowałem z Nedom Masonem na krótko przed moim odejściem z oddziału negocjatorów. Zwalisty policjant, z włosami piaskowego koloru, był wysportowany i miał bzika na punkcie zdrowego stylu życia. Wielu uważało go za aroganckiego, ale ja wiedziałem, że jest jednym z tych ekstrawaganckich samotników, którzy osiągają sukcesy nie dzięki pracy zespołowej, a dzięki swojej skrupulatności i silnej woli.

— Jeszcze nie — odpowiedziałem.

Zacząłem właśnie streszczać sytuację Masonowi, kiedy w drzwiach wozu dowodzenia pojawiła się głowa sierżanta trzymającego w ręku telefon komórkowy.

— To oni! — krzyknął.

Wszyscy, nie wyłączając Willa Matthews, wbiegliśmy do środka.

— Zapisuj wszystko, co powiem — odezwał się do mnie opryskliwym tonem Mason. — Nie opuść ani słowa.

Z bijącej od niego pewności siebie wywnioskowałem, że nie zmienił się ani na jotę.

— Rozmowa przyszła na numer dziewięćset jedenaste. Przełączyliśmy ją na ten aparat — wyjaśniał technik łączności, wyciągając rękę z telefonem. — Który z was go bierze?

Mason wyrwał mu komórkę z ręki, a Will Matthews, Martelli i ja założyliśmy słuchawki.

— Kimkolwiek jesteś — rzucił do słuchawki Mason — posłuchaj mnie uważnie.

Jego głos był silny, ton poważny i surowy.

— Masz do czynienia z armią Stanów Zjednoczonych. To, co zrobiłeś, dyskwalifikuje cię w roli strony w negocjacjach. Prezydent USA wydał specjalny rozkaz. Od tej chwili wszystkie kanały łączności zostają zablokowane. Masz, licząc od tej chwili, pięć minut na wypuszczenie zakładników, w przeciwnym razie zostaniesz zabity. Jediną gwarancją, jakiej mogę ci udzielić, jest to, że jeśli natychmiast odłożysz broń i wypuścisz wszystkich zakładników, uda ci się ująć z życiem. To jest jedyne, co możesz zrobić. Odpowiadaj. Czy to ma być ostatnie pięć minut twojego życia?

Mason wykonał bardzo zuchwałe posunięcie. Zastosował kontrowersyjną strategię używaną przez wywiad wojskowy polegającą na zastraszeniu porywacza. W ten sposób postawił wszystko na jedną kartę.

Po krótkiej przerwie po drugiej stronie odezwał się również stanowczy głos:

— Jeśli ten dupek nie rozłączy się w ciągu pięciu sekund, były prezydent dołączy do swojej żony w zaświatach. Pięć...

Zacząłem nawet współczuć Masonowi. To był ryzykowny ruch i teraz Mason wypadł z gry. Chyba nie miał żadnego planu awaryjnego.

— Cztery... — odliczał głos.
Will Matthews podszedł bliżej.

— Mason! — zawołał.

— Trzy...

Mason ścisnął słuchawkę, dech zamarł mu w piersi.
Wszyscy stali bez ruchu.

— Dwa...

Byłem dobrym negocjatorem, ale nie zajmowałem się tym od trzech lat i wcale nie miałem ochoty się w to mieszać. Z drugiej strony Ned Mason był spalony, a moją rolą jako drugiego negocjatora, czy mi się to podobało, czy nie, było włączyć się do gry.

— Jeden...

Podszedłem i wyjąłem Masonowi telefon z ręki.

Rozdział 22

— Cześć — zacząłem spokojnie. — mam na imię Mike. Przepraszam, schrzaniiliśmy to. Osoba, z którą rozmawiałeś, nie była upoważniona. Dementuję wszystko, co powiedziała. Jestem negocjatorem. Nie będzie żadnego szturmu katedry. Nie chcemy nikogo skrzywdzić. Jeszcze raz przepraszam za to, co zaszło. Z kim mam przyjemność rozmawiać?

— Możesz do mnie mówić Jack.

— Okay, Jack — odpowiedziałem. — Cieszę się, że chcesz ze mną rozmawiać.

— Nie ma sprawy — powiedział Jack. — Mam do ciebie prośbę, Mike. Powiedz temu najemnikowi, który przed chwilą próbował ze mną gadać, że zanim przystąpi do szturmu, powinien o czymś się dowiedzieć. Wszystkie okna i drzwi kościoła zaminowaliśmy wielką ilością C4 odpalanego przez czujnik laserowy. Lepiej niech więc trzyma się z daleka. Tak naprawdę lepiej, żeby w promieniu pięciu kilometrów wokół katedry nawet żaden gołąb nie odważył się zesrać, w przeciwnym razie wszyscy w środku polecą do nieba. Na twoim miejscu poważnie bym się zastanowił, czy nie zabrać natychmiast tego policyjnego śmigłowca, który wisi nam nad głowami. Zrób to migiem.

Odnalazłem wzrokiem Willa Matthews'a i ręką wskazałem sufit. Will Matthews powiedział coś do jednego z otaczających go policjantów, zaskrzeczało radio i kilka sekund później odgłos śmigłowca zaczął cichnąć.

— Okay, Jack. Załatwiłem z moim szefem, żeby helikopter zniknął. Teraz jest w porządku? Wszyscy w środku są cali? Jest tam sporo starszych ludzi, którzy mogą potrzebować pomocy medycznej. Podobno były jakieś strzały. Czy ktoś zginął?

— Jeszcze nie — odpowiedział Jack.

Postanowiłem chwilowo zignorować prowokacyjny ton odpowiedzi. Kiedy nawiążę z nim bliższy kontakt, spróbuję wyciszyć trochę emocje i sprawić, by mówił spokojniej i bardziej odpowiedzialnie.

— Potrzebujecie żywności albo wody? — zapytałem.

— Na razie niczego nam nie brakuje — oświadczył Jack.
— A teraz chcę ci wbić do głowy dwie rzeczy, o których musisz pamiętać. Masz nam dać to, czego zażądamy, a my mamy bezpiecznie się stąd ulotnić. Powtórz, Mike.

— Mamy dać wam to, czego zażądacie, a wy macie bezpiecznie się ulotnić — powtórzyłem bez wahania. Nim zyskamy jakąkolwiek przewagę, muszę sprawić, żeby mnie zaakceptował. Żeby widział we mnie tego, który zamierza spełnić ich żądania.

— Grzeczny chłopiec — pochwalił Jack. — Wiem, że z twojego punktu widzenia trudno to sobie wyobrazić, Mike. Że trudno w to uwierzyć. Ale to się dzieje naprawdę. Musisz to przyjąć do wiadomości. Nieważne, jak mocno będziecie sapać i dyszeć, mamy zamiar z tym uciec.

— Moim zadaniem jest załatwić to tak, żeby nikomu nic się nie stało. Łącznie z tobą, Jack. Uwierz mi.

— Och, Mike. Jak miło to słyszeć. Aha, i nie zapomnij. Już po wszystkim. Wygraliśmy. Na razie — powiedział porywacz i się rozłączył.

Rozdział 23

— Co myślisz o tych facetach, Mike? — Mason nagle odzyskał głos.

Miałem właśnie zamiar odpowiedzieć, ale że stałem najbliżej okna, jako pierwszy zauważyłam ruch przed katedrą.

— Chwileczkę — powiedziałem. — Otwierają się drzwi. Frontowe drzwi! Coś się dzieje!

W pojeździe pełnym policjantów rozległy się nagle trzaski wszystkich radiotelefonów, ich dźwięk odbijał się od ścian jak gumowe piłeczki moich dzieci.

W pierwszej chwili widziałem tylko mroczne wnętrze katedry. Następnie w progu pojawił się mężczyzna w podartej niebieskiej bluzie dresowej. Zamrugał oczami odwykłymi od światła słonecznego i zszedł po schodach na plac przed katedrą.

Kim był? Co się działo?

— Mam go — usłyszałem przez radio głos jednego ze snajperów.

— Wstrzymać ogień! — krzyknął Will Matthews.

Za mężczyzną w dresie kuśtykała kobieta ze złamanym obcasem.

— Co jest... — zaczął Will Matthews, kiedy początkowo

wąski strumień, a potem już cały potok ludzi zaczął opuszczać katedrę.

Setki, może nawet tysiąc osób, wyroiło się na Piątą Aleję.

Czyżby porywacze zamierzali uwolnić wszystkich zakładników? Policjanci wokół wydawali się równie zaskoczeni, jak ja.

Patrzyliśmy w milczeniu na wiernych opuszczających świątynię. To była niezwykła scena. Natychmiast pojawili się umundurowani policjanci, którzy kierowali tłum na południe, w stronę barykady przy Czterdziestej Dziewiątej Ulicy.

— Dawajcie tu wszystkich detektywów. Od rabunków, od ofiar, wszystkich! Mają natychmiast zacząć identyfikację i przesłuchanie wszystkich zwolnionych zakładników — warknął Will Matthews do jednego ze swoich zastępców.

I wtedy drzwi katedry zaczęły się zamykać. Co teraz miało nastąpić?

Martelli poklepał mnie po plecach.

— Dobra robota, Mike — pochwalił. — Jak z podręcznika negocjacji. Właśnie uratowałeś tysiące ludzkich istnień.

Przyjąłem komplement z uznaniem, choć miałem wrażenie, że taki przebieg wypadków nie był moją zasługą.

Może taktyka Masona jednak przyniosła rezultaty. A może po prostu stracili zimną krew.

Wyglądało to bardzo dziwnie.

— To już koniec? — zapytał Will Matthews. — Czy to możliwe?

Wszyscy w pomieszczeniu wzdrygnęli się nagle, kiedy odezwał się dzwonek telefonu.

— Obawiam się, że nie — powiedziałem.

Rozdział 24

— Cześć, Mike — przywitał mnie Jack. — Jak tam sytuacja, stary? Ludzie są już bezpieczni? Mam nadzieję, że nikt nie został stratowany na śmierć.

— Nie, Jack — odparłem. — Wszyscy są cali. Dzięki za rozsądne postępowanie.

— Robię, co mogę, Mike. No, ale do rzeczy. Wołałem wyjaśnić wszystkie nieporozumienia, a więc teraz, kiedy uwolniłem płotki, czas pogadać o grubych rybach, które wciąż tu przetrzymujemy.

Wyrzałem przez okno i przyjrzałem się uwolnionym właśnie ludziom. O Boże! On mówi prawdę! Gdzie były prezydent Hopkins? Burmistrz Nowego Jorku? Eugena Humphrey? Ci z czołówek gazet wciąż są w środku? Ilu?

— Żeby ułatwić ci zadanie, mamy trzydziestu czterech zakładników — powiedział Jack, jakby czytał w moich myślach. — Oczywiście gwiazdy, kilku magnatów finansowych, kilku polityków. Podaj mi numer faksu, to prześlę ci listę. Oraz nasze żądania. I teraz zbliżamy się do punktu, gdzie albo wszystko pójdzie gładko, albo się strasznie skomplikuje, Mike. Wybór należy do was, panowie.

Zdałem sobie sprawę, że zaczynamy przechodzić do kon-

kretów. To było niewiarygodne porwanie. Najbardziej niezwyczajne, jakie kiedykolwiek przyszło komuś do głowy. Nic nie mogło się z tym równać.

— Mamy tu wszystkich, Mike. Jak dotąd nikomu nie stało się nic złego. Ale jeśli będziecie, chłopcy, zbyt ambitni i spróbujecie wejść do środka, to urządzimy tu taką rzeź, jakiej ten kraj jeszcze nie widział. A cóż nam pozostało oprócz naszych sław? To nasz najlepszy towar eksportowy. Gwiazdy ekranu i muzyki pop, prawda? Daj nam to, czego żądamy, Mike, a wszystko dobrze się skończy. Pogódź się z tym. Jesteś pokonany.

Choć to nieprawdopodobne, poczułem ulgę. Zbrodniarze są straszni, zwłaszcza kidnapery. Ale przynajmniej nie mieliśmy do czynienia z terrorystami, z bezmyślną siłą pragnącą zabić jak najwięcej ludzi dookoła.

— Tak samo jak wy, chcemy rozwiązać ten problem, Jack — zapewniłem.

— Cieszę się, że to mówisz, Mike — oznajmił Jack. — Twoje słowa brzmią w moich uszach jak najpiękniejsza muzyka. Daję tobie i twoim szefom szansę wykaraskania się z kłopotów w dobry, stary, amerykański sposób. Podpowiem wam rozwiązanie.

Rozdział 25

Jack rozłączył się kilka sekund po tym, jak podałem mu numer faksu, który przekazał mi sierżant zajmujący się łącznością. Paul Martelli zdjął z uszu słuchawki i przeszedł przez pomieszczenia. Usiadł obok mnie.

— Dobrze robisz, Mike. Dzięki opanowaniu zyskujesz przewagę.

— Co sądzisz o tym facecie, Paul? — spytałem. — Pierwsze wrażenie, cokolwiek.

— Cóż, na pewno nie jest chory umysłowo — powiedział Martelli. — Jest pewny siebie. Spróbuj spojrzeć na to z jego punktu widzenia. Siedzi tam otoczony gliniarzami ściągniętymi z trzech okolicznych stanów, a zachowuje się jak przemądrzały dupek i sypie anegdotami. Mam wrażenie, że on wie coś, czego my nie wiemy. Nie wiem, co to takiego. Co Jack może wiedzieć, czego my się nawet nie domyślamy?

Przytaknąłem. Odniosłem takie samo wrażenie, tylko nie potrafiłem ubrać tego w słowa. Ja także nie miałem pojęcia, co Jack wie.

— Mamy zapewne do czynienia z zatwardziałym profesjonalnym kryminalistą — ciągnął Martelli. — Poza tym z niektórych jego uwag wynika, że ma pojęcie o taktyce wojskowej.

— To, co mówił o materiałach wybuchowych w oknach i drzwiach. Sądziś, że to prawda?

— Jeśli wziąć pod uwagę, ile udało mu się do tej chwili zrobić, to tak, może to być realne zagrożenie. Jeśli zaczniemy szturmować katedrę, wysadzi ją w powietrze.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Neda Masona. Znalazł sobie miejsce w najdalszym końcu pomieszczenia. Ponieważ w wozie dowodzenia wciąż jeszcze czuło się duszną atmosferę spowodowaną jego błędem, starał się być niewidoczny.

— Ned, powiedz mi — zwróciłem się do niego — dlaczego twoim zdaniem pozwolili wyjść tym ludziom? Przecież też mogli ich zatrzymać. Gdzie tu logika?

Mason podniósł wzrok zaskoczony, że ktoś w ogóle chce z nim jeszcze rozmawiać.

— Zastanówmy się — powiedział wstając i dołączając do grupy. — Pierwsza sprawa to logistyka. Skoro nie potrzebujesz tylu zakładników, to po co ich przetrzymywać? Mogą się rozchorować albo zranić i wtedy byłaby to twoja wina. Albo jeszcze gorzej, mogliby stawiać opór. Rozpędzić tłum to jedno, ale zapanować nad tłumem przez dłuższy czas, to już ryzykowne zadanie. Zresztą, jak widzę, postępują zgodnie z tym wzorem od samego początku. Już w pierwszej chwili przegonili stróżów prawa, wiedząc, że ci mogą próbować dalszej walki.

Martelli przyznał mu rację skinieniem głowy i dodał:

— Poza tym mogli uznać, że wypuszczenie tylu zakładników będzie się dobrze prezentowało w telewizji. Rozumiecie, zwykli obywatele mogą iść do domu, a zatrzymujemy tylko krezusów. Strategia Robin Hooda. Odgrywają przed publicznością spektakl.

— Dranie przebrani za aniołki, tak? — stwierdził Mason. — Miejsce akcji: środkowy Manhattan. Jak im się udało znaleźć dziurę w ochronie? Musieli to planować od miesięcy. Może nawet od lat. Jedno potężne uderzenie.

Walnąłem pięścią w stół tak mocno, że nasze kubki z kawą aż podskoczyły. To było to! To mnie właśnie niepokoiło. Trudno było uwierzyć, że wnioski, do jakich doszedłem, mogą być prawdziwe.

— Cała akcja była wyreżyserowana, tak? Nie zapomniano o żadnym szczególe, ale jak można planować wzięcie zakładników podczas uroczystego pogrzebu państwowego, skoro nie ma nieboszczyka? Nie wiem, w jaki sposób, ale musieli najpierw zamordować Caroline Hopkins.

Rozdział 26

Czyścioszek wyglądał przez okno czwartego piętra domu towarowego Saks Fifth Avenue i śmiał się w duchu, obserwując pokrywającą się zamarzającymi płatkami śniegu ulicę.

Spójrzcie tylko na tych wszystkich przebierających nogami dupków, pomyślał. Wystarczy zastąpić to całe świąteczne lala-la muzyką ze starego pianina i będziemy mieli dobrą, starą komedię o gliniarzach nieudacznikach.

Chryste, ale to frajda.

Uniósł lekko drżącą dłoń i trzymał ją na wprost rozradowanej twarzy. Przypomniawszy sobie wszystkie swoje, przesycone przemocą, fantazje. Najlepsza była ta, kiedy stał pośrodku Grand Central Station w godzinach szczytu i nagle wydobywał coś spod pazuchy. Czasami był to samurajski miecz. Czasami piła łańcuchowa. Ale najlepszy był miotacz płomieni. Budził trwogę i przerażenie.

Rzeczywistość jest jednak znacznie ciekawsza, pomyślał, spoglądając w dół na „władze” i „ekspertów od sytuacji kryzysowych”.

Nareszcie miał realną władzę nad realnymi ludźmi.

Nagle muzyka w sklepie ucichła. Co się dzieje?

— Na polecenie policji zamykamy nasz dom towarowy. Prosimy o udanie się do najbliższego wyjścia i zachowanie spokoju. Nie ma żadnego zagrożenia — popłynęło z głośników.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Czyścioszka. Teraz będą tańczyć tak, jak on im zagra.

Nareszcie urzeczywistnił swoje mroczne marzenia. Był mistrzem. Wyjął z kieszeni paczkę chusteczek i, wciąż jeszcze drżącymi palcami, rozerwał ją. Ale kiedy przecierał twarz, był już twardy jak skała.

Potem zadzwonił do domu, aby porozmawiać z żoną i dziećmi.

— Wszystko w porządku, Helen. Nic mi nie grozi.

Rozdział 27

Stephen Hopkins usiadł samotnie w ławce w małej kaplicy, tuż za głównym ołtarzem. Dłońmi obejmował głowę. Był nawet zadowolony, że Caroline nie widzi tego, co wyprawia się na jej pogrzebie. Była taka dobra i na pewno cierpiałaby okropnie z tego powodu.

W ławkach siedziało około trzydziestu zakładników. Wiele twarzy rozpoznawał, byli to wspaniali ludzie, których Caroline namówiła do działalności charytatywnej.

Podniósł wzrok na trzech zamaskowanych i uzbrojonych mężczyzn, stojących w przedniej części kaplicy. Bydlaki, byli bardzo czujni. Często otaczali go żołnierze, a ci właśnie ludzie przypominali swoim zachowaniem żołnierzy. Czyżby to byli eks-wojskowi?

Czy zrobili to z powodów politycznych? Kiedy rozpoczęło się całe zamieszanie, pomyślał, że to terroryści z Bliskiego Wschodu, ale ci bez wątpienia byli Amerykanami. O co im, do diabła, chodziło? Jak mogli być tak bezczelni? Nie bali się śmierci?

Niski, muskularny porywacz wyszedł na środek głównej nawy i teatralnie odchrząknął.

— Witam wszystkich, mam na imię Jack. Mojego wiel-

kiego, okrutnego kumpla możecie nazywać Mały John. Najmocniej przepraszam, że musieliśmy was w taki sposób zatrzymać. Jeżeli ktoś będzie chciał skorzystać z toalety, wystarczy podnieść rękę, a ktoś państwa odprowadzi. Mamy żywność i wodę. Znowu wystarczy podnieść rękę. Możecie się państwo położyć w ławkach lub na podłodze, tam, z tyłu. Jeśli będziecie współpracować, wszystko dobrze się skończy. Jeśli nie, cóż, konsekwencje mogą być bardzo niemiłe. Wybór należy do państwa.

Kim był ten mały neptek, żeby pouczać ich, jakby byli zamkniętymi w kozie uczniakami? Stephen Hopkins wstał w tym samym momencie, co burmistrz Nowego Jorku. Burmistrz z powrotem usiadł.

— O co tu chodzi? — zapytał ze złością. — Czego od nas chcecie? Dlaczego nie uhonorował pan mojej żony?

— Panie prezydencie — odpowiedział porywacz, uśmiechając się. — Proszę nie mówić do mnie tym tonem. Staram się być uprzejmy i oczekiwałbym tego samego od pana.

Stephenowi Hopkinsowi pobiełały dłonie zaciśnięte na oparciu stojącej przed nim ławki. Nie przywykł, żeby ktokolwiek zwracał się do niego w taki sposób. Od dawna, bardzo dawna nikt się na to nie ośmielił.

— Och, przepraszam — powiedział. — Widzę, że nieobca jest panu etykieta. Więc może szanowny pan w kominiarce na głowie będzie łaskaw poinformować zgromadzonych, w jakim celu przetrzymuje ich tu siłą.

Kilka osób zaśmiało się nerwowo i wyprostowało nieco w ławkach.

Szef porywaczy rozejrzał się wokół i także zaczął się śmiać. Następnie chwycił byłego prezydenta za siwe włosy.

— Dlaczego, dlaczego, dlaczego? — wysyczał mu wprost do ucha. — To był zawsze twój najslabszy punkt, chłopczyku. Zawsze musiałeś dzielić włos na czworo.

— Ty sukinsynu! — wrzasnął Hopkins. Miał wrażenie, że tamten za chwilę wyrwie mu wszystkie włosy. Jack, choć niezbyt wysoki, był bardzo silny.

— Nazywasz moją matkę suką? — zapytał Jack. — Tak cię wszyscy ostatnio całowali w dupę, że zapomniałeś, że można ci ją skopać. Spróbuj mnie jeszcze raz obrazić, dupku, a wypruję z ciebie flaki i każę ci je zjeść.

Jack jednym szarpnięciem wyciągnął byłego prezydenta na środek nawy i wtedy puścił jego włosy. Hopkins runął na podłogę.

Porywacz odetchnął głęboko i uśmiechnął się do pozostałych zakładników.

— Widzicie? Takie mam usposobienie — wyjaśnił. — Byliście świadkami mojej chwilowej słabości.

Po długim namyśle wskazał palcem na byłego prezydenta.

— Wie pan co, panie prezydencie? Na dzisiaj ma pan dosyć. Proszę iść do domu. Zwalniam pana! Zabierzcie go stąd, do diabła!

Dwóch porywaczy brutalnie chwyciło Hopkinsa pod rękę i zaczęło ciągnąć go do drzwi.

— Powiem ci coś jeszcze, Hopkins — zawołał za nim Jack. — Teraz, kiedy miałem okazję cię poznać, cieszę się, że głosowałem na Nadera. Dwukrotnie!

Rozdział 28

John Rooney, uznany przez „Los Angeles Timesa” za najlepszego aktora komediowego dekady, modlił się. Choć był niepraktykujący, był także chrześcijaninem. Siedział bez ruchu w swojej ławce i w milczeniu modlił się do Boga.

Przerwał w połowie, kiedy coś małego i ostrego uderzyło go w szyję. Spojrzał w dół i dostrzegł na ławce przed sobą zwiniętą kulkę papieru. Co to, do diabła, jest?

Kartkę wyrwano ze śpiewnika. Czarnym atramentem, tuż nad nutami, ktoś napisał „otwórz”.

Rooney skrył kulkę papieru w dłoni i zerknął na pilnujących ich porywaczy. Największy z nich, chyba Mały John, siedział na ołtarzu, jakby to była maska samochodu i ziewał tak szeroko, że mógł zobaczyć jego trzonowe zęby.

Rooney rozwinął na kolanach kartkę.

Rooney, jestem w ławce za tobą.
Przesuń się powoli na środek
ławki, to pogadamy. Cokolwiek
zrobisz, nie pozwól, żeby ta gnida z przodu
Cię zobaczyła! Charlie Conlan.

Rooney wsunął papier do kieszeni, gdyż nie było innego sposobu, żeby się go pozbyć. Przez następne kilka minut przesuwiał się powoli po zrobionej z jesionowego drewna ławce. Kiedy dotarł na miejsce, usłyszał za sobą chropawy szept:

— Jezu, Johnny. Napisałem „powoli”, ale nie jak góra lodowa.

— Przepraszam — odszepnął Rooney.

— Widziałeś, co zrobili Hopkinsowi? — zapytał Conlan.

Rooney ponuro skinął głową.

— Jak sądzisz, czego oni od nas chcą? — zapytał.

— Nic dobrego — powiedział Conlan. — Gwarantuję ci. Martwi mnie to, że kościół jest otoczony przez policję. To od nas zależy, czy tych facetów zastrzelą, czy wyślą na resztę życia do więzienia.

— Co mamy w takim razie robić? — spytał Rooney.

— Walczyć — odparł Conlan. — Za mną siedzi Todd Snow. Rozmawia właśnie z tym bogaczem, Xavierem Brownem. Razem z tobą jest nas czterech.

— I co zrobimy? — dopytywał się Rooney. — Widziałeś, jak postąpili z Hopkinsem, ledwie otworzył usta.

— Na razie czekamy. Bądź cierpliwy. Nas czterech poradzi sobie z jednym czy nawet dwoma porywaczami. John, możemy nie mieć innego wyjścia.

Rozdział 29

Euforia, jaką poczuła reporterka „New York Timesa”, Cathy Calvin, kiedy została uwolniona przez porywaczy, szybko ustąpiła miejsca irytacji, że musi razem z innymi czekać w kolejce na przesłuchanie przez policję. Przed domem towarowym Saks Fifth Avenue otoczono kordonem wszystkich uwolnionych zakładników i nie wypuszczano nikogo, póki nie został przesłuchany przez jednego z czterech policjantów siedzących przy rozkładanych stolikach na chodniku.

Calvin dopiero teraz zauważyła, że dziennikarskie furgonetki ze sterzącymi w górę antenami znajdują się za barykadą.

Zaraz, chwileczkę, o czym ona myślała? Dlaczego narzekała? Była przecież tam, gdzie każdy chciałby się znaleźć — za kordonem!

Calvin szybko przeanalizowała strategiczną przewagę swojego położenia. Była w katedrze przed, w trakcie i po napadzie. Była naocznym świadkiem oblężenia, a to dawało jej szansę na wyłączność.

Po chwili w kolejce do przesłuchania zauważyła Carmellę, supermodelkę, reklamującą bieliznę. Może nie była to osoba z pierwszych stron gazet, ale na początek w sam raz.

— Carmella? Cześć. Cathy Calvin z „Timesa”. Wszystko w porządku? Gdzie byłaś, kiedy to się wydarzyło? Co widziałaś?

— Byłam z przodu, trochę z lewej — odpowiedziała z austriackim akcentem wysoka na metr osiemdziesiąt siedem blondynka. — Akkurat trumna biednej Caroline mijała naszą ławkę. Zen Eberhard, mój ochroniarz, dostał zbiornikiem z gazem łzawiącym phrosto w khrocze. Teraz nigdzie nie mogę znaleźć Eberharda. Wysyłam mu bez przerwy SMS-y, ale on nie odpowiada. Widziałaś go może?

Cathy Calvin spojrzała z zainteresowaniem na wysoką modelkę. Może była w szoku? Miała nadzieję, że tak było.

— Chyba nie — odpowiedziała. — Mówi się, że nie wszyscy zakładnicy zostali uwolnieni. Wiesz coś o tym? Może coś słyszałaś?

— Pewnie — powiedziała blondynka. — Widziałaś Johna Rooneya? A Laurę Winston albo tę małą sukę Mercedes? Oni nadal są w środku. Burmistrz też. Ci porywacze nie mają gustu. Dlaczego trzymają takich nieudaczników, a mnie wypuścili?

No, faktycznie, dlaczego, pomyślała Cathy Calvin, kiwnęła głową i odeszła. Ta psychopatka naprawdę skarżyła się, że jest już wolna. Nawet kiedy pomieszczenie dla VIP-ów jest okupowane przez terrorystów, ona chce być w środku.

Przez tłum przebiegł szmer i Calvin odwróciła się, kierując spojrzenie na katedrę.

Znad maski śmieciarki zauważyła, że główne drzwi kościoła otwierają się ponownie. Co teraz? Zaczęła biec, chciała być jak najbliżej i niczego nie przegapić.

I wtedy, już po raz drugi czy trzeci tego ranka, reporterka „Timesa” nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

— O mój Boże — wyszeptała.

Rozdział 30

Wciąż jeszcze siedziałem w samochodzie dowodzenia, gdzie uzgadniałem z Martellim i Masonem strategię negocjacji, kiedy drzwi katedry otworzyły się po raz drugi.

Gdy zobaczyłem, kto pojawił się w progu, poczułem, jakby ktoś wrzucił mi za kołnierz koszuli wiaderko lodu.

— Jezus, co oni teraz chcą zrobić?

Wyglądający na zszokowanego Stephen Hopkins, potykając się, zszedł po schodach na ulicę. Drzwi za nim szybko się zamknęły. Wypuścili Hopkinsa? Ale dlaczego?

To kolejne nieprzewidywalne posunięcie porywaczy, pomyślałem, czując, że robi mi się niedobrze. To wspaniale, że uwolnili byłego prezydenta, ale sposób ich postępowania przeczył wszelkim regułom. Czy właśnie o to im chodziło? Miałem co do tego wątpliwości.

Spontaniczne, radosne okrzyki wyrwały się z gardel zarówno policjantów, jak i tłumu gapiów zgromadzonych za barykadą.

— Ruszcie się — usłyszałem Willa Matthews. — Zabierzcie prezydenta. Powtarzam! Ruszcie się i zabierzcie go stamtąd. Ale już!

Ledwie Will zdążył wypowiedzieć te słowa, a pół tuzina policjantów rzuciło się w kierunku byłego prezydenta i zaciągnęło go za barykadę przy Pięćdziesiątej Ulicy.

Stałem przy oknie i wpatrywałem się w gmach katedry. Widmowe gotyckie łuki, blade granitowe ściany, mroczne witraże. A Stephen Hopkins jest już na wolności, cały i zdrowy.

Jak miałem sobie z tym wszystkim poradzić? Pomyślałem o Maeve i dzieciach. Nieczęsto się skarżę, ale czy nie za dużo kłopotów spadło na moje barki? Potrzebny mi był jeszcze kryzys w katedrze?

Paul Martelli chwycił mnie za ramię.

— Robisz, co możesz, Mike, choć sytuacja jest okropna — powiedział, jakby czytał w moich myślach. — To ci straconcy w środku są odpowiedzialni za ten koszmar. Nie my. Pamiętaj o tym.

— Hej, słyszeliście, jak agencje rządowe urządziły polowanie na zajęce w lesie? — odezwał się z narożnika samochodu Ned Mason.

Spojrzałem na niego. Zebrało mu się na opowiadanie dowcipów.

— Nie — odparłem uprzejmie.

— Pierwsi poszli ci z CIA — kontynuował Mason. — Wracają i mówią: nasi agenci donoszą, że nie ma żadnego lasu ani żadnych zajęcy. Potem wysłali Federalną Bandę Idiotów czyli FBI i nagle las zaczyna płonąć, a oni donoszą, że zajęca ma skłonności piromańskie i widziano go z zapalniczką w łapie. Wicie, co się stało, kiedy posłali do lasu nowojorską policję?

— Nie, ale jestem pewny, że nam powiesz — stwierdziłem, siląc się na uśmiech.

Mason mówił dalej. Był gorszy, niż zdołałem go zapamiętać.

— Dwóch detektywów idzie tam i wraca po pięciu minutach, ciągnąc za sobą skutego kajdankami niedźwiedzia. Miś ma podbite oko i w kółko powtarza: „Już dobrze, dobrze, jestem zającym”.

Przewróciłem oczami, a Martelli spojrzał na Masona.

— Ten dowcip nie był tylko trochę zły — powiedział Martelli. — On był całkiem do niczego.

Rozdział 31

Eugena Humphrey siedziała odrętwiała i wpatrywała się w płomień świec pełgające na ołtarzu. Usiłowała dostrzec wydarzenia ostatniej godziny w jakiejś interesującej perspektywie.

Gospodyni prowadzonego w Los Angeles talk-show wiedziała, że aby przebrnąć przez jakąś ciężką próbę, trzeba najpierw ukoić własne emocje. Jej uwagę niemal od razu przykuł rząd świec wotywnych ustawionych wzdłuż południowej ściany kaplicy. Było coś uspokajającego i dodającego otuchy w sposobie, w jaki cienkie języki ognia poruszały się za złoto-czerwona szybą.

Przebrnę przez to, pomyślała sobie. Przed kościołem musiał się teraz kręcić tłum uwolnionych zakładników. I dziennikarzy. Jakoś muszą rozwiązać ten problem.

Eugena z trudem przełknęła ślinę i westchnęła.

Jakoś muszą to rozwiązać.

Kiedy tylko weszła do katedry, jeszcze przed rozpoczęciem uroczystości, pomyślała, że wysokie mury z kamienia i marmuru są zbyt zimne, zbyt surowe. Ale po chwili, gdy przyjrzała się wotom i poczuła głęboką ciszę tego miejsca, zdała sobie sprawę, że panuje tu takie samo duchowe ciepło, jakie

czuła w kościele baptystów w Wirginii Zachodniej, do którego co niedziela zabierała ją matka.

— Mój Boże — szeptała siedząca obok niej kobieta. -
Mój Boże, jak ten koszmar się skończy?

To była Laura Winston, nowojorska kreatorka mody. Biedna Laura, wciąż była rozdygotana. Szaroniebieskie oczy miała tak wybałuszone, jakby za chwilę miały wypaść z orbit jej chirurgicznie modelowanej twarzy. Eugena pamiętała, jak próbowała ściągnąć dyktatorkę mody do swojego programu. Zdobyła wtedy prywatny numer telefonu Laury i zadzwoniła, żeby osobiście porozmawiać o tym pomysle.

Do tej pory pamięta jej wysoki, gdaczący śmiech. „Kto pani podsunął ten pomysł? Pewnie Calvin, prawda? Niech mu pani powie, że wystąpię u Eugeny, kiedy on zacznie pracować dla sieci Gap”.

Co gorsza, trzy miesiące później Winston pojawiła się w talk-show Wysokie obcasy na głównej ulicy. Tyle że to był program Oprah, największej konkurentki Eugeny.

Eugena była wściekła, ale to już przeszłość. Wyciągnęła rękę i jej miękka, czarna dłoń znalazła kościstą białą rękę dyktatorski mody. Ścisnęła ją lekko, aż Laura podniosła na nią wzrok. Eugena objęła czule ramieniem szlochającą kobietę.

— No już, spokojnie. Jesteśmy w kościele, wszystko w rękach Boga — powiedziała uspokajająco. W swoim głosie czuła siłę i wiarę, i była z siebie dumna.

Jakoż przez to przebrnie. Wszyscy przebrną.

— Wszystko będzie dobrze — pocieszała ją. — Jesteś całkiem miła, Lauro.

— Czy my przeżyjemy?

Rozdział 32

Laura Winston otarła łzy szykowną czerwoną jedwabną chusteczką, którą wyjęła z kieszeni żakietu i cicho dziękowała Eugenie za jej dobroć, kiedy przy głównym ołtarzu powstało jakieś zamieszanie.

Ktoś wstał!

Po splątanej burzy włosów na głowie i czarnej minispódnicy Laura rozpoznała w tej osobie szmirowatą piosenkarkę Mercedes Freer.

Wysokie na piętnaście centymetrów obcasy stukwały głośno o marmurową posadzkę, kiedy Mercedes kroczyła w kierunku tylnej części kaplicy.

— Siadaj, do cholery! — krzyknął głośno jeden z porywaczy.

— Mogłabym z kimś, do diabła, porozmawiać? Muszę pogadać z waszym pieprzonym szefem, jeśli nie masz nic przeciwko temu! — powiedziała diwa, a jej rynsztokowy język odbijał się echem od murów kościoła. — Dajcie mi porozmawiać z kimś, kto tu rządzi!

Laura i Eugena, podobnie jak reszta zakładników, wyciągnęły szyję, żeby lepiej widzieć ten spektakl. Co ta wariatka zamierzała zrobić?

Chwilę później pojawił się szef porywaczy.

— O co chodzi? — zapytał Jack. — Mów. Jestem twoim fanem. W czym mogę pomóc?

Mercedes zdjęła jeden, potem drugi brylantowy kolczyk i wręczyła je Jackowi.

— To od Cartiera — szepnęła. — Zapłaciłam za nie ćwierć miliona dolarów. Dziś wieczorem mam wystąpić w show Jaya Leno, nagranie zaczyna się o szóstej czasu Los Angeles, więc już jestem spóźniona. Wiesz, co ci powiem? Nie obchodzi mnie ani polityka, ani religia, nic z tych rzeczy. Miałam zaśpiewać Ave Maria i tyle. Bierz je. Są prawdziwe i należą do ciebie. Jeśli to nie wystarczy, zadzwonię do mojego agenta. Powiedz tylko słowo. Ubijmy interes, skarbie.

Eugena skrzywiła się, słysząc, jak biała dziewczyna próbuje mówić językiem murzyńskich slumsów. Rok temu gościła Mercedes w swoim programie i zapamiętała z jej biografii, że urodziła się w eleganckim, białym New Canaan w stanie Connecticut. Eugena zastanawiała się, ileż to książek o slangu musiała przeczytać, żeby tak splugawić swoją mowę. Świat chyba stanął na głowie.

Porywacz zważył w dłoni kolczyki, jakby szacował ich wartość, a następnie rzucił nimi, jeden po drugim, prosto w twarz dziewczyny.

— A może zamiast tego — powiedział wolno — posadzisz swoją zdzirowatą dupę na miejscu?

Twarz Mercedes pociemniała. Potem pstryknęła palcami przed twarzą Jacka.

— Zdzirowatą? — powtórzyła z wściekłością. — Wiesz, z kim rozmawiasz, konusie?!

Porywacz bez wahania wyjął z kieszeni pojemnik z gazem. Złapał piosenkarkę za włosy i opróżnił go prosto w jej twarz. Wokół głowy Mercedes zawisł obłok gazu pieprzowego.

Kiedy upadła na kolana, Jack w milczeniu przeciągnął ją

za włosy przez środek nawy, wprost pod drzwi konfesjonau przy północnej ścianie. Otworzył je, wepchnął dziewczynę do środka i z powrotem zamknął.

— Mała suka — powiedział do zakładników, patrzących na to zajęcie szeroko otwartymi oczami. — Ktoś jeszcze chce porozmawiać o swoich planach na dzisiaj?

Jack stukał nogą w podłogę. Wokół zalegała cisza.

— Rozumiem, że nie ma chętnych — odezwał się w końcu. — No dobrze, posłuchajcie. Zaczynamy teraz indywidualne przesłuchania. Proszę się ustawić w szeregu przy pierwszych drzwiach po prawej stronie z tyłu kaplicy. Natychmiast!

Eugena, podobnie jak pozostali, wstała i potulnie odwróciła się w stronę, którą wskazał Jack. Przechodząc przez nawę, słyszała jęczącą w konfesjonale Mercedes.

Żal jej było dziewczyny, ale po co rozwścieczała tych mężczyzn? Co zamierzała osiągnąć? Pewnie myślała, że ją puszcza wolno. Ciekawe, kiedy ostatnio ktoś odmówił czegokolwiek tej rozpieszczonej gwiazdzie?

Kiedy Eugena ustawiła się wreszcie na końcu kolejki, stwierdziła, że to ona powinna porozmawiać z porywaczami. Nikt inny nie miał takich szans na sukces, jak właśnie ona.

Spojrzała jeszcze raz na złotawy, migoczący rząd świec. Może właśnie dlatego znalazła się w tym miejscu, pomyślała.

Po to, żeby negocjować?

Rozdział 33

Charlie Conlan czekał w kolejce na „przesłuchanie”. Miało to zapewne wyglądać nieco melodramatycznie, a tymczasem wyszło tandetnie. Porywacze w maskach i habitach próbowali stworzyć gotycki, mroczny nastrój, wystraszyć swoje ofiary. Swoją drogą całkiem sprytna taktyka.

Conlan wiedział, że większość legendarnych postaci rocka to ludzie niezbyt twardzi. Ale byli i tacy, którzy swoje przeżyli. To, czego nie zdołał się nauczyć na ulicy w biednej dzielnicy Detroit, poznał w Hanoi, gdzie spędził prawie cały 1969 rok.

Conlan przygotował się, kiedy ciemne, drewniane drzwi otworzyły się wreszcie i z konfesjonału wyszła Marilyn Rubenstein. Gdy młoda aktorka podeszła bliżej, zauważył, że jest wstrząśnięta. Jej blond włosy kleiły się od potu, a szkliste oczy zdawały się mówić, że została zmuszona do oglądania czegoś okropnego.

Zauważyła spojrzenie Conlana, kiedy strażnicy odciągali ją na bok.

— Rób, co ci każą — doradziła mu szeptem.

— Następny — zawołał znudzonym głosem porywacz stojący w drzwiach. — Czyli ty, mądralo.

Conlan zawahał się, następnie przekroczył marmurowy próg pomieszczenia.

Od razu zauważył, że nie jest to konfesjonał, tylko niewielki pokój ochrony. Kilka składanych krzesel, stół. Ekspres do kawy i rząd radiotelefonów na metalowej półce podłączonych do ładowarek.

Przy metalowym stoliku pośrodku pomieszczenia siedział szef porywaczy, Jack. Ręką wskazał puste metalowe krzesło po przeciwnej stronie stolika.

— Proszę, panie Conlan, niech pan siada. Jestem pańskim fanem.

— Dziękuję — Conlan usiadł.

Na środku stołu leżały dwa przedmioty. Kajdanki w przezroczystym plastikowym worku i rolka taśmy samoprzylepnej. Conlan patrzył na nie, usiłując stłumić narastający w nim strach. Nie okazuj strachu, Charlie. Trzymaj się.

Jack podniósł z kolan notatnik. Pstryknął długopis.

— No dobrze, panie Conlan — zaczął. — Aby uprościć nasze działania, zamierzam zapytać pana o nazwiska i numery telefonów ludzi, którzy zajmują się pańskimi finansami. Bardzo pomocne będą też PIN-y, wszelkie kody dostępu do pańskich zasobów finansowych, hasła i tym podobne rzeczy.

Ich spojrzenia spotkały się i Conlan zmusił się do uśmiechu.

— Więc chodzi o pieniądze... — stwierdził.

Porywacz postukał długopisem w okładkę notesu i zmarszczył brwi.

— Nie mam czasu na czczą gadaninę, panie Conlan — powiedział. — Będzie pan współpracował czy nie? To ostatnia szansa.

Conlan postanowił, że będzie oryginalny i spróbuje przekonać się, o co tu chodzi.

— Muszę się chwilę zastanowić — powiedział, pocierając palcami podbródek. — Hmm... Eeeee... A jeśli po wiem nie...?

Jack powoli wyjął z torby kajdanki i wstał. Zaszedł Conlana od tyłu i jednym wprawnym ruchem skuł jego nadgarstki na plecach.

Conlan zacisnął szczękę, oczekując pierwszego ciosu. Prawdziwe zęby już dawno wyrwał mu dentysta.

Ale żadnego ciosu nie było.

Zamiast tego usłyszał szelest i plastikowa torba znalazła się niespodziewanie na jego głowie.

Zatrzeszczała owijana wokół szyi niczym stryczek taśma. Charlie Conlan natychmiast zaczął się pocić. Plastik przywierał do skóry, wciskał się do ust i nosa przy każdej rozpaczliwej próbie nabrania powietrza.

— Trochę gorąco, co, twardzielu? — wyszeptał mu do ucha Jack.

Conlan się zakrzuszył. Czuł, jak mu płonie krtań. Och, Boże, Chryste, nie. Nie w taki sposób.

Jack usiadł, ziewnął i założył nogę na nogę. Conlan dostał konwulsji. Po chwili trwającej wieczność porywacz spojrzął na zegarek.

— Zamierzasz poprzeć mój program „forsa za tlen”? — zapytał. — Wszystko zależy od ciebie.

Conlan energicznie pokiwał głową. Jack pochylił się nad stołem. Palcem zrobił małą dziurkę w torbie i do środka napłynęło ożywcze powietrze.

— Myślałem, że inspiracją dla ciebie byli Beatlesi, Charlie — powiedział z uśmiechem Jack, bębniąc palcami w blat stolika. — Daj spokój, nie pamiętasz? Najlepsze rzeczy w życiu są darmo...

Conlan oddychał chrapliwie z opuszczoną głową. Pod jego brodą pojawił się notes, a na nim długopis.

Przez głowę Conlana, kiedy zaczerpnął już powietrza, przemknęły dwie myśli. Pierwszą była modlitwa. Drugą przekleństwo.

Boże mój.

Mamy przesrane.

Rozdział 34

Skończyłem właśnie rozmowę z Maeve i pomyślałem, że to ja bardziej potrzebowałem usłyszeć jej głos, niż ona mój.

W tej samej chwili niespiesznie wszedł do wozu dowodzenia Steve Reno z kartonem pełnym kanapek i kawy. Uścisnął mi dłoń i podał kubek napoju.

Pamiętałem Steve'a z poprzednich akcji. Jak większość wyższych oficerów nowojorskiej policji ten wysoki, długowłosey, muskularny mężczyzna był nieco dziwaczny. Nikt nie był bardziej cierpliwy i wyrozumiały, kiedy znajdował się przed zabarykadowanymi drzwiami. A jednocześnie nikt nie działał szybciej niż on, kiedy trzeba było te drzwi wyważyć. Steve Reno był wyjątkowo tajemniczą postacią. Jak dotąd miał trzy żony, pięcioro dzieci, mieszkał w SoHo i jeździł pick-upem z naklejonym na tylnej szybie znaczkiem Semper Fi — mottem amerykańskich marines.

Za nim stało dwóch komandosów z FBI w czarnych mundurach polowych SWAT. Niższy z nich mógłby być hydraulikiem albo nauczycielem, gdyby nie spojrzenie jasnozielono-

nych oczu, które błyskawicznie omiotło całe pomieszczenie i mnie samego, zapamiętując każdy szczegół z precyzją fotokopiarki.

— Mike, to jest Dave Oakley z zespołu ratowania zakładników HRT — powiedział Steve. — Najlepszy żyjący szef oddziału taktycznego.

— Daj spokój, Steve. Nie czas na pierdoły — przerwał szorstko komandos, podając mi twardą jak skała dłoń. — Co to za historia z twoimi nowymi przyjaciółmi z katedry?

Opowiedziałem mu wszystko najlepiej, jak potrafiłem. Jego twarz ani na moment nie zmieniła wyrazu, tylko zacisnęła mocniej usta na wzmiankę o materiałach wybuchowych. Kiedy skończyłem, spokojnie pokiwał głową.

— Nasza rola na dzisiaj się kończy — odezwał się w końcu Reno. — Rozmawialiśmy już z ludźmi z Secret Service. Prezydent Hopkins powiedział im, że pozostali zakładnicy są przetrzymywani w kaplicy Matki Boskiej na tyłach katedry. Dodał też, że porywacze sanie tylko wyjątkowo spokojni, ale też nikomu nic nie zabrali. Sprawiają wrażenie dobrze wyszkolonych i zdyscyplinowanych. Nie są terrorystami. To Amerykanie.

Za plecami Reno otworzyły się drzwi i wszedł kolejny gliniarz w czapce baseballowej na głowie, a wraz z nim starszy mężczyzna w sztruksowym kapeluszu. Starszy pan trzymał w ręku długą kartonową tubę. Co to miało znaczyć?

— Nazywam się Mike Nardy i jestem kościelnym w katedrze — przedstawił się, otwierając przykrywkę tuby. — Rektor kazał mi to tutaj przynieść.

Pomogłem mu rozwinąć światłokopię planu katedry. Papier był stary, pożółkły na brzegach, ale szczegóły były zachowane. Narożniki przycisnąłem radiotelefonami. Reno, Oakley i Will Matthews pochylili się nad planem. Widok

z góry pokazywał, że katedrę Świętego Patryka zbudowano na planie krzyża. Główne wejście, od Piątej Alei, znajdowało się na dole dłuższego ramienia, a wejścia z Pięćdziesiątej i Pięćdziesiątej Pierwszej wieńczyły końce krótszego ramienia. Z kaplicy Matki Boskiej, usytuowanej u samej góry dłuższego ramienia, nie było żadnego wyjścia na zewnątrz.

— Mam snajperów w domu towarowym Saks przy Czterdziestej Dziewiątej Ulicy i pod numerem sześćset drugim w Piątej Alei, tuż za nami — powiedział Oakley. — Muszę jednego umieścić na Madison Avenue, skąd będzie mógł obserwować kaplicę. Szkoda tylko, że te witraże w oknach są tak samo przezroczyste jak ściana z cegły. Panie Nardy, z tego planu trudno to odgadnąć. Czy przez to wielkie rozetowe okno będzie widać kaplicę Matki Boskiej?

— Częściowo — odpowiedział poważnym tonem starszek i zmrużył zaniepokojony oczy. — Za ołtarzem stoi rząd kolumn, a nad ołtarzem jest wysoki na osiemnaście metrów baldachim z brązu.

— Katedra jest bardzo długa. Ile to może być, sto pięćdziesiąt metrów? — Oakley zwrócił się do swojego kolegi. — Musimy zrobić rozpoznanie. Może światłowodowa kamera przez jedno z okien? Termowizyjne rozpoznanie broni, żeby wytypować złych. Czas jest odpowiedni, spuścimy się z góry po frontowej ścianie, rozbijemy jednocześnie szyby w rozecie i w kaplicy.

— Chyba nie dosłyszałem — zwrócił się Nardy do Oakleya. — Bo przez chwilę wydawało mi się, że chce pan zniszczyć wielkie rozetowe okno w katedrze Świętego Patryka.

— Niech się pan nie wtrąca do pracy policji, panie Nardy — odparł Oakley. — Tu chodzi o ludzkie życie. Zrobimy to, co trzeba będzie zrobić.

— Ta rozeta ma sto pięćdziesiąt lat, sir — powiedział kościelny, krzyżując na piersiach patykowato chude ręce. — Jest unikalna, podobnie jak okna w kaplicy Matki Boskiej i wszystkie inne artefakty i rzeźby znajdujące się w katedrze. Chyba nie byłby pan taki wyrywny do dziurawienia Statuy Wolności, prawda? Ten kościół to Statua Wiary tego miasta, więc lepiej niech pan pomyśli nad jakimś innym planem. Bo katedrę zniszczy pan po moim trupie.

— Niech ktoś stąd zabierze pana Nardy'ego, bardzo proszę — polecił rozdrażniony Oakley.

— Lepiej mnie posłuchajcie! — zawołał jeszcze starszerek wyprowadzany przez jednego z policjantów na zewnątrz. — Idę prosto do dziennikarzy!

Tylko tego nam było trzeba, pomyślałem. Kolejne wyzwanie, kolejna przeszkoda. Łatwiej poradzilibyśmy sobie z sytuacją, gdybyśmy nie mieli związanych rąk.

Oakley przekręcił na głowie baseballową czapkę. Wyglądał jak zawodnik, który po raz drugi nie złapał piłki. Wypuścił głośno powietrze w złożone razem dłonie.

— Jezus, spójrzcie na to monstrum — odezwał się wreszcie. — Granitowe ściany mają ile? Ponad pół metra grubości? Drzwi niewiele mniej. Założę się, że nigdy nie ćwiczyliśmy wyważania tak grubych drzwi, w dodatku wykonanych z brązu. — Nawet te bezcenne okna mają kamienne maswerki. Katedra nie przylega do żadnego budynku, z którego moglibyśmy przebić tunel. To jest forteca. Święty Patryk to chyba najlepsze w tym mieście miejsce, żeby powstrzymać szturm całej armii. A my mamy się dostać do środka tak, żeby nie zadrapać, broń Boże, muru. Może mi ktoś powiedzieć, co mnie podkuśiło, żeby wybrać sobie taki zawód?

— Kupa forsy albo głupi zakład — powiedziałem. — Tak, jak nas wszystkich.

Dowcip był kiepski, ale w obecnej sytuacji nie musiałem być Billym Crystalcm, żeby rozładować napięcie. Wszyscy, łącznie z zachowującym dotąd stoicki spokój Oakleyem, zaczęli się serdecznie śmiać.

Gdyby nie to, pozostałby tylko płacz.

Rozdział 35

Dziesięć minut później staliśmy na mroźnym powietrzu i przyglądaliśmy się ogromnemu gmachowi kościoła. Kiedy przechodziliśmy obok jednej z barykadujących ulicę śmieciarek, Oakley przez radio kazał snajperom wycelować w bezcenne okna kaplicy Matki Boskiej.

Szare światło rzucało cień na wysokie na dwa piętra okna i łukowy portal. Front katedry przypominał olbrzymią twarz: szerokie, ciemne oczy i wielkie, otwarte w krzyku przerażenia, usta.

Gdy rozległ się dźwięk dzwonów, zamarłem na chwilę i już chciałem sięgnąć po mojego glocka. Myślałem, że to kolejne posunięcie porywaczy, ale spojrzałem na zegarek. Była dwunasta.

Dzwony, sterowane zapewne przez jakiś mechanizm, były na Anioł Pański, przypominając barbarzyńcom, zajęтым doczesnymi sprawami, o modlitwie. Nawet jeżeli dźwięk dzwonów nie spowodował, że wszyscy zaczęli odmawiać różaniec, to przynajmniej tłum policjantów, dziennikarzy i gapiów na chwilę zamilkł.

Każde uderzenie rozbrzmiewało długo, powtarzane echem od kamiennych, aluminiowych i szklanych ścian otaczających katedrę drapaczy chmur.

Spojrzałem na tłum i przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Przy barykadzie odgradzającej Pięćdziesiątą Ulicę spostrzegłem kościelnego Nardy'ego rozmawiającego z jakąś młodą kobietą. Podbiegłem do nich i przerwałem ich konwersację.

— Panie Nardy, gdzie znajdują się dzwony? — zapytałem. Przyglądał mi się chwilę, nim odpowiedział.

— W północnej wieży — odparł, krzywiąc się.

Spojrzałem na bogato zdobiony, trzydziestopiętrowy kamienny stożek. Na wysokości trzydziestu metrów zauważyłem zielone listwy, które wyglądały jak stara miedziana żaluzja.

— Czy do dzwonów można się dostać od środka? — zapytałem Nardy'ego.

Kościelny przytaknął.

— Są tam stare drewniane kręcone schody, jeszcze z czasów, kiedy dzwony uruchamiano ręcznie.

Pomysł był ryzykowny, ale gdyby udało nam się jakoś tam dostać, pewnie nie byłoby problemu z wyjęciem kilku miedzianych listew i wejściem do środka.

— Czy z kościoła widać wewnątrz północnej wieży? — zapytałem.

— Dlaczego pan pyta? — odezwała się kobieta, z którą rozmawiał Nardy. — Wieżę też zamierzacie wysadzić w powietrze, detektywie...?

Rozdział 36

Dopiero teraz zauważyłem, że do płaszcza miała przypięty identyfikator z napisem „New York Times”. Oto mój policyjny zmysł obserwacji!...

— Nazywam się Bennett — przedstawiłem się.

— Ach tak, Bennett. Z północnego Manhattanu, prawda? Słyszałam o panu. Jak się czuje Will Matthews?

Jako policjant nie powinienem oczywiście przyjmować za dobrą monetę argumentu, tak często przywoływanego przez dziennikarzy, że „ludzie mają prawo wiedzieć”. Mógłbym, gdyby cała ta dziennikarska szlachetna misja nie była zwykłym uganianiem się za pieniędzmi. O ile się nie mylę, gazety się sprzedaje.

Młoda dziennikarka mogła bez trudu wyczytać z wyrazu mojej policyjnej twarzy dwa słowa: „odwal się”. Ponieważ zrobiłem taką minę, wzorując się na Willu Matthewsie, ta mała nie wydawała się specjalnie speszona.

— Dlaczego sama go pani nie zapyta? — powiedziałem w końcu.

— Zrobiłabym to, ale na wyświetlaczu jego komórki pojawia się mój numer. A więc, detektywie, o co tu chodzi? Nikt nic nie wie? — zapytała, zapominając o starannie

wyuczonym akcencie i wracając do naturalnego, nowojorskiego. — Czy może nikt nie chce mówić?

— Niech pani sama wybierze właściwą odpowiedź — prychnąłem, odwracając się do niej plecami.

— Hmm, skoro już mowa o wyborze... Zastanawiam się, czy mojemu wydawcy bardziej spodoba się tytuł: Największy w historii świata błąd służb bezpieczeństwa, czy może Nowojorska policja nie wie, co robić i odmawia komentarza? To wpada w ucho. Jak pan sądzi, detektywie?

Skrzywiłem się, przypominając sobie, co powiedział Will Matthews. Że nie byłby zadowolony, gdyby przeze mnie nowojorska policja miała złą prasę.

— Proszę posłuchać, pani Calvin — powiedziałem, odwracając się z powrotem w jej stronę. — Zaczniemy normalnie rozmawiać, ale zastrzegam, wypowiadam się prywatnie. Zgoda?

Reporterka szybko skinęła głową.

— Z grubsza wie pani tyle samo, co my. Utrzymujemy z porywaczami kontakt, choć jeszcze nie powiedzieli, czego żądają. Kiedy to zrobią, a ja będę miał zgodę szefów, przekażę pani wszystkie informacje, zgoda? Proszę pamiętać, że w tej chwili mamy sytuację kryzysową. Jeśli ci psychopaci mają radio albo telewizor i dowiedzą się, co zamierzamy zrobić, zginą ludzie. Bardzo ważni ludzie.

Kiedy obróciłem głowę, spostrzegłem, że Ned Mason stoi w drzwiach wozu dowodzenia i rozpaczliwie przywołuje mnie ręką.

— Musimy współpracować — krzyknąłem jeszcze przez ramię i pobiegłem.

Rozdział 37

Kiedy tylko dopadłem drzwi wozu, Mason wręczył mi dzwoniącą komórkę.

— Tu Mike — powiedziałem.

— Cześć, stary — usłyszałem głos Jacka. — Co się dzieje, że tak długo nie odbierałeś? Uciąłeś sobie drzemkę? Gdybym nie wiedział, że porządny z ciebie chłop, pomyślałbym, że coś knujesz.

— Dziękuję za uwolnienie prezydenta — powiedziałem z wdzięcznością.

— Nie ma o czym mówić — odparł Jack. — Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Ale posłuchaj, dzwonię dlatego, że zebrałem do kupy wszystkie nasze żądania i zastanawiam się, czy nie wysłać ci ich e-mailem. Może tak być? Zwykle korzystam z tradycyjnej poczty, ale sam wiesz, co się dzieje w urzędach pocztowych przed świętami.

Ten pseudopoufały ton, jakim się do mnie zwracał, zaczynał mnie drażnić. Kiedy szkolono mnie z technik negocjacyjnych, większy nacisk kładło się na uspokajanie niebezpiecznych osobników wyprowadzonych z równowagi, wściekłych, balansujących na krawędzi. Tymczasem Jack był pewnym siebie, przemądrzałym dupkiem... Czy był także mordercą?

W żargonie policyjnym, mam nadzieję, że wszystkie psy mieszańce mi to wybaczą, kryminalistów — istoty ludzkie, które zatraciły swoje człowieczeństwo — określa się mianem „kundli”. Kiedy tak stałem ze słuchawką przy uchu, zdałem sobie sprawę, że taki właśnie jest Jack. Sprytny kundel, może nawet mądry, ale zawsze kundel.

Opanowałem złość, wyobrażając sobie, jak zakładam mu kajdanki i trzymając za kark, wyprowadzam na oczach ludzi, których sterroryzowałem. To kiedyś musi się stać, wiedziałem o tym. To tylko kwestia czasu, pomyślałem jeszcze, kiedy policjant zajmujący się łącznością wręczył mi kartkę z adresem e-mailowym.

— W porządku, Jack — zgodziłem się. — Oto nasz adres.

— Okay — odpowiedział, kiedy już mu go przedyktowałem. — Za minutę, dwie będziesz miał to wszystko w swojej skrzynce. Dam ci chwilę, żebyś to przeczytał, a potem oddzwonię. Co ty na to?

— Brzmi rozsądnie — odparłem.

— Ach, jeszcze jedno, Mike — powiedział Jack.

— Słucham.

— Naprawdę podoba mi się nasza współpraca. Wszystko przebiega tak gładko, że mam nadzieję będziemy mieli wesołe, radosne święta — rzekł i się rozłączył.

Rozdział 38

— Jest! — zawołał wysokim, chłopięcym głosem jeden z młodych policjantów, siedzący przy laptopie w tylnej części pojazdu. — Jest e-mail z żądaniami!

Podbiegłem do niego.

Kiedy jednak spojrzałem na ekran, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Spodziewałem się po prostu konkretnej liczby, tymczasem to, na co patrzyłem, wyglądało na jakiś skomplikowany arkusz kalkulacyjny.

Z lewej strony widniały nazwiska trzydziestu trzech zakładników, przy każdym z nich kwota okupu: od dwóch do czterech milionów dolarów, a dalej nazwiska prawników, agentów i małżonków wraz z numerami telefonów.

Na samym dole porywacze podali numer konta bankowego i bardzo dokładne instrukcje, w jaki sposób przesłać pieniądze Internetem.

Zupełnie nie mogłem w to uwierzyć. Porywacze, zamiast negocjować z nami, dotarli bezpośrednio do źródła, czyli do zamożnych zakładników.

Porucznik Steve Reno wylaamywał sobie głośno palce za moimi plecami.

— Nie dość, że wyłączają nas z gry — odezwał się

z wściekłością — to na dodatek robią z nas chłopców na posyłki!...

Steve miał rację. Porywacze działali tak, jakby nas w ogóle nie było. Działali tak, jak kidnaper zaszyty gdzieś w swojej kryjówce, a nie jak tuzin bandytów otoczonych przez batalion uzbrojonych po zęby policjantów i agentów FBI.

— Zbierzcie kilku ludzi, niech zaczną dzwonić pod te numery, musimy to jakoś zorganizować — powiedział Will Matthews. — Numer konta przekażcie do FBI, może wpadną na jakiś trop.

Zamknąłem oczy i zastanawiałem się, czy czegoś nie przeoczyłem. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Spojrzałem na zegarek. To był błąd. Minęły dopiero cztery godziny, tymczasem czułem się tak wyczerpany, jakby to były cztery tygodnie.

Ktoś podał mi kawę. Na papierowym kubku widniał renifer i uśmiechnięty Święty Mikołaj. Przez chwilę myślałem, jak byłoby miło wrócić wreszcie do domu. Cichy dźwięk kołęd i Maeve dowodząca dziesiątką elfów przystrajających choinkę.

I wtedy zdałem sobie sprawę, że nie ma choinki.

I nie ma Maeve.

Odstawiłem kubek i chwyciłem kartkę z żądaniami porywaczy. Lekko drżącymi palcami przesuwałem po spisie telefonów.

Wielka i wspaniała nowojorska policja miała być teraz pośłańcem.

Rozdział 39

John Rooney podniósł głowę, kiedy poczuł, że coś twardego dźgnęło go w zębra. To był Mały John z pałką w rękę.

— Ej, ty, primadonna — powiedział. — Nudzę się. Wskakuj na ołtarz i daj świąteczne przedstawienie. Słyszysz, chłopie?

— Nie jestem w nastroju — odparł Rooney i z powrotem pochylił głowę.

Jego zęby głośno szczęknęły, kiedy Mały John czule stuknął go pałką w podbródek.

— Oto twoja motywacja — poinformował Mały John. — Wskakuj tam i zrób coś, żebym się śmiał jak hiena. Bo jak nie, to roztrzaskam ten twój nominowany do Oscara łeb.

Mój Boże, pomyślał Rooney, wdrapując się na ołtarz, i spoglądając na pozostałych zakładników. Niektórzy z nich wciąż jeszcze płakali, inni mieli szeroko otwarte ze zgrozy oczy.

To będzie trudna publiczność. Mało tego, od ośmiu lat, odkąd trafił do filmu, nie występował na estradzie. A nawet dawniej, przed występem, każdy dowcip powtarzał do znużenia przed lustrem w łazience.

Mały John usiadł w tylnej ławce i gestem pałki ponaglił Rooneya.

Co śmiesznego można powiedzieć w tej sytuacji? Trudno, nie miał wyboru.

— Cześć! — spróbował. — Cieszę się, że przyszliście. Przed wami Johnny!

Usłyszał jak ktoś, jakaś kobieta, szczerze się roześmiała. Kim była? To Eugena Humphrey! Brawo!

I wtedy Rooney poczuł, jak coś się w nim przełamuje.

— Eugena! Cześć! Jak się masz, skarbie? — powiedział, naśladowując początek jej porannego programu. Teraz Eugena, a wraz z nią kilka innych osób, naprawdę wybuchnęła śmiechem. Charlie Conlan uśmiechnął się szeroko.

Rooney udawał, że patrzy na zegarek.

— Coś dziwnie długa ta msza — stwierdził. Rozległ się głośniejszy śmiech. — Wiecie, czego naprawdę nie znoszę? — kontynuował Rooney, przechadzając się przed ołtarzem. — Nie znoszę, kiedy wybieram się na pogrzeb znajomej, a tu nagle mnie porywają!

Rooney zaczął chichotać, przedłużając dla lepszego efektu przerwę. Rozkręcał się, szło mu coraz lepiej, czuł to.

— Chcę przez to powiedzieć, że jesteście tu, wszyscy elegancko ubrani, trochę smutni, że ten ktoś nie żyje, ale i trochę szczęśliwi, że to nie wy, i nagle... bam! Braciszkwowie przy ołtarzu wyciągają spod habitów spluwy i granaty!

Teraz śmiali się już prawie wszyscy. Nawet kilku porywaczy parsknęło śmiechem. Fala śmiechu przetoczyła się po kamiennych murach.

Rooney zaczął śpiewać chorał gregoriański, udając przy tym, że wyjmuje broń. Następnie zrobił przerażoną minę, pobiegł i schował się za ołtarzem.

— Masz, weź moje kolczyki, bo muszę już lecieć — parodiował Mercedes Freer. Potem przetoczył się po marmurowej podłodze, zasłaniając twarz i skowycząc jak chihuahua.

Spojrzał na swoją widownię, wszystkie twarze były uśmiechnięte. Dzięki jego występowi przynajmniej trochę się rozluźnili. W głębi kaplicy dostrzegł zwiniętego wpół ze śmiechu Małego Johna.

Śmieję się, dupku, pomyślał Rooney, wstając z kolan. Znam mnóstwo dowcipów. Chętnie ci kiedyś opowiem o porywaczu, którego sadzają na krześle elektrycznym.

Rozdział 40

Stary rockman Charlie Conlan, udając, że śmieje się z numerów Johna Rooneya, przyglądał się po kolei wszystkim porywaczom.

W tylnej części kaplicy, przy barierce, było ich sześciu. Wśród nich znajdował się Mały John, ale szef Jack i pięciu czy sześciu kolejnych musiało przebywać w innej części kościoła.

Podczas gdy reszta zakładników śmiała się z Rooneya, Conlan usiłował przypomnieć sobie, czego nauczono go w wojsku. Policzył granaty przewieszane przez piersi porywaczy, przyjrzał się broni, pałkom i wypukłościom w pasie w miejscu, gdzie kończyły się kamizelki kuloodporne.

Starając się nie wzbudzać podejrzeń, przesunął się o kilkadziesiąt centymetrów w lewo.

— Todd — szepnął.

— Co jest? — mruknęła mu wprost do ucha gwiazda futbolu z New York Giants.

— Brown jest z nami? — potentat branży nieruchomości był dobrze zbudowanym mężczyzną koło pięćdziesiątki.

— Jest gotowy — odparł sportowiec. — Rozmawiał z Rubensteinem. Rubenstein spróbuje namówić burmistrza.

Conlan cieszył się, że rozgrywający jest z nimi. Mierzący metr dziewięćdziesiąt i ważący ponad sto kilogramów olbrzym miał oczywistą przewagę fizyczną nad każdym z porywaczy.

— Robimy postępy — wyszeptał Conlan kącikiem ust do Snowa. — Z Rooneyem jest nas już co najmniej pięciu. Im będzie nas więcej, tym większe mamy szanse.

— Co robimy? — zapytał rozgrywający.

— Powiem ci coś w tajemnicy. Obszukali nas, prawda? Zabrali telefony i portfele — powiedział Conlan.

Przerwał na chwilę, kiedy Rooney opowiadał kolejny dowcip.

— Nie zauważyli pistoletu, który mam w nogawce — dokończył.

Nie miał broni, ale by przetrwać, trzeba dać ludziom nadzieję i zmotywować w odpowiednim czasie do działania.

Słyszając głośniejszy aplauz, Conlan zerknął w kierunku ołtarza. Rooney kłaniał się nisko. Koniec przedstawienia.

— Damy radę — powiedział rozgrywający, przekrzykując oklaski. — Powiedz tylko kiedy.

Rozdział 41

Czyścioszek skrzywił się, sięgając ręką po aparat w budce telefonicznej na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej i Madison. Kwaśny odór moczu unoszący się z podłogi drażnił oczy, szukał więc po omacku. Gdzie, do diabła, jest to urządzenie?

Nareszcie, pomyślał, kiedy jego palce trafiły w końcu na zaizolowany przewód ukryty za stalową skrzynką automatu telefonicznego.

Spinając zaciskami ukryte przewody z telefonem, stwierdził, że było to kolejne genialne posunięcie. Trzy tygodnie wcześniej jego chłopcy przeciągnęli pod ulicą przewód telefoniczny od piwnicy katedry aż do studzienki i dalej do tej budki telefonicznej. Spodziewając się, że wszystkie rozmowy przychodzące i wychodzące z katedry — czy to komórkowe, czy tradycyjne — będą kontrolowane, utworzyli własną, bezpieczną linię telefoniczną.

Czyścioszek spojrzął na zegarek i podniósł słuchawkę do ucha.

Punktualnie o osiemnastej usłyszał trzask, który oznaczał, że jeden z porywaczy znajdujących się w katedrze Świętego Patryka podłączył do kabla dziewięciowoltową baterię, uruchamiając w ten sposób połączenie. Przechytrzyli palantów,

stosując staroświeckie, proste metody zamiast skomplikowanych technologii. Wszystko było opracowane w najdrobniejszych szczegółach, także dramatyczne zakończenie akcji i prawdziwie spektakularna ucieczka.

Czyścioszek pogwizdywał cicho swoją ulubioną kolędę *O Come, All Ye Faithful*.

— Jesteś tam, Jack?

— A gdzie miałbym być? Jak to wszystko wygląda z twojej strony? — zapytał Jack.

— Kiedy uwolniłeś tę pierwszą grupę — powiedział, uśmiechając się, Czyścioszek — nie wierzyli własnym oczom. To samo było z Hopkinsem. Do tej pory nie mieści im się to w głowach.

— To właśnie chciałem usłyszeć — odparł Jack.

— Jak tam przesłuchania naszych obrzydliwie bogatych przyjaciół?

— Przynoszą oczekiwane rezultaty — powiedział Jack. — Pytanie tylko, czy nasi stróże prawa będą wystarczająco długo zaskoczeni.

— Z tego, co widzę — zaśmiał się głośno Czyścioszek — będą się drapać po głowach do następnego Bożego Narodzenia.

— Wybacz, że nie będę rechotał razem z tobą, przyjacielu — odrzekł chłodno Jack — ale w miejscu, w które wszyscy gliniarze wycelowali swoją broń, nie jest nam tak wesoło.

— Każdy z nas ma do odegrania swoją rolę, Jack — zauważył Czyścioszek. Jego wspólnik lubił się zamartwiać na zapas. To na pewno nie było jego zaletą.

— Na twoim miejscu jeszcze raz bym sprawdził, czy niczego nie schrzaniłem — powiedział z groźbą w głosie Jack i się rozłączył.

Rozdział 42

Podniosłem głowę znad notatek sporządzanych w czasie rozmów z Jackiem. Za oknem było już ciemno. Czas płynął nieubłaganie. Obok mnie Paul Martelli rozmawiał przez telefon. Ned Mason też siedział ze słuchawką przy uchu. Dobry tuzin policjantów, łącznie ze Steve'em Reno, wpatrywał się w ekrany laptopów.

Wstałem, wyprostowałem się i przeciągnąłem.

Żądania porywaczy przesłano do nowojorskiej siedziby FBI przy Federal Plaza 26, gdzie zajęły się nimi federalne białe kołnierzyki. Wartość całego okupu sięgała osiemdziesięciu milionów dolarów.

Taki okup za jedną osobę byłby olbrzymią sumą, ale gdy się ją podzieliło przez liczbę zakładników, na głowę przypadało około dwa i pół miliona. To nie brzmiało już tak szokująco.

Najbardziej niezwykła była gorliwość, z jaką zakładnicy chcieli zapłacić okup.

Ich małżonkowie i członkowie rodzin podawali mi numery doradców finansowych, nim nawet zdążyłem dokładnie wytłumaczyć, kim jestem. Niejedna agencja artystyczna z Hollywood, z którą rozmawiałem, była gotowa natychmiast

wyłożyć pieniądze za ich lukratywnego klienta. Trzy banki inwestycyjne pracowały po godzinach, byle zrealizować przelewy.

Jeden z prawników z Beverly Hills poprosił o numer telefonu do porywaczy, gdyż chciał z nimi bezpośrednio negocjować.

Irytowało mnie to wszystko, ale musiałem przyznać rację Jackowi, kiedy powiedział mi, jeszcze przed przysłaniem listy żądań, że grube ryby wręcz marzą o tym, aby zapłacić za swoje uwolnienie.

Kiedy wyszedłem z autobusu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, usłyszałem jednostajne buczenie generatorów prądowców. Pół tuzina przenośnych reflektorów oświetlało katedrę, jakby był to Times Square. Przez chwilę otaczająca mnie sceneria przypominała plan filmowy: puste przyczepy, zablokowane ulice, oślepiające światło reflektorów...

Najwyższy czas znaleźć jakiś bufet i zdobyć coś do jedzenia.

Poszedłem na wschód Pięćdziesiątą Ulicą. Okazało się, że boki katedry również oświetlono reflektorami. Brakowało tylko spacerujących, trzymających się za ręce rodzin, turystów z zaróżowionymi policzkami, przybyłych z najodleglejszych zakątków kraju, popijających gorącą czekoladę i uśmiechających się na widok blasku świec przenikającego przez witraże.

Na dachu domu towarowego Saks Fifth Avenue spostrzegłem nieruchomo przyczajonego snajpera z FBI.

Całość sprawiała dziwaczne wrażenie.

A najbardziej szalone było to, że ci maniacy naprawdę sądzili, że uda im się stąd zbiec.

Tylko w jaki sposób? Każdy centymetr murów katedry był obserwowany przez snajperów. Ruch lotniczy został wstrzymany, zatem ucieczka śmigłowcem również nie wchodziła

w rachubę. Jak wcześniej wspomniał Oakley, stu pięćdziesięcioletni kościół został zbudowany na litej skale Manhattanu, co uniemożliwiło z kolei ucieczkę tunelem.

Staralem się przekonać samego siebie, że porywacze nie przemyśleli dobrze zakończenia tej akcji, że Jack uznał, iż jakoś to będzie”.

Z drugiej strony, kiedy tak stałem na chłodzie, pośrodku opustoszałej ulicy, przyszło mi do głowy, że może być inaczej. Przemawiała za tym zuchwałość ich działania i pewność, że zrobimy to, co nam każą. Coraz więcej wskazywało na to, że wiedzieli o czymś, o czym my nie mieliśmy zielonego pojęcia.

Zacierałem zziębnięte dłonie, kiedy odezwał się mój telefon komórkowy.

Przygotowałem się już na kolejną rozmowę z Jackiem, kiedy zdałem sobie sprawę, że to nie dzwoni policyjna komórka, lecz moja prywatna. Przewróciłem oczami, widząc na wyświetlaczu numer mojego dziadka Seamusa.

Jakbym nie miał dość kłopotów na głowie.

Rozdział 43

— Jestem zajęty, co się stało? — przywitałem dziadka. Może to nie najserdeczniejsze słowa, ale w tej chwili niewiele było we mnie bożonarodzeniowej radości. Poza tym rozmowa z dziadkiem, mimo że skończył już siedemdziesiąt cztery lata, wciąż bardziej przypominała walkę. Jeżeli nie przeszło się od razu do ataku, było się na straconej pozycji.

— Ja tobie też życzę miłego popołudnia, Micheal — odgryzł się dziadek. Kiedy przekręcał moje imię i wymawiał je w formie gaelickiej, widziałem, że dostanę za swoje od mojego irlandzkiego przodka. Mój dziadek nie tylko pocałował Kamień Elokwenji z Blarney, jak głosiła legenda*. On go nadgryzł i połknął. I chyba robił to codziennie.

— To dość szczególny sposób zwracania się do człowieka, który właśnie zajmuje się stadkiem twoich gąsek — dookończył.

Stadko gąsek, pomyślałem, przewracając oczami. Malachy czy Frank McCourt przy nim wysiadają. Był największym

* Kamień Elokwenji z Blarney — wapienny blok wmurowany w mury obronne zamku w Blarney w Irlandii. Legenda głosi, że ten, kto go pocałuje, uzyska dar elokwenji i przekonywania.

żyjącym irlandzkim fanfaronem. Przyjechał do Ameryki w latach czterdziestych w wieku dwunastu lat. Minęło sześćdziesiąt parę lat, nim jego noga znów stanęła na starej „murawie”, jak mawiał. Ktoś, kto go nie znał tak dobrze jak ja, mógłby pomyśleć, że niezły z niego cwaniak.

Mimo to pojawiał się regularnie, żeby sprawdzić, co dzieje się z jego wnuczętami. Pod całą tą grubą na kilometr udawaną skorupą szorstkości kryło się złote serce.

— A gdzie jest Mary Catherine? — zapytałem.

— A więc tak ma na imię? Nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Dlaczego nie powiedziałaś, że adoptowałaś jeszcze jedno dziecko?

Wiedziałem. Delikatna insynuacja. Bardzo delikatna. Seamus miał język ostry jak brzytwa.

— To ci się udało, staruszk — zagadnąłem. — Chyba całe popołudnie nad tym myślałaś. Tak się składa, że Mary Catherine to gosposia.

— Gosposia. To teraz tak się to nazywa? — zadrwił dziadek. — Uważaj, Micheal. Kiedyś w Dublinie Eileen, twoja babka zobaczyła, jak rozmawiam w niedzielę na rogu ulicy z gosposią. A potem złamała mi trzy żebra kijem hokejowym.

— W Dublinie? — spytałem. — To zabawne. Wydawało mi się, że babcia Eileen pochodzi z Queens.

Zanim zdołał wyśtekać wyjaśnienie, opowiedziałem mu o liście od matki Maeve i niespodziewanym pojawieniu się Mary Catherine poprzedniego wieczoru w naszym domu.

— Ty najlepiej znasz się na irlandzkich obyczajach — zakończyłem. — Co o tym sądzisz?

— Nie podoba mi się to — wyznał. — Ona czegoś może chcieć. Uważaj na srebrną zastawę.

— Jezu, dzięki za radę, podejrzliwy staruszk — powiedziałem w końcu. — A skoro mowa o gąskach, nie mam

pojęcia, kiedy uda mi się stąd wyrwać, więc powiedz im, że mają skończyć odrabianie lekcji i zająć się swoimi obowiązkami. Obowiązkami! Będą wiedziały, o czym mowa.

— Czy to ma coś wspólnego z tym grafikiem, który wisi na lodówce? — zapytał dziadek.

— Owszem. Bardzo dużo.

— Czyj to był pomysł? Twój czy Maeve? — zapytał podejrzliwie.

— Maeve — odpowiedziałem. — Uznała, że dobrze będzie, jeśli dzieciaki zajmą się czymś pożytecznym. Przesnąć myśleć o kłopotach. Poza tym, zwyczajnie mi teraz pomagają. To niesamowite, jakich dzieł może dokonać dziesięć, choćby niewielkich, par rąk.

— To nie jest dobry pomysł — ucieszył się dziadek. — To jest wspaniały pomysł. Nic dziwnego, że przyszedł on do głowy właśnie Maeve.

— Poddajesz się? — spytałem ze śmiechem. Dziadek kochał Maeve tak samo mocno, jak reszta z nas. — Może na pożegnanie jeszcze jakaś mała zniewaga? — zaproponowałem, byle tylko ostatnie słowo należało do niego.

— Nawet kilka — odparł Seamus. — Ale ponieważ mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy, na razie się powstrzymam.

Rozdział 44

To był rodzaj dziwnego sennego koszmaru, w którym cały czas powtarza się jedna myśl: Niemożliwe, żeby to była prawda. Kiedy się obudzę, koszmar zniknie.

W „strefie zagrożenia” mogła przebywać tylko policja, dziennikarzom wstęp był wzbroniony. Drugi krąg należał do prasy i przeważały tu telewizyjne wozy transmisyjne z olbrzymimi antenami na dachu. Pełno było krzyżujących się kabli, reporterów przy komputerach i dziesiątkach monitorów. W regularnych odstępach czasu odbywały się konferencje prasowe, na których podawano najświeższe informacje.

Postanowiłem wracać do autobusu. W zimnym powietrzu wciąż rozbrzmiewał ryk generatorów zasilających reflektory. W wozie dowodzenia zastałem Willa Matthews. Poinformował mnie, że udało już się skontaktować z adwokatami wszystkich zakładników i teraz pozostawało oczekiwanie.

— To najbardziej nieznośny etap — powiedział Will Matthews. — Trzeba siedzieć i czekać na dalszy rozwój wypadków.

— Cześć, Mike — zawołał Martelli, podnosząc się z miejsca. Chociaż był tu z nami od samego początku, nie widać było po nim zmęczenia. — Nie obraż się, ale wyglądasz na

skonanego. Idź się przewietrzyć. Ci dowcipnisie powiedzieli, że odezwą się dopiero za kilka godzin, a kiedy już to zrobią, będziemy — my, ale przede wszystkim zakładnicy, tam, w środku — potrzebowali cię wypoczętego i spokojnego.

— On ma rację. Idź coś zjeść. Będziemy cię potrzebować później — odezwał się Will Matthews. — To rozkaz, Mike.

Po takich słowach, a także po przechadzce, podczas której moje myśli krążyły wokół Maeve, zapragnąłem ją zobaczyć. W sumie szpital onkologiczny znajdował się raptem o dwadzieścia przecnic stąd. Dotarcie tam nie zajmie zbyt wiele czasu.

Zdałem sobie sprawę, że idę do szpitala onkologicznego, żeby rozładować napięcie!

Zostawiłem Martelliemu numer mojej komórki, schowałem odznakę i wyszedłem poza kordon. Niezliczona rzesza reporterów, wydawców, korespondentów i techników koczująca po obu stronach zablokowanej Piątej Alei mieszała się z konikami oferującymi bilety na koncert wskrzeszonego Jerry'ego Garcii.

Musiałem zbudzić przysadzistego operatora, który przysnął na rozkładanym krzeselku przed maską mojego samochodu. Wskoczyłem do środka i ruszyłem w drogę.

Dwukrotnie zmuszany byłem się zatrzymać. Po raz pierwszy w dziwnym miejscu nazwanym Burger Joint, przed hotelem Meridien na Pięćdziesiątej Siódmej. Po kilku minutach wróciłem do samochodu z zatuszczoną brązową papierową torbą w ręku. Drugi przystanek był przy piekarni Amy's Bread na Dziewiątej Ulicy. Stamtąd również wyszedłem z pełną torbą.

Skręcając w lewo, w Park Avenue, włączyłem koguta i syrenę. Gwiazdy betlejemskie z białych lampek ciągnęły się wzdłuż ulicy aż po horyzont. Nad obrotowymi drzwiami przeszkłonych rzęście oświetlonych biurowców zwiślały

olbrzymie wieńce. Podobnymi, tyle że mniejszymi stroikami udekorowano wszystkie wykonane z polerowanego brązu drzwi eleganckich apartamentów, które mijalem.

Jadac, nie moglem nie spojrzec na wysokie, okazałe stare domy oświetlone srebrzystym światłem alei, na ich pokryte drewnem ściany i eleganckie daszki nad wejściem.

Czekając na zmianę światła przy Sześćdziesiątej Pierwszej, zauważyłem, jak portier w cylindrze na głowie odprowadzał do czekającego mercedesa nieprawdopodobnie piękną brunetkę okrytą długim do kostek futrem z białych norek i małą dziewczynką w płaszczyku w czerwonej kratce.

Urok świąt, który widać było wszędzie wokół, sprawiał, że odezwały się we mnie boleśnie wyrzuty sumienia. Byłem ostatnio tak rozbity, że zupełnie zapomniałem o choince.

Nic dziwnego, że tyle osób popełnia samobójstwo w okolicy świąt, pomyślałem, omijając z piskiem opon mercedesa CL55 i skręcając za rogiem. Boże Narodzenie miało wywoływać w człowieku eksplozję zadowolenia z mijającego, pełnego miłości i szczęścia roku.

Nie cieszyć się w taki dzień to nietakt.

Być w tych dniach załamany, pogrążony w smutku to grzech.

Rozdział 45

Kiedy przekroczyłem próg otwartych drzwi szpitalnej sali, moja kochana Maeve miała zamknięte oczy.

Ale jej nos musiał czuć, ponieważ uśmiechnęła się, gdy położyłem na burej szafce przemycone do szpitala torby.

— Nie — odezwała się zachrypłym głosem. — Niemożliwe. Podałem jej plastikowy kubek z wodą, wypła łyk.

Gdy siadała na łóżku, w jej oczach dostrzegłem cierpienie.

— Czuję cheeseburgery — powiedziała ze śmiertelną powagą. — Jeśli to jest sen, to nie waż się mnie budzić, bo nie ręczę za swoje czyny, Mike.

— To nie sen, skarbie — szepnąłem jej do ucha. — Wolisz z podwójną cebulą czy z podwójną cebulą?

Chociaż Maeve zjadła ledwie połowę hamburgera, jej policzki nabrały zdrowych rumieńców. Odłożyła zatłuszczony papier.

— Pamiętasz nasze posiłki o północy? — zapytała.

Uśmiechnąłem się. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, oboje pracowaliśmy od szesnastej do dwudziestej czwartej. Początkowo chodziliśmy do barów, ale szybko nam się to sprzyrzyło. I wtedy zaczęliśmy odwiedzać wypożyczalnię wideo i całodobowy supermarket, gdzie od razu wędrowaliśmy do półki z mrożonkami. Skrzydełka kurczaka, pizza, paluszki

serowe, tak zwana zdrowa żywność. Danie dowolne, pod warunkiem, że można je szybko przyrządzić w kuchni mikrofalowej i jeść, oglądając stare filmy z kaset.

Boże, to były czasy. Bywało, że po takiej kolacji wcale nie kładliśmy się spać, tylko rozmawialiśmy aż do białego rana, do chwili, gdy ptaki zaczynały swoje trele za oknem sypialni.

— A pamiętasz, ile miałaś przeze mnie roboty? — zapytałem.

Maeve pracowała na oddziale urazowym w Centrum Medycznym Jacobi w Bronksie, a za rogiem był mój komisariat. Przez całą służbę zwyczajnie porywałem ludzi z ulicy i zaciągałem ich na izbę przyjęć, żeby móc tylko częściej ją widywać.

— Pamiętasz, jak ten wielki, bezzębny bezdomny cię uściskał? — zaśmiała się Maeve. — Co on wtedy powiedział? „Ty nie jesteś taki, jak te pozostałe bęcwały, chłopie. Ty się troszczysz”.

— Nie — powiedziałem, śmiejąc się wraz z nią. — On powiedział: „Człowieku, jesteś najsympatyczniejszym białasem, jakiego w życiu spotkałem”.

Zamknęła oczy i przestała się śmiać. Tak po prostu. Musiała coś zażyć tuż przed moim przyjściem i teraz szybko zapadała w sen.

Uścisnąłem lekko jej dłoń. Potem podniosłem się z łóżka tak cicho, jak zdołałem. Uporządkowałem rzeczy na szafce, nakryłem jej ramiona i uklęknałem obok.

Przez ponad dziesięć minut patrzyłem, jak pierś mojej żony unosi się i opada. To dziwne, ale po raz pierwszy nie czułem złości do świata i do Boga. Wiedziałem, że ją kocham i zawsze będę kochał. Otarłem łzy rękawem i pochyliłem się nad nią.

— Pamiętam chwilę, kiedy mnie zmieniałaś, na zawsze — szepnąłem jej do ucha.

Rozdział 46

Wychodząc ze szpitala, zadzwoniłem z komórki do Paula Martelliego.

— Nadal nic — powiedział. — Masz czas dla siebie. Porywacze siedzą cicho. Mam twój numer.

— Ned Mason wciąż tam jest? — zapytałem.

— Gdzieś tu się kręci. Panujemy nad sytuacją.

Posłuchałem rady Martelliego. Zawróciłem, skręciłem w Śześdziesiątą Szóstą i pojechałem na zachód, żeby sprawdzić, co porabiają moje dzieciaki.

Kiedy byłem w szpitalu u Maeve, zaczął prószyc drobny śnieg i teraz ściany kamienic wyglądały jak piernik posypany warstewką cukru pudru.

Cholerne miasto, pomyślałem, tym swoim nieustannym cukierkowo-świętecznym nastrojem łamie mi serce.

Przełączyłem radio z kanału policyjnego na zwykłą stację i usłyszałem Silver Bells. Już byłem bliski wpakowania całego magazynka w panel na desce rozdzielczej, kiedy zaczęła się melodyjna zwrotka Ring-a-ling, hear them ring.

Szybko przełączyłem radio na stację z muzyką rockową i z głośników popłynęło Highway to Hell zespołu AC/DC. To

było to. Odpowiedni tytuł dla mnie! Podkreciłem głośność do maksimum.

Wychodząc z windy na korytarz, słyszałem przez zamknięte drzwi mieszkania głosy dzieci. To nie jest dobry znak, pomyślałem, naciskając klamkę. Juliana siedziała na podłodze w przedpokoju, tyłem do mnie i chichotała do słuchawki telefonu. Poklepałem ją czule po głowie i wyjąłem wtyczkę z gniazdka telefonicznego.

— Do łóżka — rozkazałem.

Następny przystanek zrobiłem w pokoju dziewczynek, skąd dobiegały dźwięki piosenki Mercedes Freer. Jane uczyła Chrissy i Shawnę tanecznych kroków. Miałem ochotę unieść je i zamknąć w czułym niedźwiedzim uścisku, ale przypomniałem sobie słowa Maeve, że piosenki Mercedes Freer nie są odpowiednie dla dzieci.

Kiedy zniecka wyłączyłem radio, najpierw rozległy się głośne okrzyki protestu, a potem gwałtowny wybuch śmiechu, gdy dziewczynki zdały sobie sprawę, że obserwowałem ich taniec.

— Proszę, proszę. Nie wiedziałem, że Mercedes Freer daje dzisiaj koncert w naszym domu. Jestem pewien, że Underhillowie są zachwyceni. Założę się, że zapomnieliście o obowiązkach domowych.

W pierwszej chwili Jane spojrzała na mnie z gniewem, jakby zamierzała zaprotestować, ale zaraz spuściła głowę.

— Przepraszam, tato — szepnęła.

— Oto właściwa odpowiedź, Jane — powiedziałem. — Nic dziwnego, że masz dobre stopnie w szkole. Idę dalej. Wygląda na to, że muszę jeszcze zrobić porządek w pozostałych pokojach.

W salonie Ricky, Eddie i Trent rozwalili się przed ryczącym telewizorem. Oglądali na CNN relację z okupacji katedry. Na pasku u dołu ekranu widniał napis: Odliczanie w katedrze.

Dokładnie pamiętałem, że jedyne dozwolone dla moich dzieci kanały to: sportowy ESPN, Food Network, edukacyjny TLC, Cartoon Network i telewizja publiczna.

Kiedy nieoczekiwanie znalazłem się obok nich, chłopcy aż podskoczyli z przerażenia.

— Widzę, że interesujecie się bieżącymi wydarzeniami — powiedziałem.

— Widzieliśmy cię! — wrzasnął Trent. — W telewizji! Jesteś na każdej stacji!

— A ty jesteś aresztowany! — krzyknąłem do niego.

Brian, mój najstarszy syn, siedział w swoim pokoju i, zajęty grą komputerową, nie słyszał, jak wszedłem. Amerykańska liga baseballowa na ekranie była ważniejsza. Wyłączyłem komputer, kiedy Barry Bonds robił właśnie wymach ręką.

— Co jest! — rzucił wściekły i oderwał wzrok od monitora. — Tata?... Tata!

— Brian? — odpowiedziałem. — Brian!

— Ja właśnie... tego... — jękał się.

— Zamierzałeś oddać się w ręce sprawiedliwości.

— Przepraszam, tato. Zaraz się wezmę za swoją robotę — powiedział pospiesznie.

Wracając do przedpokoju, o mało nie przewróciłem Mary Catherine.

— Panie Bennett, przepraszam, Mike — mówiła gorączkowo. — Próbowałam zagonić ich do łóżek, ale okazało się, że Bridget potrzebuje mojej pomocy. Powiedziała mi...

— Niech zgadnę. Miała coś do zrobienia na zajęcia praktyczno-techniczne?

— Skąd wiesz?

— W porządku, zapomniałem ci powiedzieć. Bridget jest klinicznie uzależniona od zajęć praktyczno-technicznych. Od lat próbujemy ją odzwyczaić od kleju, koralików i świecidełek, ale bez rezultatu. Jeśli jej pozwolisz, jest gotowa wy-

wrócić świat do góry nogami w swojej niezaspokojonej
żądzy robienia łańcuszków do kluczy, bransoletek na łydki
czy ozdób choinkowych. Tyle razy już poszedłem do pracy
z brokatem na twarzy i ubraniu, że koledzy zaczęli podej-
rzewać, czy przypadkiem nie dorabiam jako model na wybie-
gu. Wiedziała, że jesteś nowa i wykorzystała sytuację. Tego
typu zajęcia są w czasie weekendu zabronione.

— Nie wiedziałam — powiedziała ze smutkiem Mary Ca-
therine. — Powinnam się bardziej postarać.

— Dobry Boże — przerwałem jej. — Udało ci się przeżyć.
Chyba byłaś komandosem!

Rozdział 47

Zwolniłem Mary Catherine z dalszych obowiązków i kazałem jej iść na górę położyć się spać. W kuchni zastałem księdza.

Siwowłoso, ubrany na czarno mężczyzna siedział w kucki i trzymał w ręku gorące żelazko, podczas gdy siedmioletnia Bridget kończyła właśnie układać plastikowe koraliki, z których wykonany był, zajmujący cały kuchenny blat, różowo--biały kucyk.

— Czy to przypadkiem nie ojciec Seamus? — zapytałem.

Nie, to wcale nie były żarty. Po śmierci żony Seamus postanowił sprzedać spelunkę, której właścicielem był od trzydziestu lat, i zostać duchownym. Na szczęście, od dawna było już tak mało powołań, że go przyjęto. „Trafiłem z piekła prosto do nieba” — zwykł mawiać.

Mieszkał teraz w rektoracie Holy Name, o przecznicę dalej, i jeżeli nie był akurat zajęty sprawami parafii, wtykał nos w moje sprawy. Seamusowi nie wystarczało psucie moich dzieci. W diabelski sposób wręcz je zachęcał do płatania figli.

Kiedy Bridget zobaczyła mnie w progu, nawet jej piegi zbladły.

— Dobranoc tatoi dęspaćkochamcie — zdołała jeszcze wydyszeć, ześlizgując się ze stołka, na którym klęczała i... tyle ją widziałem. Fiona z Sockym na rękach wyskoczyła z drugiego narożnika i zniknęła tuż za siostrą.

— Czy to demencja, monsignore! Nie znasz się na zegarku? A może zapomniałeś, że jutro trzeba iść do szkoły?

— Nie spojrzysz nawet na tego wspaniałego wierzchowca? — zapytał Seamus, poruszając w przód i w tył żelazkiem, dzięki czemu koraliki posklejały się ze sobą. Kucyk był prawie naturalnej wielkości. Na nieszczęście nie mieliśmy w mieszkaniu stajni, w której można by go trzymać.

— To dziecko to prawdziwa artystka — zachwycił się Seamus. — Jak to się mówi, same książki nie wystarczyłyby jako źródło inspiracji.

— Dziękuję za te cenne uwagi, Seamus, ale jeśli dzieciaki nie pójda natychmiast spać i nie będą przestrzegać porządku dnia, to już po nas.

Seamus wyłączył żelazko, postawił je z głośnym stuknięciem na desce do krojenia mięsa i zerknął na mnie.

— Skoro tak, po co sprowadzasz do domu obcą osobę? — zapytał. — Ta Mary Catherine twierdzi, że pochodzi z Tipperary. W tym Tipperary mieszkają dziwni ludzie. Te północnoatlantyckie wiatry mieszają im w głowach. Nie podoba mi się ani ona, ani cała ta sytuacja. Młoda, samotna kobieta pod jednym dachem z żonatym mężczyzną!

A więc o to chodziło! Straciłem panowanie nad sobą i złapałem plastikowego kuczka. Seamus uchylił się, kiedy rzuciłem nim o ścianę, trafiając w kartkę z harmonogramem prac domowych, wiszącą na drzwiach lodówki.

— Komu mam przekazać twoje wątpliwości, dziaduniu?! Mojej żonie na łożu śmierci czy może trzydziestu trzem zakładnikom z katedry Świętego Patryka, którzy mają pistolety przystawione do głowy?!

Seamus okrążył wyspę pośrodku kuchni i położył mi rękę na ramieniu.

— Po prostu sądziłem, że jestem jedyną osobą, która może ci pomóc — powiedział zmęczonym głosem, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszałem.

Wreszcie pojąłem. Zrozumiałem, dlaczego był tak upierdliwy w kwestii Mary Catherine. Uznał, że został zastąpiony, usunięty z rodzinnej fotografii.

— Seamus — uspokoiłem go — nawet gdybym miał tu dwudziestoosobową załogę, nadal potrzebowałbym twojej pomocy. Dobrze o tym wiesz. Dla ciebie zawsze będzie tu miejsce. Chcę, żebyś nam pomógł, pomagając Mary Catherine. Zrobisz to dla mnie?

Seamus w zamyśleniu wydał wargi.

— Spróbuję — westchnął melodramatycznie.

Podszedłem do lodówki i z powrotem przypiąłem harmonogram prac. Podniosłem plastikowego kucyka i zauważyłem, że brakuje mu ogona.

— Włącz jeszcze żelazko, Seamus — powiedziałem, kładąc zabawkę na blacie. — Jeśli szybko tego nie naprawimy, Bridget zabije nas obu.

Rozdział 48

Kiedy wróciłem przed katedrę Świętego Patryka, zauważyłem, że obok pojazdu nowojorskiej policji zaparkowały dwie ciężarówki należące do oddziału uwalniania zakładników FBI. Jeśli do tego dodać wszystkie wozy dowodzenia, robiło się naprawdę ciasno.

Impreza na diabelskim parkingu, pomyślałem.

Zameldowałem się u swojego przełożonego Willa Matthews'a i przywitałem z pozostałymi negocjatorami. Nadal nie było żadnego sygnału od ludzi okupujących katedrę. Jack nie dawał znaku życia.

Nalałem sobie chyba dwudziesty już tego dnia kubek kawy i usiadłem.

Nienawidziłem tej części operacji — oczekiwania, poczucia bezsilności. Była to jedna z przyczyn, dla których odszedłem z zespołu negocjacyjnego. W wydziale zabójstw nie było jednej chwili, w której nie należałoby czegoś zrobić, zawsze znajdowało się jakieś ujście dla swojego uporu i obsesji.

Nagle zerwałem się z obrotowego krzesła. Była jedna rzecz, którą mogłem teraz zrobić. Nie tylko by to nam pomogło, ale i pozwoliło zapomnieć o wolno przesuwających się wskazówkach zegara.

Willa Matthews znalazłem w drugim końcu autobusu, ze szklanką gazowanej wody w ręku.

— Szefie — zagadnąłem. — Pamiętasz, co mówiłem o Caroline Hopkins? O moich przeczuciach na temat jej, powiedzmy, wypadku? L'Arene, restauracja, gdzie to się stało, jest o trzy przecznice stąd. Pomyślałem, że pójdę tam i pogadam z personelem w kuchni.

Will Matthews potarł oczy i kiwnął głową.

— Okay — powiedział — masz dwadzieścia minut na to, żeby tam pogrzebać, jeśli ma to ci sprawić przyjemność. Potem wracaj.

Poklepałem się po kieszeni.

— Mam komórkę.

Wcześniejsza tragedia, jaka się tam wydarzyła, i dzisiejsza blokada ulic najwyraźniej odebrały nowojorskim krezusom apetyt, bo kiedy wbiegłem do środka, restauracja świeciła pustkami. Marmurowe schody w holu wyłożone były czerwono-biało-niebieskim dywanem, bardziej francuskim niż amerykańskim. Po obu stronach schodów znajdowały się wystawne piramidy cytryn i jabłek ułożone na starych skrzynkach od szampana.

Może innego wieczoru elegancki wystrój restauracji nie byłby tak odpychający. I może gdybym w ciągu ostatnich kilku godzin nie harował tak ciężko, arogancja bijąca od ubranego w smoking, wysokiego *maitre d'hotel* nie wywołałaby we mnie takiej złości.

Śniady Francuz z kręconymi włosami i miną, jakby przed chwilą zjadł nieświeżego ślimaka, podniósł wzrok znad swojego elementarza — grubej książki rezerwacji.

— Kuchnia jest zamknięta — burknął i wrócił do sporządzania zapisków.

Zatrzasnąłem tę jego księgę i położyłem na wierzchu swoją odznakę. Rozkoszowałem się jego zaskoczeniem.

— Nie — powiedziałem. — Już jest otwarta.

Kiedy wspomniałem, że przychodzę w sprawie wypadku Pierwszej Damy, maitre d'hotel natychmiast wręczył mi wizytówkę.

— Reprezentuje nas kancelaria Gilbert, DeWitt i Raby. Im proszę zadawać pytania.

— Och, wspaniale — powiedziałem, machnąwszy wizytówką przed spiczastym czubkiem jego długiego nosa. — Ale ja nie jestem z firmy ubezpieczeniowej, tylko z wydziału zabójstw. I albo teraz porozmawiam z panem i z pańskim personelem kuchennym nieoficjalnie, albo zadzwonię po szefa i rozpoczniemy oficjalną procedurę. Zajrzymy do tej książki i każdy, którego nazwisko się tam znajduje, zostanie wezwany na posterunek. No i, oczywiście, będzie się musiał pan upewnić, czy wszyscy pańscy pracownicy mają odpowiednie dokumenty imigracyjne. Właśnie sobie przypomniałem, że w sprawę chciał się także zaangażować Departament Sprawiedliwości. Rozumie pan, FBI i IRS. Wie pan, co to jest IRS? To ci od podatków. Ma pan, oczywiście, dokumentację księgową restauracji z ostatnich pięciu lat? No i swoje prywatne dokumenty podatkowe, rzecz jasna, też?

Wyraz twarzy maitre d'hotel uległ błyskawicznej metamorfozie. To niewiarygodne, jak bardzo ciepły uśmiech potrafił dotąd skrywać za tym naburmuszonym galijskim wizerunkiem.

— Mam na imię Henri — przedstawił się, kłaniając się głęboko. — Niech pan łaskawie powie, czym mogę służyć.

Rozdział 49

Kiedy powiedziałem, że chcę przesłuchać pracowników kuchni, mon ami Henri od razu poprowadził mnie przez uchylne witrażowe drzwi i zaczął tłumaczyć szefowi kuchni moje pytania.

Szef wyglądał jak niższy i bardziej krępy starszy brat Henri. Wydawał się być urażony treścią pytań. Osobiście przygotował posiłek dla Pierwszej Damy i nie było takiej możliwości, dodał ze złością, żeby w jej foie gras znalazły się jakiegokolwiek orzeszki.

Jedyne wytłumaczenie, jakie mu przychodziło do głowy, zakładało, że w panującym tamtego dnia zamieszaniu głupi pomocnik kucharza dodał do potrawy oleju arachidowego, ale nawet to wydawało mu się mało prawdopodobne. Następnie szef wyrzucił z siebie coś po francusku i zaczął energicznie zgarniać naczynia ze stalowego blatu. Wychwyciłem słowa „Amerykanie” i „Snickers”.

— Co on powiedział? — zapytałem Henri.
Henri poczerwieniał.

— Szef kuchni zasugerował, że być może Pierwsza Dama przed posiłkiem zjadła... batona.

Oto doskonałe, ciepłe stosunki łączące naród francuski i amerykański!

— Czy od tamtego wieczoru zmienił się personel? — zapytałem.

Henri postukał się palcem po bladych wargach.

— Tak — odezwał się w końcu. — Przypominam sobie. Jeden z pomocników kucharza, Pablo, tak chyba miał na imię, przestał się tu pokazywać dzień czy dwa po tym strasznym wypadku.

— Ten Pablo miał jakieś nazwisko? Może adres? Podanie o pracę?

Henri skrzywił się, jego twarz wyrażała teraz ból, smutek i skruchę.

— Wcześniej wspominał pan, że coś może być oficjalne lub nieoficjalne. No więc Pablo został zatrudniony raczej nieoficjalnie. Nie mamy jego podania. Nawet się specjalnie nie zmartwiliśmy, kiedy zniknął. Podobnie jak w większości innych restauracji pomocnicy kucharza zmieniają się wyjątkowo często.

— Rozumiem — kiwnąłem głową.

— Ale chwileczkę — powiedział Henri. — Wydaje mi się, że zostawił w swojej szafce jakieś rzeczy. Zejdzie pan ze mną i zobaczy?

W dawnej szafce Pabla znalazłem parę brudnych tenisówek i pomięty rozkład jazdy metra linii North Hudson.

Para brudnych tenisówek, pomyślałem. Detektyw Leroy „Encyklopedia” Brown* byłby pod wrażeniem.

Wyglądało na to, że wyłądowałem w ślepym zaufku.

Zapakowałem przedmioty należące do pomocnika kucharza do pustej torby z apteki Duane Rade, którą znalazłem pod szafką. Może uda się odnaleźć odciski palców. O ile nasz Pablo nie znajdował się już w Ameryce Południowej.

* Fikcyjna postać chłopca detektywa, bohatera serii powieści dla dzieci, których autorem jest Donald J. Sobol.

Marny był to ślad, ale lepszy taki niż żaden.

— Wpadł pan na jakiś trop? — zapytał podekscytowany Henri. Podniosłem torbę z „dowodami” i z hukiem zatrzaskałem drzwi szafki.

— Kiepski ten trop — odpowiedziałem.

Rozdział 50

W swoim śnie Laura Winston, okrzyknięta przez magazyn „Vogue” królową mody nowego tysiąclecia, znajdowała się nad jeziorem w posiadłości Ralpa Laurena w północnym Westchester. Leżała samotnie w kajaku, ubrana w koszulę z białego muślinu, a nad jej głową rozpościerało się nieskończone błękitne, jasne niebo. Łódź płynęła wolno wzdłuż brzegu, pod zwieszającymi się konarami drzew obsypanych kwiatem wiśni. Białe, delikatne jak skrzydła anioła płatki spadały rzęście, obsypując jej twarz i piersi. Gdy próbowała usiąść, stwierdziła, że muślin koszuli owinał się ciasno wokół jej ramion. Zdała sobie sprawę, że jest martwa i leży w pogrzebowej łodzi. Zaczęła krzyczeć.

Laura Winston zerwała się, uderzając głową o drewnianą poręcz ławki, o którą się opierała.

Usłyszała ciężkie kroki. Główną nawą niespiesznie wędrowało dwóch mężczyzn w kominiarkach z przewieszonymi przez piersi granatami.

Ale ze mnie idiotka, pomyślała. Gdyby się wymówiła od uczestniczenia w tym pogrzebie, teraz znajdowałaby się dziewięć tysięcy metrów nad Karaibami, lecąc do swojego wartego dwadzieścia jeden milionów dolarów renesansowego

pałacu na Wyspie Świętego Bartłomieja, aby dokończyć przygotowania do noworocznego przyjęcia. Giorgio, Donatella, Ralph i Miuccia już potwierdzili swoje przybycie.

Tymczasem zignorowała ten cichy wewnętrzny głosik rozsądku, który jeszcze wczoraj wieczorem podszeptował jej: „Uwaga! Wydarzenie szczególnej rangi. Jesteś na celowniku terrorystów. Trzymaj się z daleka!”.

A teraz odezwał się ten drugi tajemniczy głos, który dopiero zaczynał się budzić.

Nie zabrała ze sobą tabletek. Po raz pierwszy przepisano jej oxycontin na bóle w krzyżu będące następstwem kontuzji przy grze w tenisa. Miesiąc później, kiedy zobaczyła, że lekarz nadal je przepisuje, zaczęła je łykać razem z witaminami. Dodawały energii, znacząco łagodziły stres.

Laura nie chciała się do tego przyznać, ale od co najmniej godziny bardzo ich potrzebowała. Już raz się jej to zdarzyło, kiedy o jeden dzień przedłużyły się zdjęcia w Maroku. Głód narkotyczny przybrał początkowo postać lekkiego świądu. Świąd nasilał się, potem doszły wymioty. Po dobrej godzinie torsji dostała drgawek. Po dziesięciu godzinach z bólu wyrywała sobie włosy. Przeżyła dzięki buteleczce valium, które w przejawie litości podarował jej fotograf.

Ale teraz, tutaj, nie miała niczego.

Może ktoś z obecnych w katedrze coś ma, przebiegło jej przez głowę. Te typy z Hollywood słyną z tego, że leczą się u doktora Dobre Samopoczucie. Mogłaby grzecznie zapytać, co jej szkodzi? Jadana tym samym wózku. Może się podzielią.

Nie, postanowiła, wzdragając się. Nie może stracić tej odrobiny prywatności. Nikt nie może się dowiedzieć o takim „prostackim” uzależnieniu. Musi tylko pomyśleć. Myśleć!

Kwestia zasadnicza. Czego chcą porywacze? Albo pieniędzy, albo mają jakieś cele polityczne. Tak czy owak zależało im na tym, żeby pozostała żywa.

Może więc udać jakąś chorobę? Atak serca? Nie, wystarczy, że zmierzą jej tętno, od razu zorientują się, że oszukuje. Jaki jeszcze nagły przypadek może się przytrafić? Wstrząs cukrzycowy, atak paniki?

To było to! Atak paniki! Nawet nie będzie musiała specjalnie udawać. Już się zaczęła pocić i miała przyspieszone tętno.

Głód narkotyczny pod przykrywką ataku panicznego strachu. Znakomity plan, który może ocalić jej wartość miliarda dolarów reputację. W najgorszym przypadku odseparują ją od reszty towarzystwa, żeby mogła w spokoju wymiotować.

Laura Winston przestała się bronić przed nasilającymi się drgawkami.

Rozdział 51

Eugena Humphrey tak mocno skoncentrowała się na swoim, zgodnym z zasadami pranayama jogi, oddechu, że w pierwszym momencie nie zauważyła, że Laura Winston wstała. Kiedy na dodatek elegancka znawczyni mody zaczęła jęczeć jak chora na wściekłą wiewiórkę, Eugena całkiem nienantrycznie wypuściła powietrze ze szczytów płuc.

Jeszcze chwilę wcześniej Laura była pogrążona w błogim śnie. Teraz, z ziemistą cerą i nienagannie pofarbowanymi włosami w wielkim nieładzie, wyglądała jak lunaticzka. Z tą różnicą, że miała otwarte oczy.

— Usiądź, Lauro — powiedziała Eugena. — Widziałas przecież, co się stało z Mercedes. Ci faceci nie żartują.

Eugena pociągnęła ją za rąbek krótkiej zamszowej sukienki od Chanel.

— Zabieraj te łapy! — wrzasnęła Laura Winston. Histeryczka, pomyślała Eugena. Musiała ją uciszyć, zanim ją zabiją.

— Laura, co się stało? — zapytała najspokojniej jak potrafiła. — Powiedz mi. Już dobrze. Pomogę ci.

— Nie zniosę tego! — krzyknęła Laura i wyskoczyła na

środek nawy. — Pomóż mi, proszę! Proszę! Niech ktoś mi pomoże!

Niski, krępy szef porywaczy pojawił się przy barierce, kiedy Laura, zawodząc, upadła na kolana.

— Ona nie może nam tu tak świrować — zawołał do Małego Johna w drugim końcu kaplicy. — Zajmij się nią.

Wielkolud podszedł do Laury, chwycił ją za kłapy i postawił na nogi.

— Proszę pani... Musi pani wrócić na swoje miejsce — nakazał.

— Proszę! Pomóżcie mi! — zaszlochała głośno. — Przecież możesz mi pomóc, prawda? Nie mogę oddychać. Brakuje mi powietrza. Tu jest tak gorąco. Ja muszę do szpitala...

— I pewnie do Bellevue, co? — zachichotał porywacz. — Jest pani zwykłą histeryczką. A jedyne lekarstwo na histerię, jakie znam, to uderzenie w twarz. Przecież chyba pani nie chce, żebym ją spoliczkował, prawda?

Mały John złapał kobietę za rękę, kiedy próbowała przed nim uciec. Wykręcił jej rękę do tyłu, złapał za materiał sukienki na plecach i wyprowadził za barierkę.

— Skoro chcesz się w ten sposób bawić... — mruknął. Otworzył drzwi konfesjonału stojącego obok olbrzymiej rzeźby Marii trzymającej na kolanach Jezusa. Wepchnął wrzeszczącą Laurę do środka. Kiedy próbowała się wydostać, przycisnął swój wojskowy bucior do jej piersi i z hukiem zamknął drzwi.

— Jezu — powiedział, kręcąc głową i spoglądając na pozostałych zakładników. — Niektórzy to są stuknięci, co?

Rozdział 52

Kilka chwil później, kiedy Mały John kroczył dostojnie środkiem głównej nawy niczym bohaterski zdobywca, komik John Rooney stracił całkowicie rozum. Zmuszony do bezradnego patrzenia na to, co bandyta wyprawia z Laurą Winston, przestał nad sobą panować. Zapomniał o własnym bezpieczeństwie, o planach stawiania oporu, o oddziałach policji na zewnątrz. Po prostu sprężył się do skoku i rzucił na porywacza.

Mały John zachwiał się i upadł, kiedy Rooney podciął mu nogi. Rooney zdołał jeszcze objąć ramieniem jego szyję i ścisnąć z całych sił wyzwolonych przez strach i gniew.

Rooney wciąż leżał na plecach Małego Johna, kiedy dobiegł drugi porywacz i zaczął go kopać. Metalowe czubki butów trafiały boleśnie w jego ramiona, szyję, czoło. Zamiast puścić przeciwnika, Rooney zamknął oczy i skoncentrował się na jednym: jak najsilniejszym zaciskaniu ramienia na tchawicy porywacza.

Seria kopniaków nagle się skończyła. Wtedy Rooney usłyszał metaliczny trzask i na skroni poczuł ucisk czegoś zimnego i twardego.

Otworzył jedno oko i zobaczył uśmiechniętą twarz Jacka wychylającą się zza lufy M16.

— Poproszę cię tylko jeden raz — powiedział Jack. — Puść go.

— Strzelaj! — nieoczekiwanie dla samego siebie zawołał Rooney. W żyłach buzowała mu adrenalina. — Nie mam zamiaru siedzieć spokojnie i patrzeć, jak wy, bydlaki, bijecie starszych ludzi i kobiety!

Przez otwory w kominiarce widać było, jak Jack mruży oczy. W końcu powoli opuścił lufę karabinu.

— W porządku, panie Rooney — odezwał się. — Dojdźmy do porozumienia. Postaram się panować nad tłumem w łagodniejszy sposób. A teraz proszę puścić mojego kolegę. Jeżeli umrze, stworzy to niebezpieczny precedens.

Rooney zwolnił uścisk i, ciężko dysząc, podniósł się z podłogi. Z rozciętego czubkiem buta policzka ciekła mu krew, prawa ręka bardzo go bolała, ale czuł wewnętrzną radość. Właśnie zrobił coś, by sprzeciwić się temu aktowi przemocy.

Kiedy Mały John zerwał się na równe nogi, Jack trącił go w pierś lufą karabinu.

— Idź coś zjeść i odpocząć — powiedział. — Panie Rooney, proszę wrócić na swoje miejsce. Chciałem coś wszystkim powiedzieć.

Rooney usiadł, a Jack wszedł na podium i odchrząknął. Następnie uśmiechnął się, a jego zachowanie było tak urocze, że mógłby zostać przedstawicielem linii lotniczych przepaszającym oczekujących pasażerów za opóźnienie samolotu.

— Witam — zaczął. — Rozpoczęliśmy proces negocjacji. Wygląda na to, że przebiega on w sposób łagodny. Jeżeli sprawy dalej potoczą się tak gładko, to w Boże Narodzenie rano powinniście już być w domu z waszymi rodzinami.

Nie było żadnego aplauzu, ale Rooney wyraźnie usłyszał zbiorowe westchnienie ulgi.

— A teraz, niestety, zła wiadomość — ciągnął Jack. —

Jeżeli coś nie wyjdzie, będziemy zmuszeni zabić kilkoro z was.

Z tyłu kaplicy dało się słyszeć cichy jęk.

— Jako że znajdujemy się w przybytku bożym, proponuję, żeby ci z was, którzy uważają się za wierzących, zaczęli się modlić.

Linda London, bywalczyni reality show, zgięła się wpół i zaszłochała.

— Ludzie — zaczął łagodną połajankę porywacz. — Ludzie, proszę. Zachowujecie się tak, jakbyśmy mieli zamiar was torturować. Każda z egzekucji to będzie jeden, szybki, humanitarny strzał w tył głowy. Macie na to moje słowo.

Jack zszedł z podwyższenia i zatrzymał się obok Rooneya.

— I jeszcze jedno — powiedział, przykładając do jego krtani paralizator. Komikowi oczy wyszły z orbit, a wszystkie mięśnie skurczyły się gwałtownie. Wzrok stracił swą ostrość, a krzyk uwiązał w gardle. Odrętwiały, zsunął się na podłogę i wtoczył pod ławkę.

— Nie jesteśmy waszymi wychowawcami ani instruktorami aerobiku, a to nie jest garderoba Davida Lettermana — słyszał słowa Jacka półprzytomny Rooney. Udało mu się nawet zebrać myśli i dojść do wniosku, że powinien dać się zastrzelić. — Sądziłem, że skoro osiągnęliście w tym kraju taki sukces, to macie odrobinę oleju w głowie — narzekał Jack. — Czy wy, durnie, nie rozumiecie co znaczy: „jeśli przekroczysz dozwoloną granicę, zostaniesz zabity”?

Rozdział 53

Za dziesięć siódma rano jedenastoletni Brian Bennett zapukał do drzwi pokoju siostry.

— Julia? — szepnął. — Wstałaś?

Julia wyszła z pokoju, rozczesując mokre włosy. Już wzięła prysznic, pomyślał zaskoczony Brian. To on jako głowa rodziny chciał wstać pierwszy. W końcu był najstarszy z chłopców. Kiedy ta Julia Wspaniała zdążyła wstać? O szóstej?

— Właśnie miałam po ciebie iść — powiedziała Julia. — Tata wciąż śpi?

— Jak zabity... to znaczy, jak kamień — poprawił się szybko Brian. — Nie wiadomo, o której w nocy wrócił do domu. Może zacznę szykować płatki na śniadanie, a ty obudzisz potwory?

— Okay, ale jeśli skończysz, zanim poradzę sobie z dziewczynkami, to obudź Trenta, Eddiego i Ricky'ego — prosiła Julia. — Ubranie i uczesanie dziewczynek zajmie mi sporo czasu.

— W porządku — odparł Brian. Już zamierzał się odwrócić, ale w ostatnim momencie się zatrzymał.

— Wiesz co, Julia?

— Co?

— Mam wyrzuty sumienia po tym, jak tata wczoraj wieczorem wpadł do domu i nas nakrył. Myślę, że to świetny pomysł, żeby wstać wcześniej i wszystko przygotować. Na pewno sprawi mu to przyjemność.

— Cieszę się, że to mówisz, Brian.

— Czyja ekipa będzie gotowa później, ten przegrywa — zawołał na odchodnym.

W kuchni szybko nakrył do stołu, a potem otworzył drzwi pokoju chłopców. Kiedy potrząsał stopą Ricky'ego, śpiącego na dolnym łóżku, z górnego zwiesił się głową do dołu jak nietoperz Trent.

— Był? Był?! — pytał niecierpliwie Trent.

— Kto? — zaciekawił się Brian, wyciągając swojego pięcioletniego brata z łóżka.

— Mikołaj! — wrzasnął Trent.

— Ciiii! — uspokajał go Brian. — Nie.

— Co? — w głosie Trenta zabrzmiał smutek. — Mikołaj nie przyszedł? Dlaczego? Kłamiesz, Brian! Wiem, że czasem byłem nieposłuszny, ale tak w ogóle to byłem greczny.

— Dziś jeszcze nie jest Boże Narodzenie, mały maniaku — powiedział Brian, idąc w kierunku szafy. — Obudź Ricky'ego i idźcie umyć zęby. Szybko!

Kiedy Brian otworzył drzwi sypialni pięć minut później, uśmiechnął się. Dziewczynki właśnie wychodziły ze swojego pokoju. Zastanawiał się, czy panna Julia Perfekcyjna w Każdym Calu zdążyła już im udzielić lekcji rytmiki.

Zapalił światło w kuchni i zaczął się głośno śmiać. Widok wszystkich dzieci w kostiumach był naprawdę zabawny.

Dzisiaj w szkole będzie próba kostiumów przed bożonarodzeniowym przedstawieniem i każdy miał do odegrania jakąś rolę. Chrissy, Shawna, Bridget i Fiona miały grać aniołki w wiankach na głowach. Trent i Eddie byli pasterzami.

Ricky'emu przypadła rola Józefa, więc paradował ze sztuczną, zabawną, czarną brodą. Nawet Jane i Julia, które śpiewały w chórze, miały na sobie długie srebrne sukienki. On sam, oczywiście, miał najlepszy, najwspanialszy strój, bo odgrywał rolę jednego z Trzech Króli.

— Spójrz na nich — powiedział Brian, stając przy stole obok Julii. — Jak słodko wyglądają.

Julia wzięła do ręki aparat i zrobiła małym Bennettom zdjęcie. Co jest z tymi dziewczynami, zastanawiał się Brian. Dlaczego zawsze wiedzą, co należy zrobić?

Julia pokazała mu zdjęcie na ekranie aparatu.

— Jak myślisz, spodoba się mamie? — zapytała.

— Może — odparł Brian. — Skąd, do diabła, mam wiedzieć?

Rozdział 54

Kiedy w końcu obudziły mnie przyciszone trzaski, stuki, chichoty i okrzyki, poczułem, że u mojego boku nie ma żony. Byłem jej za to wdzięczny. Mieliśmy z Maeve taką umowę, że rano to ona ubiera dzieci, a ja odwożę je do szkoły. To, że pozwalała mi dłużej pospać przed pójściem do pracy i brała na siebie ciężar obowiązków, potrafią docenić tylko te osoby, które długo pozostają w związku małżeńskim.

Rzucałem się na łóżku, szukając resztek ciepła jej ciała na poduszce, ale poczułem tylko chłodne, sztywne prześcieradło. Nagle wróciła mi pamięć.

Leżałem, przeżywając swój dramat i nagle aż mnie zmroziło.

Postawiłem nagie stopy na zimnej, drewnianej podłodze i złapałem obszarpany, dziurawy szlafrok.

Jeśli Maeve nie przygotowała dzieci do pójścia do szkoły, to kto to zrobił?

Nie potrafię opisać, co czułem, wchodząc do kuchni i widząc wszystkie dzieci ubrane w kostiumy do przedstawienia. Myślałem, że śnię, albo jestem wręcz martwy, mając przed oczami moje dzieci przy kuchennym stole przemienione w jakiś nierzeczywisty, renesansowy obraz.

Nagle Trent strącił ze stołu miskę z wizerunkiem Sponge-Boba i wszyscy się obrócili w stronę drzwi.

— Tata! — zabrzmiał chórek.

Jak zdołali sami się przygotować? — zastanawiałem się. Kiepski ze mnie ojciec. Nawet o przedstawieniu zapomniałem. Sam nie wiem, dlaczego zacząłem płakać, kiedy pochyliłem się, by zebrać z linoleum resztki płatków Trenta. Aż nagle zrozumiałem.

Skoro dzieci potrafią się same o siebie zatroszczyć, to znaczy, że Maeve wykonała swoje zadanie. Powiązała wszystkie luźne końce, dopięła wszystko na ostatni guzik i może już odejść.

Otarłem łzy rękawem szlafroka. Chrissy przytuliła się do mnie i musnęła moją szyję trzepoczącymi rzesami.

Musiałem wziąć głęboki wdech, żeby się pozbierać. Gdyby Maeve zobaczyła, że płaczę przy dzieciach, dałaby mi porządnego kopniaka.

Spojrzałem na dzieci i na mojej twarzy wykwitł radosny uśmiech. Te dzieciaki naprawdę były aniołami. Były po prostu niesamowite! Kiwnąłem głową do Julii i Briana. Ileż w nich bezinteresowności! Zagryzłem wargi, czując, że zbliża się następna fala rozżalenia i odchrząknąłem.

— Wiem, że to nie jest niedziela — zawołałem z entuzjazmem — ale kto ma, tak jak ja, ochotę na niedzielne śniadanie?

Okrzyki: „ja!, ja!” odbijały się echem od ścian. Postawiłem na kuchence dwie żeliwne patelnie.

Kiedy rozdzielałem porcje zapiekanki z bekonem, jajkami, ziemniakami i zieloną cebulką, w progu kuchni pojawił się Seamus.

— Wszelki duch... — zawołał, patrząc szeroko otwartymi oczami na przebierańców. — Czy dziś jest Halloween?

— Nie! — wykrzyknęły dzieci i zaczęły chichotać.

Chwilę później pojawiła się Mary Catherine i rozejrzała ze zdumieniem. Wręczyłem jej talerz.

— Ostrzegałem, że jesteście stuknięci — powiedziałem z uśmiechem.

Przez kilka pięknych chwil stałem przy kuchence, patrząc na moją rodzinę i słuchając, jak jedzą i się śmieją. Szczęście trwało, póki nie dojrzałem leżącego na blacie obok ekspresu do kawy telefonu i kluczyków.

Cholerny świat, pomyślałem. Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju?

Pomyślałem o zakładnikach i o tym, jak zegar odmierza ich czas. Myśl o porwaczach kazała mi wrócić do rzeczywistości. Poszedłem wziąć prysznic. Uśmiechnąłem się gorzko, czując, że tkwiąca we mnie złość wyparowała i przeniosła się na nich. Zdałem sobie sprawę, że to przez Jacka muszę opuścić towarzystwo kochanych osób.

Nie wiesz, z kim zadarłeś, chłopie, przesłałem mu parapsychologiczną wiadomość. Możesz to sobie tylko wyobrazić. Ale naprawdę nie masz o tym bladego pojęcia.

Rozdział 55

Rodzina Bennettów zdołała na chwilę wstrzymać ruch uliczny, kiedy pół godziny później dzieciaki wysiadały z samochodu i biegły do drzwi szkoły Holy Name. Atrakcyjna brunetka w czarnej, zdobionej cekinami sukni, którą włożyła bez wątpienia jeszcze poprzedniego dnia, wysiadła z taksówki i na widok przebierańców zatrzymała się przy krawężniku, przyłożyła rękę do piersi i westchnęła: „Och!”. Nawet mijający nas metroseksualista w eleganckim płaszczu z wielbłądziej wełny gapił się z rozdziawionymi ustami.

Ale znacznie ważniejsze od tych dwóch reakcji były słowa, jakie usłyszałem z ust nie kogo innego, jak siostry Sheilah.

— Niech pana Bóg błogosławi, panie Bennett — zawołała z uśmiechem na twarzy, z prawdziwym uśmiechem, otwierając drzwi szkoły.

Wróciłem do samochodu i mimo chłodu czułem w sobie przyjemne ciepło. Postanowiłem chwilę posiedzieć. Wziąłem do ręki „Timesa”, którego znalazłem rano pod drzwiami.

Radosny, świąteczny nastrój prysł, kiedy zobaczyłem swoje zdjęcie pod nagłówkiem Porwanie podczas pogrzebu Pierwszej Damy Caroline Hopkins. Pod fotografią widniał podpis: Nic nie wiemy. Zerknąłem na nazwisko autora tej miażdżącej krytyki.

Cathy Calvin.

Któżby inny?

Potrząsnąłem głową. Czułem rozgoryczenie. Uprzykrzała mi życie. Nawet zdjęcie było niedobre. Moja twarz wyrażała zadumę, którą błędnie można było uznać za kompletne zaskoczenie. Musieli mi zrobić to zdjęcie, kiedy patrzyłem na kościelnego.

Dziękuję za piętnaście minut sławy, Calvin, pomyślałem. Naprawdę nie musiałaś. Nie mogłem się doczekać spotkania z Willem Matthewsem. Nie mogłem się doczekać, kiedy dostanę pochwałę za pierwszorzędny PR, jaki zrobiłem w „Timesie”.

Odrzuciłem gazetę na siedzenie i włączyłem bieg.

Wcale mnie nie cieszyło, że znajduję się w centrum tego zamieszania.

Rozdział 56

Była dokładnie ósma dwadzieścia dziewięć, kiedy Czyścioszek postawił kubek z kawą na oszronionej półce w budce telefonicznej na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej i Madison.

Chociaż kupił kawę z przenośnego straganu, był mile zaskoczony temperaturą płynu.

Pomiędzy popielatymi elewacjami budynków przy Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy szare poranne niebo wyglądało, jak wielka tafla brudnego szkła. Mdłe promienie słoneczne ledwie oświetlały ciemne okna katedry znajdującej się po drugiej stronie zabarykadowanej ulicy.

Czyścioszek uśmiechnął się przelotnie, delektując się swoją niedolą: zbyt gorąca obrzydliwa kawa, przejmujący chłód, drażniący hałas policyjnych generatorów. Jak na zawołanie, jakiś menel wygrzebał się z leżącej nieopodal sterty łachmanów, ziewnął i wysmarkał prosto do rynsztoku.

Ach! Prawdziwie nowojorski poranek, pomyślał Czyścioszek i sięgnął po słuchawkę telefonu.

— No i jak? — zapytał głos w słuchawce.

— Po staremu, Jack, po staremu — wesoło odpowiedział Czyścioszek. — Widzisz nową ciężarówkę przed wejściem? Przyjechali fachowcy od uwalniania zakładników.

— O tym właśnie mówię. Wszystko przebiega zgodnie z planem.

— Jak nasi goście? Miło spędzili noc?

— Bogacze są zupełnie inni, niż ty czy ja — zauważył Jack. — Są milion razy łagodniejsi. Prawdę mówiąc, przedszkolaki sprawiłyby mi więcej kłopotu.

— A nie mówiłem? — powiedział Czyścioszek.

— Mówiłeś, mówiłeś — potwierdził Jack. — Miej tam oczy szeroko otwarte. I trzymaj się naszego planu.

Połączenie się skończyło. Czyścioszek odłożył słuchawkę i uśmiechnął się na widok mijającej go grupki umundurowanych policjantów. Przygnębionych, zmęczonych, z workami pod oczami.

Kiedy sam zamknął oczy, pojawiła się wizja olbrzymiej, słonecznej łazienki, ze ścianami pokrytymi marmurem, parą unoszącą się nad jacuzzi, oślepiająco białą piramidą ręczników i widokiem błękitnozielonego morza za oknem.

Uniósł do ust kubek z gorącą kawą i odwrócił się w stronę kościoła. W szarym świetle wokół iglicy kościelnej wieży, trzepocząc skrzydłami, fruwały gołębie. Żołądek podszedł mu do gardła na wspomnienie ojca przeganiającego gołębie z dachu ich kamienicy na Brooklynie.

Czyścioszek odegnał wspomnienia i kubkiem z kawą wykonał gest błogosławieństwa.

— Darami, które mam otrzymać — powiedział — Pan zyska moją wielką wdzięczność.

Rozdział 57

Wesołek John Rooney nie wiedział, która godzina, kiedy wreszcie postanowił przestać udawać, że śpi, ale widząc blade światło przezierające się przez witraże, przypuszczał, że musi być około dziewiątej.

Ponieważ kościelne ławki były wąskie i niewygodne, porywacze pozwolili im wziąć poduszki z klęczników i spać na podłodze przed ołtarzem w kaplicy. Poduszki były jednak tak małe, a marmurowa posadzka tak zimna, że zwykły chodnik wydawał się przy niej wygodnym materacem.

Jestem teraz równie zmęczony jak przerażony, pomyślał, przecierając zaciśniętymi pięściami oczy i podnosząc się z podłogi.

W tylnej części kaplicy trzech zamaskowanych porwaczy siedziało na rozkładanych krzeselkach i popijało kawę z papierowych kubków. Nigdzie nie widział Małego Johna ani szefa bandy, Jacka. Ponieważ wszyscy mieli kominiarki i habity, trudno było się ich doliczyć. Może było ich ośmiu, może dwunastu. Może więcej. Czuwali na zmianę, byli świetnie zorganizowani.

Rooney z narastającą złością patrzył, jak jeden z nich pochyła się, aby przypalić papierosa od wotywniej świecy.

Charlie Conlan stanął obok Rooneya i położył mu dłoń na ramieniu.

— Dzień dobry, stary — powiedział cicho, nie patrząc na niego. — Wczoraj wieczorem byłeś bardzo odważny.

— Chciałeś powiedzieć głupi — odrzekł Rooney, dotykając palcami strupa na twarzy.

— Nie — zaprzeczył Conlan. — Zachowałeś się jak facet z jajami. Trzeba to powtórzyć, tylko we właściwym momencie.

— Nadal chcesz z nimi walczyć? — zdziwił się Rooney. Conlan spokojnie skinął głową. Rooney spojrzął w jego oczy o stalowym spojrzeniu. Charlie wydawał się teraz jeszcze większym draniem, niż dotychczas się o nim sądziło.

— Taaa! — rozległ się za ich plecami szept. To wypuszczona wcześniej z konfesjonału Mercedes Freer wstała z miejsca, gdzie przyszło jej spać. — Czyżby niegrzeczni chłopcy coś planowali? — zapytała.

Rooney zastanawiał się, czy dopuścić ją do tajemnicy i w końcu kiwnął głową.

— Po prostu chcemy być przygotowani.

— No i dobrze! — rzuciła piosenkarka. — Jeden z tych palantów ma do mnie słabość. Wczoraj wieczorem gadał do mnie przez drzwi konfesjonału. To ten chudy z karabinem, pośrodku. Można to wykorzystać. Mogę udawać, że lecę na niego albo coś takiego.

W tym momencie w tylnej części kaplicy pojawił się Mały John z kawą.

— No, biwakowicze, wstajemy — wrzasnął, kiedy już znalazł się w głównej nawie. — Sadzamy tyłki na krzesłach. Pora na żarcie.

Trzy ławki za Rooneyem, tam, gdzie siedział ksiądz Solstice, rozległ się nagle tubalny, przeciągły dźwięk. Początkowo myślał, że czarny ksiądz dostał ataku serca. Tym-

czasem dźwięk narastał i przeszedł w melodię. Mężczyzna śpiewał:

— Aaaaaaaaamazing grace, how sweeeeeeeeet the sound...

Ksiądz Sparks siedzący obok Solstice zaczął powtarzać zwrotkę.

Rooney przewrócił oczami. Co to za absurd?

Po chwili zauważył, że żarliwy śpiew dwóch mężczyzn wypełnił zimną świątynię łagodnym ciepłem. Do księży zaczęli się przyłączać inni, a kiedy Rooney zobaczył, jak Mały John kiwa z dezaprobatą głową, sam zaczął śpiewać.

Jeszcze większym zaskoczeniem było, gdy wstała Mercedes Freer i zaczęła śpiewać Cichą noc. Rooney rozdziawił usta, słysząc czysty, klasycznie piękny głos dziewczyny. Ta ordynarna dziwka mogłaby być solistką operową.

— ...nad Dzieciątka sne-em, na-ad Dzieciątka...

Ostatnią nutę Mercedes zagłuszył odgłos wystrzału. Powstał rumor, wszyscy obrócili się w ławkach, spoglądając w stronę głównej części kościoła, skąd dał się słyszeć huk.

Mrożące krew w żyłach echo wystrzału sprawiło, że nadzieja na uwolnienie zgasła w umyśle Rooneya jak zdmuchnięty nagle płomień świecy.

Boże, dopomóż nam, pomyślał, po raz pierwszy zdając sobie sprawę z wagi tych trzech słów.

Zaczęli zabijać.

Rozdział 58

Co jest, do cholery? Co to mogło być?

Jack przywarł plecami do jednej z grubych jak sekwoja marmurowych kolumn, wyciągnął pistolet kalibru dziewięć milimetrów i uważnie nasłuchiwał.

Robił właśnie obchód, kiedy nieoczekiwanie jakaś ubrana na czarno postać wybiegła z kiosku z pamiątkami. Podejrzewając, że to antyterrorysty z FBI wtargnęli na teren katedry, niewiele myśląc, strzelił.

Więc jednak jakoś się tu dostali, pomyślał. Musieli coś z Czyścioszkciem przeoczyć. Nasłuchiwał, oczekując odgłosu butów uderzających o marmurową posadzkę i wydawanych szeptem rozkazów. Sprawdził, czy na nim nie pojawiła się czerwona plamka celownika laserowego, która obwieszczała by, że już jest trupem.

— Co się stało? — zapytał Mały John, który przybiegł do niego z dwoma porywaczami. W jednej ręce trzymał granat, w drugiej pistolet.

— Jakiś ubrany na czarno facet wyskoczył z kiosku z pamiątkami. To raczej nie był Will Smith. Chyba go trafiłem.

— Federalni? — wyszeptał Mały John, spoglądając w górę na witraże w oknach. — Ale jak?

— Nie wiem — wzruszył ramionami Jack, wyglądając zza kolumny. — Przy chrzcielnicy leży jakieś ciało. Idę tam. Wy sprawdźcie kiosk. Strzelać bez uprzedzenia.

Mężczyźni rozdzielili się i ruszyli w stronę wyjścia. Jack przeskoczył przez główną nawę, cały czas mierząc w leżące nieruchomo ciało.

Gorącą jeszcze lufą stuknął leżącego w czoło. I wtedy zorientował się do kogo strzelał. Co ja narobiłem?

Patrzył na starszego księdza. Światło świec odbijało się, migocząc, od ciemnej plamy krwi. Cholera.

Podbiegł Mały John.

— W kiosku nikogo nie ma — zameldował. Spojrzał na martwego duchownego, w jego nieruchome, wielkie jak spodki oczy.

— O, psiakrew! — wydusił.

Jack przyklęknął i spojrzał na twarz nieboszczyka.

— Zobacz, co przez ciebie zrobiłem — syknął z wściekłością.

Mały John schował broń do kabury.

— I co teraz? — zapytał.

Na szczęście chłopcy stoją za mną murem, pomyślał Jack, patrząc na niewinną ofiarę. Ostrzegął, że może dojść do rozlewu krwi. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Przynajmniej nie będzie samotny w piekle.

— Wykorzystamy to — odpowiedział. — Nie chciałem posuwać się tak daleko, ale przepadło.

— Wykorzystamy? — zdziwił się Mały John i zerknął na martwego księdza. — Jak?

— Biercie księżulka za ręce i nogi — polecił Jack. — Dość tego czekania. Trzeba wyrzucić niewielki nacisk. Przechodzimy do ofensywy.

Rozdział 59

Do taśmy z napisem: „Policja. Nie przekraczać” odgradzającej nasze centrum dowodzenia dotarłem po dziewiątej. Miałem ochotę potraktować napis jak rozkaz i wrócić do domu, do rodziny, ale rozsądek zwyciężył. Zgasiłem silnik i otworzyłem drzwi.

Pokręciłem głową na widok trwającego w najlepsze oblężenia i zacząłem się przedzierać przez gęstniejący tłum dziennikarzy. Udało mi się bez problemów minąć wszystkie trzy punkty kontrolne.

Odbijające się w czarnej szklanej elewacji sąsiadującego od północy nowoczesnego biurowca wieże katedry załamywały się i wyglądały jak wykresy notowań giełdowych, które poszły ostro w górę, a potem zaczęły gwałtownie spadać. Kilku reporterów występowało właśnie przed kamerami, dzieląc się z widzami najświeższymi informacjami. Kiedy tylko pojawiała się jakaś nowa wiadomość, reporterzy prasowi zasiadali przed monitorami laptopów, telewizyjni stawali przed kamerami, a radiowi chwyтали za mikrofony.

Odwróciłem się tyłem do dziennikarzy akurat w chwili, gdy przy wejściu do katedry coś zaczęło się dziać. Drzwi znowu się otworzyły!

W pierwszej chwili wydawało mi się, że postać, która wypadła ze świątyni, to kolejny uwolniony zakładnik. Ale kiedy zdałem sobie sprawę, z jaką szybkością ubrany na czarno mężczyzna się porusza, serce zaczęło mi szybko bić. Może ucieka?

W następnej chwili runął twarzą na kamienne schody, nie próbując nawet zamortyzować upadku. Wiedziałem już, że stało się coś złego.

Nie miałem czasu na zastanawianie się. Przeskoczyłem nad zderzakiem wywrotki barykadującej ulicę i przebiegłem na drugą stronę Piątej Alei.

Dopiero kiedy dopadłem schodów prowadzących do katedry i uklęknąłem obok leżącej postaci, zdałem sobie sprawę, że nie mam na sobie kamizelki kuloodpornej.

Mężczyzna, spadając ze schodów, wpadł na urządzoną na ulicy prowizoryczną kapliczkę na cześć Caroline Hopkins. Zgaszone znicze przypominały teraz bardziej porozrzucane butelki niż uroczystą ofiarę. Przy wyciągniętych ramionach mężczyzny leżał bukiet zwiędłych róż, tak jakby podczas upadku wypuścił go z rąk.

Nie mogłem odszukać pulsu. Obróciłem go na plecy, żeby wykonać sztuczne oddychanie i wtedy poczułem w sercu lodowate ukłucie.

Mój wzrok wędrował od koloratki do dziury w skroni, aż po otwarte, martwe oczy.

Zamknąłem mu oczy i zasłoniłem twarz dłonią. Potem odwróciłem się i spojrzałem na drzwi z brązu. Były już zamknięte.

Zamordowali księdza!

Znalazł się przy mnie porucznik Reno.

— Matko Boska — powiedział spokojnie, choć jego kamienna twarz pobladła. — Teraz już są mordercami.

— Zabierzmy go stąd, Steve — rzekłem.

Reno chwycił księdza za nogi, ja za ręce. Dłonie miał delikatne i małe jak u dziecka. Niewiele ważył. Zwisający na szyi szkaplerzyk szorował po asfalcie, kiedy biegiem przнеслиśmy ciało za policyjną linię.

— Jak to jest, że nasza robota ogranicza się do wynoszenia ciał, Mike? — zapytał ze smutkiem Reno, kiedy dotarliśmy do barykady.

Rozdział 60

Kiedy położyliśmy ciało zabitego księdza na noszach, przez otwarte drzwi wozu dowodzenia usłyszałem dzwonek telefonu. Nie musiałem patrzeć na wyświetlacz, żeby się domyślić, kto dzwoni. Nie poderwałem się, żeby natychmiast odebrać. Przeciwnie, najpierw ostrożnie zamknąłem zmarłemu powieki.

— Bennett! — usłyszałem wrzask Willa Matthews'a. Sztywnym krokiem minąłem go i wszedłem do środka. Po raz pierwszy nie denerwowałem się, odbierając telefon, nie czaił się we mnie strach, że coś spieprzę. Przeciwnie.

Nie mogłem się doczekać, żeby porozmawiać z tym sukinysem.

Negocjator Martelli musiał wyczuć moją wściekłość. Złapał mnie za nadgarstek.

— Mike, odpręż się — powiedział. — Nieważne, co się stało, musisz zachować spokój. Żadnych emocji. Jak się wściekniesz, diabli wezmą dobre stosunki, jakie udało ci się nawiązać. Trzydzieści dwie osoby nadal są w niebezpieczeństwie.

Żadnych emocji! — pomyślałem. Najgorsze było to, że Martelli miał całkowitą rację. Moim zadaniem było odgrywać

rolę najspokojniejszego faceta pod słońcem. To było tak, jakby ktoś rozwalił mi nos, a ja przepraszałbym, że ośmieliłem się zachlapać krwią jego pięść. Zacząłem nienawidzić roli. w jakiej przyszło mi występować.

Skinałem głową w stronę sierżanta zajmującego się łącznością.

— Bennett — rzuciłem do słuchawki.

— Mike — usłyszałem wesoly głos Jacka. — Jesteś wreszcie. Zanim wpadniecie w żałobny ton, muszę ci coś wytłumaczyć. Ojciec Pasażer na Gapę musiał wczoraj rano nadużyć wina, bo przecież kazaliśmy wszystkim wyjść z katedry. W nieodpowiednim momencie wyskoczył z ukrycia. Ponieważ miał czarne ubranie, myśleliśmy, że to któryś z twoich kumpli ze SWAT próbuje nam zepsuć uroczystość.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Że był to wypadek? Że to nie twoja wina? — mówiłem, uważając, żeby ze złości nie zgnieść plastikowej obudowy telefonu.

— Właśnie — odparł Jack. — To jeden z tych przypadków, kiedy ktoś znajduje się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, Mike. Z drugiej strony nie jest to znów tak wielka strata. Stary świntuch. Niejeden ministrant będzie miał od dzisiaj spokojniejsze sny.

Miałem już dosyć słuchania tego potwora.

— Ty sukinsynu — warknąłem. — Ty kupo gówna. Zabiłeś księdza.

— Czyżbym się przesłyszał?! — zawołał radośnie Jack. — Wyczuwam w twoim głosie prawdziwe emocje! A już zacząłem podejrzewać, że rozmawiam z komputerem wyposażonym w syntezytor mowy, Mikey. Cała ta psychoterapia, cała strategia uspokajania, którą stosowałeś od samego początku sprawiała, że miałem ochotę zeżreć swoją spluwę. I oto wreszcie rzucamy karty na stół! My chcemy bezpiecznie uciec z forszą, wy chcecie przy najbliższej nadarzającej się

okazji odstrzelić nam łby. — Roześmiał się. — Nie jesteśmy przyjacielami. Nie ma dwóch większych wrogów na tym świecie niż ty i ja. Masz rację, Mike. Jesteśmy sukinsynami. Co więcej, jesteśmy najgorszymi sukinsynami, jakich w życiu spotkałeś. Skoro potrafiłszy bez powodu zabić księdza, to co powieście o tych bezwartościowych sławnych szychach? Dlatego albo nas zastrzelcie, albo dajcie nam naszą forszę. I nie marnuj więcej mojego czasu!

— Jesteś pewien, że nie chcesz wybrać trzeciej opcji? — zapytałem niespodziewanie.

— Jakiej trzeciej opcji, Mikey?

— Zeżreć swojej spluwy — odparłem.

— Akurat — odpowiedział ze śmiechem Jack. — Nie jestem głodny. Ale jeśli masz zamiar dalej ze mną pogrywać, to się strzeż. Zanim to wszystko się skończy, mogę dojść do wniosku, że to ciebie trzeba nakarmić.

Rozdział 61

W uszach zabrzmiał mi sygnał przerwane go połączenia i w tej samej chwili do wozu wszedł Mike Nardy, kościelny z katedry.

— Muszę wam coś wyznać — wymamrotał, spoglądając na gromadkę policjantów i agentów. — Jest jeszcze inne wejście do katedry.

Szef grupy antyterrorystycznej FBI, Oakley, podszedł do niego szybko.

— Niech pan mówi, panie Nardy.

Staruszek został posadzony na krześle obrotowym, do ręki wciśnięto mu kubek z kawą.

— Nie wspominałem o tym wcześniej, bo to jest, hmm, sekret. Zresztą dość kłopotliwy dla kościoła. Przyszedłem teraz z powodu ojca Millera, tego księdza, którego zastrzelili. Był moim przyjacielem. Dacie mi słowo, że to się nie wyda?

— Oczywiście — bez wahania odpowiedział Oakley. — Którędy tam można się dostać, panie Nardy?

— Z głównej hali w Rockefeller Center — wyznał kościelny. — Pod Piątą Aleją biegnie tunel, który prowadzi do, hmm, schronu. W latach sześćdziesiątych kardynał Spellman, niech Bóg ma w opiece jego duszę, po incydencie w Zatoce

Świń popadł w coś, co można nazwać paranoją. Był przekonany, że na Nowy Jork spadną bomby atomowe. Przeznaczył zatem pewną sumę na tajny projekt.

Schron wybudowano obok krypty arcybiskupów. Za zgodą Rockefellerów awaryjne wyjście znalazło się w dolnej hali Rockefeller Center, tam gdzie teraz znajdują się sklepy. Nigdy nie szedłem tym tunelem. Od chwili, kiedy go wykopano, nikt tamtędy nie chodził.

— Dlaczego nie powiedział nam pan o tym wcześniej? — wtrąciłem ze złością. — Przecież wiedział pan, że szukamy jakiegoś sposobu, żeby się dostać do środka.

— Miałem nadzieję, że ten problem uda się rozwiązać pokojowo — odrzekł cicho kościelny. — Teraz rozumiem. Biedny ojciec Miller. Był z niego dobry człowiek.

Uwielbiałem, kiedy obywatele zaczynają manipulować policją dla własnych politycznych celów. Miałem ochotę wygarnąć staruszkowi, że utrudnia pracę stróżom prawa, ale Oakley powstrzymał mnie potrząśnięciem głowy.

— Może nam pan pokazać wejście do tunelu, panie Nardy? — zapytał łagodnie.

— Oczywiście — gorliwie potwierdził kościelny. Oakley przez radio kazał stawić się w wozie dowodzenia połowie swojego oddziału.

Nareszcie zaczynamy działać, pomyślałem. Trafia nam się szansa.

Podobnie jak Jack też miałem dosyć gadania.

— Dokądś się wybierasz? — zapytał mnie zaskoczony Oakley.

— Idę z wami — odpowiedziałem z bladym uśmiechem. — Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać negocjator.

Rozdział 62

Po dwudziestu minutach, które upłynęły na ładowaniu broni i krótkiej naradzie, dołączyłem do oddziału komandosów z FBI i NYPD. Ruszyliśmy za kościelnym pod numer sześćset trzydzieści na Piątej Alei.

Pociłem się jak mysz w pożyczonym hełmie z noktowizorem, ciężkiej kamizelce kuloodpornej i dźwigając karabin. Kiedy bieглиśmy przez wyłożony czerwonym marmurem holi w stylu art deco i w dół po schodach, słychać było tylko skrzypienie naszych butów.

W cichym, pustym korytarzu wisiały świąteczne dekoracje, a przez szyby wystawowe sklepów z ubraniami, zabawkami i żywnością wpadał blask światła.

Przypomniał mi się stary horror, który oglądałem z moim synem Brianem w poprzednie Halloween, o ludziach, którzy uciekali przed zombie, kryjąc się w domu towarowym. Przypomniałem sobie tytuł filmu i szybko przegnałem myśl o *deja vu*.

Świt żywych trupów.

Nardy zatrzymał się przed nie oznakowanymi stalowymi drzwiami obok delikatesów Dean & DeLuca. Z kieszeni znoszonych spodni wyjął ogromny pęk kluczy. Przerzucając

je po kolei, poruszał ustami; trudno powiedzieć, czy modlił się, czy może je liczył. W końcu odnalazł duży, solidny klucz i wręczył go Oakleyowi.

— To ten — powiedział i się przeżegnał. — Niech was Bóg błogosławi.

— Słuchajcie — wyszeptał Oakley. — Wyłączyć radiotelefony. Moja drużyna idzie przodem. Sprawdzić, czy macie dokręcone tłumiki. Przygotować noktowizory. Idziemy jeden za drugim. Czekajcie na mój sygnał. — Odwrócił się do mnie. — Mike, to ostatnia okazja, żeby się wycofać.

— Idę — odparłem.

Rozdział 63

Rozległy się metaliczne trzaski odbezpieczanej broni, a potem jeden głośniejszy, kiedy Oakley przekręcił klucz w zamku.

Drzwi otworzyły się z jękiem i zgrzytem. Nie opuszczając broni, patrzyliśmy w głąb nieoświetlonego betonowego korytarza.

— Mama mi mówiła, że jak będę grzeczny, to wyląduję na Piątej Alei — szepnął Oakley, nasunął na oczy noktowizor i, trzymając przed sobą lufę MP5, wkroczył w ciemność.

Ja również założyłem noktowizor. Mroczny tunel przybrał upiornie zielony kolor. Po przejściu sześciu metrów musieliśmy się pochylić pod pordezwiątym kanałem, w którym znajdowały się kable. Następne dziesięć metrów wędrowaliśmy wzdłuż wielkiej jak cysterna z benzyną gorącej rury. Tunel schodził coraz niżej. W końcu dotarliśmy do prowadzących w dół spiralnych metalowych schodów.

— Zawsze byłem ciekawy, na co oni wydają pieniądze z tacy — powiedział Oakley, kiedy schodzili po schodach. — Każdy, kto zobaczy faceta z rogami i widłami w ręku, ma rozkaz dusić go tak długo, aż usłyszy trzask.

Po zejściu na głębokość jakichś dwóch pięter natknęliśmy

się na nitowane drzwi, pośrodku których znajdowało się coś, co przypominało koło sterowe. Wyglądało to tak, jakbyśmy nagle znaleźli się w maszynowni okrętu.

Ledwie Oakley oparł o nie rękę, drzwi otworzyły się do wewnątrz, jakby były zawieszane na świeżo naoliwionych zawiasach. Nieoczekiwanie znaleźliśmy się w niewielkim, dziwnym pomieszczeniu. Była to kaplica z betonowymi ławkami i betonowym ołtarzem. Jediną rzeczą, która nie była betonowa, był krucyfiks — odlany z jakiegoś mdłoszarego metalu, prawdopodobnie ołowiu. Na prawo od krucyfiks-u znajdowała się metalowa drabina prowadząca ku czemuś w rodzaju komina w suficie.

Kiedy podchodziliśmy do drabiny, Oakley nakazał ciszę.

Pionowy, dziwaczny silos miał wysokość około dwóch pięter. Nie wiem, czy w FBI trenują wspinanie się po drabinie, ale gdyby to były igrzyska olimpijskie, z pewnością ludzie Oakleya zdobyliby złoty medal.

Patrzyłem z dołu i dostrzegłem na samej górze komina identyczne koło sterowe otwierające zapewne klapę tego silosu.

Nagle koło zaczęło się ze zgrzytem obracać.

Chwilę później nie widziałem już nic, gdyż z góry padł silny snop światła. Zostałem nie tylko oślepiony, ale i ogłuszony, kiedy przestrzeń wokół wypełnił terkot strzałów.

Dopadł nas Jack.

Rozdział 64

Cofnąłem się o kilka kroków i zerwałem z głowy noktowizor. Kule dziurawiły betonową podłogę.

To cud, że nie zostałem trafiony, kiedy odciągałem z zagrożonego pola skaczących, spadających i ześlizgujących się po drabinie komandosów.

Niebieskobiałe ogniki nieustającego ostrzału rozświetlały pomieszczenie. Policjanci reanimowali rannych kolegów.

Słyszałem jak Oakley, przeklinając, liczy swoich ludzi. Przełączyłem swój MP5 na ogień automatyczny i podbiegłem z powrotem do komina.

Włożyłem rękę z karabinem w otwór i nacisnąłem spust. MP5 podskakiwał w dłoni jak młot pneumatyczny. Wreszcie usłyszałem trzask. Koniec amunicji. Nie wiem, czy kogoś trafiłem, ale atak porywaczy na chwilę ustał.

Chwilę później usłyszałem głośny gwizd i u podstawy schodów wylądował płonący pojemnik. Potem następny. Gryzący dym szczypał w oczy i piekł w płucach. Szybko osłoniłem twarz kurtką.

— Gaz łzawiący! — krzyknąłem. — Cofnąć się! O mało nie potknąłem się o leżącego policjanta.

— Trafili mnie — szepnął.

Zarzuciłem go sobie na ramiona i ruszyłem w stronę drzwi,

którymi tu weszliśmy. Rąbnąłem golenią o spiralne schody i poczułem, że do buta sączy mi się krew. O mały włos nie rozbiłem też głowy sobie i policjantowi, którego niosłem, o wystający z sufitu żelazny kanał z przewodami.

Ten odwrót wyglądał zupełnie surrealistycznie. W świetle migających świątecznych lampek przy akompaniamencie głupawej bożonarodzeniowej muzyki płynącej z głośników krew i brud na naszych chłopcach wyglądały jak charakteryzacja.

Położyłem dźwiganego przeze mnie mężczyznę na wypolerowanej marmurowej posadzce. Zamarłem, patrząc w jego pozbawione życia niebieskie oczy. Krzepki, ciemnowłosy, co najwyżej dwudziestopięcioletni policjant nie żył. Zmarł, kiedy go przenosiłem w bezpieczne miejsce.

Oakley zasłaniał właśnie hełmem twarz innego, leżącego po mojej lewej stronie, antyterrorysty z FBI.

Co się stało? Dwóch dobrych ludzi, dobrych gliniarzy nie żyje.

Oszołomiony rozejrzałem się wokół. Obok ciała martwego policjanta, za szybą, widniała reklama sklepu odzieżowego. Na masce zabytkowego samochodu siedziało dwóch przystojnych mężczyzn bez koszul, a pomiędzy nimi wciśnięta nastoletnia blondynka w czapce Mikołaja i obcisłym czerwonym kostiumie.

To idiotyczne zdjęcie w połączeniu z szokiem, jakiego doznałem, wzburzyło mnie. Kolbą karabinu rozbiłem szybę wystawową na milion drobnych kawałków. Natychmiast włączył się alarm.

Osunąłem się po ścianie i usiadłem pośród zielonych, szklanych odłamków. Spojrzałem na tę bramę do piekieł, z której przed chwilą wyszliśmy i zagryzłem wargi.

Boże, dopomóż nam, pomyślałem w duchu. Po chwili przyszła inna refleksja: skąd oni tak dużo wiedzą o katedrze? Skąd tak dużo wiedzą o naszych planach?

Rozdział 65

Czyścioszek zamknął klapy telefonu komórkowego w chwili, gdy tuż obok niego, na krawężnik chodnika przy numerze sześćset trzydzieści na Piątej Alei, wjechała karetka. Żeby przepuścić kobietę — ratownika medycznego, musiał cofnąć się o krok, aż dotknął plecami zimnej, brudnej karoserii wozu dowodzenia. Po chwili ze spuszczoną głową poszedł dalej.

To chyba znajoma Yolanda, stwierdził, zerknąwszy jeszcze raz na twarz Latynoski.

Potrząsnął głową na wspomnienie ich pierwszego spotkania pod szpitalem, w którym ostatnie tchnienie wydała Caroline Hopkins.

Ze wszystkich policyjnych akcji we wszystkich katedrach świata ona musiała wybrać akurat tę i przyjechać tu tym swoim rzeźnickim ambulansem.

Czyścioszek uśmiechnął się.

Tu jestem i patrzę na ciebie, suko. Sześć stopni oddalenia.

Patrzył, jak przecina plac, pchając przed sobą wózek na kółkach. W obrotowych drzwiach Rockefeller Center minęła się z wychodzącymi właśnie policjantami.

Czyścioszek szybko przeliczył gliniarzy. Weszło trzynastu,

teraz przed budynkiem stało dziewięciu. A więc jego chłopcy w katedrze dobrze pilnowali interesu! Pokonali oddział uwalniania zakładników! Najlepszy ze wszystkich oddziałów!

Dzięki Bogu, że mógł dać Jackowi cynk.

Skrzywił się lekko, widząc, że ten mądrała Mike Bennett wciąż jest wśród żywych. Yolanda podwinęła mu nogawkę spodni i dezynfekowała rozcięcie na łydce.

Co się stało, Mikey? Zrobiłeś sobie kuku?

Widział, że Bennett zlekceważył zabiegi Yolandy i, wciąż w szoku, pokuśtykał w stronę wozu dowodzenia. Kiedy mijał policjantów i agentów FBI, ci poklepywali go po ramieniu.

— To nie twoja wina! — zawołał z tłumu Czyścioszek, kiedy Bennett go mijał. — To te bydlaki w środku! To wszystko przez nich!

Rozdział 66

To była tragedia, pomyślał Jack, patrząc na leżącego kolegę. Zakrwawiony porywacz oparł głowę o kamienny sarkofag i pojękiwał. Jack gwałtownym ruchem zamknął betonowa pokrywę schronu.

To właśnie informacja o tajnym przejściu łączącym kryptę z sąsiednim budynkiem miała wpływ na to, że Jack i Czyścioszek zdecydowali się na porwanie. Tą drogą większość z nich dostała się do świątyni i tą samą drogą zamierzali uciec.

Jack potarł nerwowo grzbiet nosa i zamknął oczy. Zaczął wpadać w panikę.

Musiał się uspokoić. Nie wolno mu było panikować. Wszystko jest w porządku. Przecież spodziewał się takiego obrotu sprawy. Nadal może im się udać.

Zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił.

Bogu dzięki, że jest jeszcze plan B.

Na odgłos jęku umierającego towarzysza otworzył oczy.

Fontaine, ty pechowy sukinsynu, pomyślał Jack.

— Leż teraz spokojnie — powiedział, rozcinając nożem brązowy habit i z trzaskiem rozpinając kamizelkę kuloodporną rannego.

— Wyjdiesz z tego — skłamał bez wahania.

Jeden z wystrzelonych z bunkra pocisków odbił się rykoszetem od pokrytej ołowiem pokrywy wjazdu i trafił Fontaine'a w kark, na lewo od kręgosłupa, tuż nad kołnierzem kamizelki kuloodpornej. Ale nie to było najgorsze, pomyślał Jack. Były dwa rozwiązania: albo oblał sobie spodnie kilkoma litrami czerwonej farby, albo wykrwawiał się na śmierć z rany wylotowej.

Jack rozsunął ciężką kamizelkę Fontaine'a i wtedy spostrzegł intensywnie krwawiącą ranę na prawej piersi. Patrzył na umierającego mężczyznę z najwyższym szacunkiem. To, że Fontaine w ogóle jeszcze oddychał, przeczyło wszelkiej logice.

— Nie okłamuj mnie — odezwał się Fontaine. — W środku jestem cały poharatany. Czuję to. Czuję krew.

— Wyniesiemy cię na zewnątrz — zaproponował Jack. — Aresztują cię, ale przynajmniej będziesz żył.

— Tak, pewnie — odparł Fontaine. — Poskładają mnie do kupy, wyleczą, tylko po to, żeby potem wstrzyknąć mi truciznę. Poza tym, kiedy mnie zidentyfikują, wszyscy będziemy mieli przesrane. Zrób coś dla mnie, kiedy będzie już po wszystkim.

— Co tylko chcesz — powiedział Jack.

— Daj moją dołę mojej dziewczynie, Emily. Cholera, nawet nie całą. Po prostu coś jej daj.

Porywacz nagle zaszlochał.

— Samo umieranie nie jest najgorsze, najgorzej jest umierać za nic.

Jack usiadł w kałuży krwi za Fontaine'em, objął go i zaczął kołysać.

— Masz moje słowo — szepnął mu do ucha. — Dostanie całą twoją dołę. Pójdzie do college'u. Zawsze tego chciałeś, prawda? Pójdzie do najlepszego college'u na Wschodnim Wybrzeżu.

— Tak! — Fontaine lekko skinął głową. — Na egzaminie kwalifikacyjnym dostała tysiąc pięćset punktów, mówiłem ci o tym?

— Jakiś tysiąc razy — zachichotał mu do ucha Jack.

— Jedyną dobrą rzeczą, jaką zrobiłem, było wykończenie jej bezwartościowej matki — powiedział z uśmiechem Fontaine. Był teraz spokojny, jakby właśnie zasypiał po ciężkim dniu pracy. Jack poczuł gwałtowny skurcz, jaki przebiegł przez ciało umierającego mężczyzny, a potem nagłe rozluźnienie. Fontaine nie żył. Stracili dobrego człowieka.

Gdy wstawał z podłogi, miał już suche oczy. Jednemu z przyglądających się całej scenie porywaczy wręczył nóż.

— Odetnij mu dłonie i głowę i zapakuj je — polecił. — Zabierzemy je ze sobą. Nie możemy pozwolić, żeby go zidentyfikowali.

Rozdział 67

— Ale ja chcę być samochodem. Ja muszę być samochodem! — jęczał pięcioletni Trent Bennett nad planszą gry w monopól. Dziewięcioletni Rick, spodziewając się kłopotów, szybko zabrał pionek z pola „start” i przycisnął go do piersi. Trent zaczął płakać.

Brian Bennett przewrócił oczami. Oto jego zadanie, zajmowanie się smarkaczami. Grę właśnie diabli wzięli. Czy uda się ich czymś zająć? Nie ma mowy.

Mary Catherine, ich nowa niania czy kim ona tam, do diabła, była, powiedziała, że musi na chwilę wyjść do sklepu. Dziadek był w kościele. Na posterunku, siłą rzeczy, pozostał tylko Brian.

Słyszac otwierane drzwi wejściowe, wstał od stołu w jadalni. Wszedł do przedpokoju i zobaczył olbrzymią choinkę. Mary Catherine zdjęła czapkę i potarła dłońmi czerwone, spocone, ale wciąż ładne, policzki.

Brian patrzył zdumiony. Mary Catherine przyniosła do domu choinkę.

To było bardzo miłe.

— A, Brian, tu jesteś — odezwała się z tym swoim śmiesznym irlandzkim akcentem. — Nie wiesz, gdzie rodzice trzymają ozdoby choinkowe? Mamy zajęcie.

Dwadzieścia minut później wszystkie dzieciaki były już w salonie, podając ozdoby stojącej na chybotałej drabinie Mary Catherine. To nie to samo, co strojenie choinki z mamą, pomyślał Brian. Mama ładniej przystrajała świąteczne drzewko. Z drugiej strony, lepsza ta choinka z Mary Catherine, niż żadna.

Chrissy, wciąż w stroju aniołka, wyszła z kuchni, starając się nie uronić ani jednej kropli z pełnego dzbanka wody.

— Co ty robisz? — zapytał Brian.

— To moja praca — odpowiedziała z powagą. — Socky nie ma wody.

Brian zaczął się śmiać. Dzięki wpływowi sióstr Chrissy zachowywała się czasem jakby miała trzynaście lat, a nie trzy. Powiódł wzrokiem za najmłodszym aniołkiem, który wszedł do salonu i włączył telewizor.

— Ach, spójrz! Spójrz!

— Co się dzieje? — zapytał Brian, podchodząc do siostry. Na ekranie ich ojciec właśnie wchodził na podwyższenie i stał przed rzędem mikrofonów. Zupełnie jak Derek Jeter po meczu baseballowym, pomyślał podniecony Brian.

Dumą zastąpił niepokój, kiedy przyjrzał się dokładniej. Ojciec uśmiechał się, ale był to ten uśmiech, którym czasem maskował smutek lub złość.

Mimo wszystko tata wygląda jak Jeter, pomyślał Brian.

Tyle że po przegranym meczu.

Rozdział 68

Stając przed grupą dziennikarzy, czułem się odrętwiały i na pewno dojmujący chłód nie był jedyną tego przyczyną. Zawsze denerwowałem się, kiedy miałem złożyć standardowe oświadczenie dla prasy. Mimo to, gdy dowiedziałem się od Willa Matthews, że komisarz kazał urządzić konferencję prasową, zgłosiłem się na ochotnika.

Byłem pewien, że te bydlaki w katedrze będą to oglądać — chciałem, żeby mnie zobaczyli, żeby usłyszeli, co mam do powiedzenia.

Zerknąłem na aleję pełną rozstawionych w nieładzie wozów transmisyjnych, a potem wbiłem wzrok w czarny obiektyw stojącej przede mną kamery.

— W ostatniej godzinie — zacząłem — podjęto próbę uwolnienia zakładników. Doszło do wymiany ognia, w wyniku której zginął agent FBI oraz oficer policji nowojorskiej. Kolejnych dwóch funkcjonariuszy odniosło rany. Nazwiska ofiar podamy po uprzednim powiadomieniu rodzin.

Wśród dziennikarzy zapanowało poruszenie, rozległ się szmer zainteresowania.

— Dlaczego podjęto tak pochopną decyzję? — zapytał jakiś reporter z pierwszego rzędu.

— W zaistniałej sytuacji nie będziemy komentować żadnych decyzji dowództwa — odpowiedziałem.

— W której części katedry doszło do próby uwolnienia zakładników? — zapytała ładna dziennikarka w średnim wieku. W jednej ręce trzymała mikrofon, w drugiej włączony telefon komórkowy.

— W tym momencie nie będziemy ujawniać szczegółów taktycznych operacji — nawet dla mnie samego mój opanowany głos brzmiał przerażająco. Jeszcze kilka minut wcześniej byłem w ogniu walki, a teraz zachowywałem się spokojnie, jak Colin Powell podczas defilady. Byłem z siebie dumny. Gdybym dał odczuć tym mętom w środku, że wygrali tę rundę, znieważylbym pamięć poległych policjantów. — Sytuacja jest trudna, proszę państwa — ciągnąłem. — Wiem, że chcecie się dowiedzieć, co się dzieje, ale to nie jest odpowiednia pora na ujawnianie jakichkolwiek szczegółów. Byłoby to sprzeczne z celami, które sobie postawiliśmy. Przede wszystkim chcemy bezpiecznie wyprowadzić z katedry trzydziestu dwóch zakładników.

— Czy porywaczy też? — zapytał ktoś z tyłu. — Co z nimi? Patrzyłem nieruchomo wprost w obiektyw kamery. Czułem się tak, jakbym patrzył wprost w oczy Jacka.

— Oczywiście — odpowiedziałem. — Oczywiście, że tak. Chcemy rozwiązać ten problem w sposób pokojowy.

Zignorowałem potok wykrzykiwanych pytań i zszedłem z podwyższenia. O mało nie przewróciłem wysokiej brunetki, kiedy potknąłem się o leżący przy krawężniku kabel.

— Daj spokój, Mike — odezwała się Cathy Calvin. — Kim są ci ludzie? Musisz nam powiedzieć, czego żądają. Jakie są ich warunki?

— Dlaczego mnie pani o to pyta? — zrobiłem zaskoczoną minę. — Nie czytała pani swojej gazety, pani Calvin? Przecież ja nic nie wiem, zapomniała pani?

Rozdział 69

Wróciłem do wozu dowodzenia i siedziałem spokojnie z telefonem w ręku. Kiedy zadzwonił, o mały włos nie upuściłem go na podłogę. Wciąż wszystko się we mnie gotowało, choć zdawałem sobie sprawę, że wszelkie emocje były w tej chwili bezużyteczne. Złość była usprawiedliwiona, **tyle** że na nic się nie przydawała. Teraz musiałem naprawić to, co popsuliśmy, zapanować jakoś nad tym cholernym bałaganem.

A przede wszystkim sprawić, żeby Jack mówił, a nie strzelał.

— Tu Mike — powiedziałem.

— Ty kłamliwy sukinsynu! — wrzasnął Jack.

— Spokojnie, spokojnie, Jack — próbowałem załagodzić.

— Zaszło nieporozumienie. Nawaliła łączność. Nie przedzono mnie wcześniej o tej akcji.

Starłem się być maksymalnie szczery, ale w tych warunkach okazało się to niemożliwe. Prawda była taka, że próbowałem zabić Jacka i jego kumpli, a teraz byłem wściekły, że mi się to nie udało.

Niemniej jednak musiałem zachować dystans do tego, co się stało. Zachowywać się, jakbym był maleńkim trybikiem w skomplikowanym mechanizmie.

— Słuchaj, Jack — zacząłem — niedawno prosiłeś, żebyśmy rozmawiali szczerze. Czego oczekiwałeś? Zastrzelełeś księdza i wyrzuciłeś go na schody jak jakiś cholerny worek śmieci. Myślałeś, że to nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji?

— To był wypadek! Mówiłem ci! — wściekał się Jack. — Jeden z waszych kutasów zastrzelił mojego przyjaciela! Umarł na moich rękach.

— A jeden z twoich kumpli zabił dwóch policjantów — powiedziałem. — Ta gra nie ma żadnych perspektyw, Jack. Myślałem, że chcesz forsy. Zabijając ludzi, na pewno jej nie zdobędziesz. Osiągniesz tylko tyle, że moi maksymalnie wkurzeni kumple glińiarze wpadną tam i zaczną strzelać bez opamiętania. A teraz podsumujmy. Jeżeli w końcu zmusisz nas do ataku na katedrę, nie wyjdiesz z tego cało. Zabijając księdza, popełniłeś błąd. Rozumiem. My także popełniliśmy błąd. Zostawmy to na razie i zacznijmy od początku.

Czekałem. Chociaż wymyśliłem to na poczekaniu, argument był dobry. Potrzebowaliśmy więcej czasu na przegrupowanie się i obmyślenie nowej strategii. Tajemny tunel był dotąd naszym jedynym punktem zaczepienia, ale może znajdziemy coś jeszcze. Teraz potrzebowaliśmy tylko czasu.

— Ty kłamliwy gnojku — pluł mi w ucho Jack. — Spieprzyłeś sprawę i zamierzam cię za to ukarać. Możesz podejść do drzwi i zabrać kolejny worek ze śmieciami.

Rozdział 70

Przecisnąłem się przez zatarasowane drzwi pojazdu i pędem przebiegłem przez ulicę. Potężne wrota katedry zaczęły się powoli otwierać. Wiedziałem, że za chwilę z wnętrza świątyni zostanie wyrzucone ciało kolejnej ofiary. Chciałem wierzyć, że jeśli się pospieszę, to zdołam ocalić czyjeś życie.

Wbiegałem właśnie na chodnik, kiedy nagle z mrocznego wnętrza została wypchnięta jakaś ludzka postać. Nie mogłem rozpoznać, czy był to mężczyzna, czy kobieta.

Ciało stoczyło się po schodach na chodnik i wylądowało na kompozycji zwiędniętych kwiatów. Mężczyzna, zdałem sobie sprawę. Ciemny garnitur. Który z zakładników został zabity?

Tracąc dech, upadłem na kolana przy ofierze. Kiedy zobaczyłem jego tors, nie trudziłem się nawet sprawdzaniem pulsu. Plecy na wysokości krzyża były rozszarpane. Lała się krew.

Zjawiłem się za późno.

Ciało należało do mężczyzny w średnim wieku. Nie miał na sobie koszuli. Plecy pokrywały dziesiątki ran zadanych nożem. Na ramionach, od góry do dołu, widoczne były ślady przypalania papierosem. Niejedno ciało już w życiu widzia-

łem, więc domyśliłem się, że na tym ktoś po prostu wyładowywał swoją wściekłość.

Gdy obok mnie pojawił się porucznik Steve Reno i pomógł mi przewrócić ofiarę na plecy, zauważyłem, że ktoś poderżnął jej gardło.

Serce mi się krajało, kiedy patrzyłem na zakrwawioną, zmaltretowaną twarz.

Obróciłem się do Reno.

— Niedobrze — odezwał się wielkolud, patrząc na nieboszczyka. Jego głos brzmiał żałośnie i cicho. — Bardzo niedobrze.

Pokiwałem głową, nie mogąc oderwać oczu od makabrycznego widoku.

Andrew Thurman, burmistrz Nowego Jorku, patrzył martwym wzrokiem w ołowiane niebo. Spojrzałem w stronę mrocznych, wyniosłych łuków katedry, szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego musiało do tego dojść. Poczulem przebiegający przez ciało zimny dreszcz.

Steve Reno zdjął kurtkę i owinał nią, niczym kocem, burmistrza Thurmana. Przeżegnał się w milczeniu i zamknął nieboszczykowi powieki.

— Weź go za nogi, Mike — polecił mi. — Zabierzmy go stąd. Nie chcę, żeby reporterzy robili mu zdjęcia.

Rozdział 71

Kiedy nieśliśmy martwego burmistrza, z wieży katedry rozległo się bicie dzwonów na Anioł Pański. Wszystko, co się do tej pory wydarzyło, bladeło w obliczu tego przerażającego, brutalnego i zupełnie niepotrzebnego morderstwa.

Przez tłum policjantów przebiegł szmer. Dzwony wciąż złowieszczo biły, gdy mijaliśmy kolejne grupy stróżów prawa patrzących na nas szeroko otwartymi oczami i pochylających z szacunkiem głowy.

Poczułem gwałtowny skurcz żołądka, przypominając sobie, jak policjanci i strażacy w taki sam nabożny sposób stali na gruzach WTC i patrzyli na kolejne wynoszone ciała. Kiedy położyliśmy ciało burmistrza na noszach, podniosłem wzrok i spojrzałem na wspaniałą, dwudziestometrową choinkę przed Rockefeller Center.

Dosyć, pomyślałem. To, co zrobili porywacze, było bez precedensu, ale ja musiałem zachować trzeźwość umysłu. Zatrzymać się na chwilę i skoncentrować. Wybiec myślą naprzód. Wejść w skórę Jacka.

Dlaczego burmistrz? — zastanawiałem się, patrząc na jego zmasakrowane ciało.

Czyżby Jack był tak zdenerwowany śmiercią jednego ze

swoich kolegów, że wybrał burmistrza, wiedząc, jak bardzo nas to rozwścieczy? A może był to kolejny wybieg, żeby nas zmusić do działania, do jakiejś reakcji? Czy to morderstwo miało być dla nas jakąś wskazówką? Dlaczego wybrali właśnie Andrew Thurmana?

Próbowałem sobie to wszystko uporządkować, kiedy nagle spomiędzy wiklinowych aniołów i gwiazd betlejemskich wyłonił się kapitan z posterunku Midtown North. Komendant Will Matthews przeniósł stanowisko dowodzenia do biura w Rockefeller Center, dokładnie naprzeciwko katedry. Okazało się, że chce mnie natychmiast widzieć.

Ruszyłem biegiem, choć sam nie wiem, czego się spodziewałem, przekraczając próg biura na drugim piętrze. Okazało się, że Will Matthews nie jest w tym pomieszczeniu najwyższym stopniem policjantem.

W normalnych warunkach pewnie byłbym trochę wkurzony, widząc, jak komisarz Daly chłodno kiwa głową na powitanie. Po chwili to samo uczynił Bill Gant, szef biura FBI w Nowym Jorku. Na szczęście byłem dzisiaj odporny na podobne afronty, więc odpowiedziałem im równie chłodnym skinieniem głowy.

— Dzień dobry, detektywie — odezwał się komisarz. Był wysoki, niezwykle przystojny i w swoim granatowym, prążkowanym garniturze bardziej przypominał bankiera niż policjanta. Ktoś kiedyś powiedział, że z tymi sztytami na miarę ubraniami i dyplomem z Columbii nie pasuje do obrazu przeciętnego policjanta, a zależy mu wyłącznie na rozgłosie. Po raz pierwszy miałem okazję znaleźć się na tyle blisko niego, żeby zweryfikować ten osąd.

— Powiedziano nam... mój Boże, nie mogę w to uwierzyć, że Andy... to znaczy, burmistrz został zamordowany — wyduślił z siebie Daly. Wydawał się szczerze przygnębiony i muszę przyznać, byłem tym poruszony. — Rozmawiał pan z osobnikami, którzy to zrobili. Jak pan sądzi, o co tutaj chodzi?

— Szczerze mówiąc, panie komisarzu, sam tego nie rozumiem. Z początku wszystko wskazywało na to, że chodzi po prostu o pieniądze. Że jest to grupa profesjonalistów, która postanowiła dokonać zuchwałego porwania. Ale potem, z niewiadomych przyczyn, zastrzelili księdza. Można by to usprawiedliwić chęcią obrony przed naszym atakiem, ale to, co zrobili z burmistrzem, to bestialstwo. Być może rzeczywiście na początku chodziło o pieniądze, ale teraz, kiedy zdali sobie sprawę, że znaleźli się w potrzasku, zaczynają tracić panowanie nad sobą.

— A nie sądzi pan, że mogą tu wchodzić w rachubę jakieś osobiste urazy wobec burmistrza? — zapytał Gant. Niski, z rysami twarzy przypominającymi pysk basseta szef FBI był zupełnym przeciwieństwem Daly'ego. Pulchny i blade, w ciemnym jednorzędowym garniturze ze sklepów Searsa. mógłby być co najwyżej barmanem na stypie.

— Nie wiem — odpowiedziałem. — To możliwe.

— Niewiele pan wie — naskoczył na mnie Gant.

— Myśli pan, że zgłosiłem się tu na ochotnika? — zapytałem, wyjmując telefon służący do kontaktu z porywaczami i przesunąłem go po stole w jego kierunku. — Proszę, przyjacielu. Możesz się popisać. Przypomnijcie im, jak załatwiliście sprawę z sektą Davida w Waco.

Jeszcze przed kilkoma minutami wydawało mi się, że już nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Myliłem się.

— Przepraszam — wydusił Gant i oddał mi telefon, jakby bał się, że go ugryzie. — To był cios poniżej pasa.

— Owszem — zgodził się komisarz, przyglądając się szefowi FBI, jakby szukał odpowiedniego miejsca do dzielenia go pałką. — Detektyw Bennett jest zaangażowany w tę sprawę i będzie ją dalej prowadził. Czy to jasne?

Te wszystkie gadki o zadzieraniu przez komisarza nosa

były zwykłym chrzanieniem, pomyślałem, starając się ukryć uśmiech.

Gant wyglądał na zaskoczonego, ale przytaknął komisarzowi. W tej samej chwili zadzwonił jego telefon. Gant spojrzął na numer na wyświetlaczu, zerwał się z krzesła i wybiegł na korytarz.

Kiedy po chwili wrócił do biura, jego twarz była jeszcze bledsza.

— Dzwonił dyrektor. Właśnie rozmawiał z prezydentem. Jest zgoda na interwencję wojskową. Delta Force jest już w drodze.

Rozdział 72

Wyszedłem z pokoju na chwiejnych nogach, próbując poukładać w głowie to, co przed chwilą usłyszałem. Brałem już udział w kilku poważnych akcjach, ale po raz pierwszy miałem do czynienia z otwartym wypowiedzeniem wojny.

A gdy już myślałem, że dalsza eskalacja konfliktu nie jest możliwa, zauważyłem, że całe centrum dowodzenia przeniosło się na korytarz, gdzie było znacznie więcej miejsca. Zauważyłem kolegę negocjatora z policji nowojorskiej, Neda Masona, jak wiesza na tablicy korkowej jakieś komputerowe wydruki. Negocjator FBI, Paul Martelli, siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon.

— To prawda? Thurman nie żyje? — zapytał Mason. Zauważyłem, że zawsze chciał wiedzieć wszystko, co się dzieje.

Skinąłem z powagą głową.

— Był już martwy, kiedy go wyrzucili z katedry na ulicę. Mason miał minę, jakby przed chwilą oberwał cegłą w głowę.

— Jak to możliwe? — zastanawiał się Martelli. On też wyglądał na zszokowanego. — W Rosji. Może w Bagdadzie.

Ale w samym środku Manhattanu? Jezu! Czy to miasto nie dość już przeszło?

— Najwidoczniej nie — powiedziałem. — A jak idzie zbiórka pieniędzy?

— Pracujemy nad tym — Mason wskazał na przypięte na tablicy papiery. Na każdym z nich widniało nazwisko porwanego, jego reprezentant i kwota okupu.

— Właśnie rozmawiałem z doradcami Eugeny Humphrey w Los Angeles — rzekł. — Oprócz okupu za Eugenę, zamierzają wyłożyć pieniądze za dwóch księży, którzy są w środku.

— To bardzo szlachetnie z ich strony — zauważyłem.

— Gdyby wszyscy chcieli tak współpracować — ciągnął Mason. — Manager Rooneya powiedział, że nie prześle żadnych pieniędzy, dopóki osobiście nie porozmawia z jednym z porwaczy. Kiedy mu powiedziałem, że to niemożliwe, odłożył słuchawkę i teraz nie odbiera moich telefonów. Uwierzysz? Wydaje mu się, że negocjuje kontrakt, a nie ratuje życie swojego klienta. Aha, a jedno z dzieci Charliego Conlana wszczęło kroki prawne, żeby zablokować wszystkie transfery. Ten dupek argumentuje to tym, że być może jego ojciec już nie żyje, więc on nie zamierza narażać na niebezpieczeństwo swojego dziedzictwa.

— Oto wartości rodzinne — zauważyłem.

— Święte słowa — zgodził się Martelli.

— Ile do tej pory udało się zgromadzić? — zapytałem.

— Mamy sześćdziesiąt sześć milionów w depozycie — odparł Mason po wykonaniu kilku obliczeń na kalkulatorze. — Jeszcze dziesięć, to będzie siedemdziesiąt sześć i będziemy gotowi do zrobienia transferu.

— Odjęliście okup za burmistrza? — zapytałem. Mason spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Masz rację. Okay. Odejmujemy trzy miliony, razem

powinno być nie siedemdziesiąt sześć, a siedemdziesiąt trzy miliony. Brakuje tylko siedmiu milionów.

— Tylko — zauważyłem z przekąsem. — Chyba zbyt długo przebywałeś w towarzystwie sławnych i bogatych, skoro potrafisz przed liczbą siedem milionów dolarów użyć słowa „tylko”.

— On ma rację — dodał Martelli, przyciskając słuchawkę do szyi. — Milion w tę stronę czy milion w tę. Pamiętajcie, że mówicie o prawdziwych pieniądzach.

Rozdział 73

Jack usiadł na stopniach ołtarza, gryząc antenę telefonu komórkowego. Rzucił palenie osiem lat temu, ale teraz poważnie się zastanawiał, czy nie wrócić do nałogu. Zdawał sobie sprawę, że ta operacja będzie bardzo stresująca. Przewidywał nawet, że dojdzie do próby odbicia zakładników.

To były jednak tylko plany na papierze. Tymczasem teraz wszystko stało się rzeczywistością. Rozejrzał się wokół, spojrzął na kolorowe szyby witraży, wiedząc, że za nimi kryją się snajperzy. Krew pulsowała mu w głowie. Musiał sobie jakoś poradzić z całym tym bałaganem.

Może posunąłem się za daleko, pomyślał, patrząc na leżącą przed nim, okrytą flagą, trumnę Pierwszej Damy. Może, nie zważając na obecność tych wszystkich dostojników, wezmą katedrę szturmem. Chciał złożyć oświadczenie w sprawie burmistrza, ale bał się, żeby i w tym przypadku nie posunąć się za daleko.

Wciąż brzmiał mu w uszach patetyczny jęk, jaki wydał z siebie Andrew Thurman, kiedy ostrze noża ugodziło go w plecy. Wydawało mu się, że święci z katedralnych witraży spoglądają na niego surowym wzrokiem, a w ich martwych oczach kryje się złowroga dezaprobata.

Nie, nie, nie, pomyślał Jack, a na jego ustach pojawił się szyderczy uśmieszek. Nie może sobie teraz pozwolić na chwilę słabości. Wiedział, co do niego należy i musiał to zrobić. Zabicie burmistrza to drobiazg. To tylko część wzoru, jak stać się bogatym. Poza tym ten kutas zasłużył sobie na to — uspokajał wyrzuty sumienia.

Był taki czas, kiedy bardzo potrzebował pomocy burmistrza, a ten pozostawił go własnemu losowi. Jego ekscelencja ma teraz to, na co zasłużył, pomyślał.

Nim wszystko się skończy, mogą być następne ofiary, to była jego kolejna myśl.

— Jack? Przyjdź tutaj — odezwał się głos w radiotelefonie.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Chodź szybko do kaplicy! Jedna z naszych grubych ryb upadła i mówi, że nie może wstać.

Jack pokręcił głową z niezadowoleniem. Chwilami naprawdę miał dość swoich ludzi. Mieli głowy na karku, byli lojalni i posłuszni, ale żeby podjąć samemu jakąś najbliższą choćby decyzję, to już graniczyło z cudem.

Wcisnął klawisz.

— Idę — powiedział, wstając.

Tylko nie to, przebiegło mu przez myśl, kiedy znalazł się w kaplicy. Na marmurowej posadzce leżał kolejny delikwent.

Rozdział 74

Xavier Brown, potentat na rynku nieruchomości, leżał z wywróconymi gałkami ocznymi, a rozpięta jedwabna koszula odsłaniała śnieżnobiałą skórę wydatnego brzucha. Eugena Humphrey siedziała na nim okrakiem i nadgarstkami rytmicznie uciskała klatkę piersiową, powtarzając w kółko:

— Trzymaj się, trzymaj się, Xavier!

— Coś ty mu, do diabła, zrobił? — Jack zwrócił się do Małego Johna.

— Nic — bronił się Mały John. — Po prostu grubas wstał, narzekał, że boli go ręka, a potem nagle bum... leży. Jak wyrzucony na brzeg wieloryb.

Jack przyklęknął obok kobiety. Musiał przyznać, że choć dotąd gardził tymi bezwartościowymi, przemądrzałymi oferami, to teraz zaczął niektóre z nich szanować — na przykład Eugenę.

— Co z nim? — zapytał.

— Bardzo źle — odparła Eugena, nie przerywając masażu serca. — Tętno ledwie wyczuwalne. Jeżeli nie trafi do szpitala, będzie po nim. Jasne, że nie wiem tego na pewno, ale tak mi się wydaje.

— Cholera — zaklął Jack, prostując się. Kolejny problem.

W dodatku kosztowny. Jak ma teraz zabezpieczyć swoje interesy?

Chwycił za telefon i wcisnął klawisz powtórnego wybierania.

— Tu Mike — odezwał się w słuchawce głos detektywa. Jack musiał przyznać, że ten gliniarz był w porządku. Dopiero co odesłali mu burmistrza pokiereszowanego jak dynia na święto Halloween, a Mike nadal zwracał się do niego jak portier w czterogwiazdkowym hotelu. Rozumiesz to, chłopie. Porywacz zawsze ma rację.

— Masz duży problem — zaczął Jack. — Cholerny ważniak Xavier Brown właśnie zaliczył glebę. Pewnie serducho nie wytrzymało nadmiaru wrażeń. Coś ci powiem, Mike. Wypuszczę go stąd, zanim jego aorta eksploduje, ale najpierw chcę otrzymać za niego okup.

— Nie zebraliśmy jeszcze wszystkiego, Jack — zaproponował detektyw. — Musisz nam dać więcej czasu.

Więcej czasu? — przebiegło mu przez myśl. Ciekawe po co? Żeby znaleźć jeszcze jedno tajne przejście i w końcu nas stąd wykurzyć? Czy te głupki muszą sztywno trzymać się tego, co przeczytali w podręczniku o prowadzeniu negocjacji?

— W takim razie okup za niego wyślij jako pierwszą ratę — zaproponował Jack. — Albo nie. Ale powiedz jego ludziom, że muszą się szybko namyślić. Brown wygląda tak, jakby następna wzmianka o nim w „Wall Street Journal” miała pojawić się w dziale „Nekrologi”. Będę obserwował stan mojego konta. Gdy zobaczę na nim pieniądze, otworzę drzwi.

— Zaraz im o tym powiem — odrzekł negocjator.

— Lepiej się pospiesz.

Aż pięciu jego ludzi musiało taszczyć ciężkiego finansistę przez całą długość głównej nawy do drzwi wejściowych.

Eugena Humphrey nie odstępowała ich ani na chwilę, a w kruchcie na nowo podjęła reanimację. Okazało się, że porządna z niej babka.

Jack odwrócił się na wołanie jednego ze swoich ludzi dobiegające z małego pomieszczenia za głównym ołtarzem. Na poobijanym stoliku przed mężczyzną znajdował się laptop.

— Są! — zawołał podekscytowany. — Przelali pieniądze! Już są na koncie!

Jack podszedł do stolika, spojrzął na ekran i uśmiechnął się. Obok numeru konta w banku na Kostaryce, w następnej kolumnie, widniała trójka i sześć zer. Nie sposób było dotrzeć do tego konta, skoro pieniądze przewędrowały przez pół tuzina banków na Kajmanach, wyspie Man i w Szwajcarii.

Trzy miliony. Zatem był już milionerem.

I to przed czterdziestką.

Kiedy sięgał po radiotelefon, poczuł, że kręci mu się w głowie.

— Puśćcie grubasa — polecił.

Rozdział 75

Jack był tak zadowolony, że sam pomagał rozdawać zakładnikom lunch. A tak naprawdę wielką frajdę sprawiało mu zaspokajanie wybrednych gustów tych obzartuchów wystygłymi daniami z McDolanda. Tam, da, tam, da, ta, Im lovin 'it.

Zatrzymał się przed wejściem do kaplicy i spojrzał na jeńców. Zabawne, ich wygląd wskazywał, że teraz nie nadają się do maszerowania po czerwonym dywanie na oscarową galę. Żadne z nich nie mogło przeżyć dnia bez służących, osobistych instruktorów, wizażystek. Błdzi i zmięci, z podkrążonymi oczami, przeżuwiający dania z fast foodów, coś mu przypominali.

A, tak! Skojarzył wreszcie!

Istoty ludzkie.

Zdjął ze stojaka mikrofon.

— Witam wszystkich — rozpoczął. — Sprawy mają się dobrze. Zaczęły napływać pieniądze. To już nie potrwa długo. Mam nadzieję, że wywiesiliście skarpety nad kominem.

Przerwał. Jego westchnienie zabrzmiało nostalgicznie.

— Zwracam wam honor — kontynuował. — Myślałem,

że taka plejada gwiazd zacznie w trudnej sytuacji świrować. Tymczasem zadziwiliście mnie. Trzymaliście się lepiej, niż można było tego oczekiwać, i jest to dla was niewątpliwie powód do dumy. Mam niezmałą nadzieję, że władze w dalszym ciągu z nami współpracują. Doświadczenie, które dziś zdobyliście, pozostanie z wami na resztę życia. Nawet jeżeli kilkoro z was jeszcze zginie, to będziecie odchodzić z tego świata z przeświadczeniem, że dostąpiliście tego szczęścia u szczytu kariery. James Dean, Marilyn Monroe i wy. Sami możecie wykreować się na gwiazdy. Pomyślcie o tym.

Kiedy Jack schodził z podwyższenia, wstała Eugena Humphrey.

— Proszę pana — zawołała odważnie. — Czy mogę z panem porozmawiać?

Jack: sięgnął pod habit po paralizator, potem się zatrzymał. W twarzy tej kobiety było tyle hipnotyzującej szczerości, że nie potrafił odmówić.

— Streszczaj się — odezwał się w końcu.

— Dziękuję — odparła Eugena. Odchrząknęła i spojrzała mu prosto w oczy.

Nic dziwnego, że ta kobieta osiągnęła sukces, pomyślał Jack, widząc jej pewność siebie i przejęcie. Było tak, jakby znajdowali się w jakimś małym przytulnym pokoiku tylko we dwoje, a nie przekrzykiwali się w obecności uzbrojonych porywaczy i ich ofiar.

— Chciałam powiedzieć — zaczęła Eugena — że wszystkim nam jest bardzo przykro, jeżeli to, kim jesteśmy i jacy jesteśmy, w jakikolwiek sposób cię drażni. Sama muszę przyznać, że często bardziej interesują mnie rzeczy materialne niż uczucia innych ludzi. Ale, szczerze mówiąc, po tej ciężkiej próbie, czuję, że się zmieniłam. Znów cieszę mnie najzwyczajniejsze rzeczy. To doświadczenie wiele mnie nauczyło,

i dlatego chciałabym, choć to może dziwnie zabrzmieć podziękować wam. Ale proszę was. nie zabijajcie nikogo więcej. Nie jesteśmy wyjątkowi. Jesteśmy po prostu ludźmi. Takimi jak wy.

Jack stał bez ruchu i patrzył na tę kobietę. To nieprawdopodobne, ale przez chwilę czuł się winny. Błaganie tej głupiej dziwki wyprowadziło go z równowagi. Nigdy nawet nie oglądał jej programów.

Już miał ogłosić, że cokolwiek się zdarzy, jej życie zostanie oszczędzone, kiedy za Eugeną stanął Mały John z pistoletem w ręce. Przytknął lufę do jej policzka.

— To było naprawdę wzruszające — powiedział Mały John, odbezpieczając kciukiem broń. — Popłakałem się tak, że aż mi pociekło w spodnie. Ale chyba zapomniałaś o tym, że masz siedzieć cicho. Więc albo się przymkniesz, albo wpakuję ci kulkę. To nie jest twój show, damulko. To jest nasz show.

— Świetnie to ująłeś — zawołał do niego Jack.

Rozdział 76

Czy tak ma wyglądać Wigilia? — pomyślałem.

Stałem na rogu Pięćdziesiątej i patrzyłem, jak zaczyna prószyć śnieg, ale już nie taki delikatny, lekki jak piórko. Postawiłem kołnierz, by choć trochę osłonić się przed marnącymi kroplami wody, które chłostały moją twarz.

W centrum dowodzenia powiedziano mi o kolejnym problemie, z którym przyjdzie nam się zmierzyć. Wzdłuż blokady zgromadziły się tłumy turystów, których nijak nie dawało się rozpedzić. Ponieważ nie mogli zobaczyć choinki stojącej przed Rockefeller Center, musieli zadowolić się obserwowaniem naszego widowiska.

Patrzyłem na grupę nastoletnich dziewcząt, cheerleaderek z Wichity w stanie Kansas, które pojawiły się na północno-zachodnim narożniku Pięćdziesiątej Pierwszej i wymachiwały ręcznie wypisanymi transparentami „Uwolnić Mercedes”. Kilka z nich na ciepłe swetry naciągnęło T-shirty z napisem: „Obleżenie św. Patryka”.

Potrząsnąłem głową. Jest niedobrze, jeśli już sprzedają pamiątkowe gadżety. Mogłem sobie wyobrazić, że kiedy wrócę do wydziału zabójstw, o ile wrócę, wszyscy moi koledzy będą w takich paradować.

Powlokłem się w stronę porucznika Reno i Oakleya, którzy z ponurymi minami stali obok czarnego wozu dowodzenia FBI. Oakley trzymał w ręku złożoną światłokopię.

— Mike — odezwał się Oakley — wracamy do twojego pomysłu z północną wieżą katedry. Musimy stamtąd dostać się do środka.

Spojrzałem na szefa komandosów. Na jego twarzy rysowały się wyraźne ślady zmęczenia, ale nawet w zapadających ciemnościach dostrzegłem w jego oczach determinację. Oakley stracił jednego ze swoich ludzi i widać było, że nie spocznie, póki czegoś nie zrobi.

— To chyba jedyny dobry pomysł — powiedziałem. — Ale po tym, co się wydarzyło wcześniej, boję się, żebyśmy znowu nie wpadli w pułapkę. Tym razem trudno byłoby się wycofać. Okienko dzwonnicy jest prawie sto metrów nad ziemią.

— Rozmawialiśmy z Willem Matthewsem i szefem nowojorskiej FBI — powiedział Reno. — Następną akcją to będzie zmasowany atak ze wszystkich stron. Nie wrócimy stamtąd, póki nie wyłapiemy wszystkich porywaczy.

Stałem osłupiały, starając się bagatelizować to, o czym mówił Reno, kiedy nagle usłyszałem dobiegający z północy pisk sprzężenia w mikrofonie.

Za barierkami i rzędem wozów transmisyjnych grupa młodych, czarnych mężczyzn stała na dachu żółtego szkolnego autobusu. Niski chłopak stukał w znajdujący się przed nim stojak mikrofonu.

— Raz, dwa — dobiegł mnie jego wzmocniony głos. Nastąpiła chwila przerwy i chłopak zaczął śpiewać.

To było *I believe I can fly*. Ogarnęło mnie wzruszenie, gdy do solisty dołączył chórek i razem zaśpiewali *Spread my wings and fly away*.

Na boku autobusu przeczytałem napis: „Chór chłopięcy

z Harlemu”. Większość z nich była pewnie parafianami któregoś z porwanych księży. Brakowało jeszcze tylko diabelskiego młyna i waty cukrowej, i moglibyśmy sprzedawać bilety do tego wesołego miasteczka przy Piątej Alei.

Z drugiej strony muszę przyznać, że ich piękne głosy rozjaśniły nieco ponury nastrój.

Reno musiał pomyśleć o tym samym, bo choć kręcił głowę, to na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— To jest możliwe tylko w Nowym Jorku — powiedział.

Rozdział 77

W głównej sali domu towarowego Saks Fifth Avenue urządzono prowizoryczną kantinę dla całej armii stróżów prawa.

Wszedłem do środka przez obrotowe drzwi; zamierzałem coś na szybko przekąsić. Jack odrzucił wcześniejszą ofertę dostarczenia zakładnikom posiłków przez restaurację Four Seasons, więc teraz nas nimi karmiono. Z zamontowanych w udekorowanym suficie głośników sączyła się świąteczna muzyka. Nałożyłem sobie na talerz kilka plasterków prosciutto i zapiekanekę z indyka. Niepokojące było nie to, że sytuacja w katedrze miała w sobie coś surrealistycznego, niepokojące było to, że już się do tej sytuacji przyzwyczaiłem.

Kiedy z powrotem wyszedłem na ulicę, chłopięcy chór wciąż śpiewał tę samą piosenkę. Minąłem Świętego Mikołaja za szybą wystawową i wróciłem do pojazdu dowodzenia. Właśnie miałem wziąć kolejny kęs sałatki z tuńczyka, kiedy odezwał się dzwonek telefonu.

Co teraz? — przebiegło mi przez głowę. Czego oczekujesz, Jack? Oczywiście, jestem do twojej dyspozycji.

— Tu Mike — odezwałem się.

— Jak leci, Mikey? — usłyszałem głos Jacka. — Nie za zimno?

Zastanawiałem się chwilę, jakiej użyć strategii. Mogłem pozostać bierny albo stać się agresywny. Mogłem zadać kilka pytań, żeby wysondować, w jakim jest nastroju. Z drugiej strony miałem już dość wszelkich strategii. Byłem zmęczony. Jack bawił się nami, a ja w ogóle nie miałem ochoty z nim rozmawiać. Moje słowa i tak nie miały dla niego żadnego znaczenia.

— Zabicie burmistrza było błędem — powiedziałem, odkładając plastikowy widelec. — Chciałeś nas przekonać, że jesteś psychopata, z którym nie ma żartów? Udało ci się. Ale z twojego zachowania można wyciągnąć dalej idące wnioski. To z kolei może doprowadzić do wysadzenia katedry w powietrze. Wtedy zginiesz. I wszystkie pieniądze się zmarnują. Czy ty naprawdę oszalałeś? Pomóż mi to zrozumieć, bo nie nadążam.

— Nie załamuj się, Mick — odparł Jack. — Wygląda, jakbyś się poddawał, a to jeszcze nie koniec. Zobacz, narzeczcie zaczęliście płacić. To dobrze. Naprawdę dobrze. Tak trzymać. Potem dopiero zrobi się ciekawie, obiecuję. Jak też ci źli chłopcy stąd się wydostaną? Obserwuj uważnie. Ach, byłbym zapomniiał. O północy dostaniecie kolejne ciało.

— Jack, posłuchaj. Nie rób tego — zacząłem. — Możemy przecież coś wymyślić...

— Zamknij się! — wrzasnął Jack.

Natychmiast zamilkłem.

— Mam dosyć twojego pieprzenia, przyjacielu — powiedział. — Opóźniania nas. Gry na zwłokę. Próbowaliście nas przechytrzyć, ale nie udało się wam. Czas za to zapłacić. Spróbujcie jeszcze raz coś wykombinować, a w tym sezonie Prada zacznie handlować torbami na zwłoki. Słyszysz mnie

głośno i wyraźnie, Mike? Powtarzam, o północy zginie kolejna osobistość. I nie będzie to ktoś tak bezwartościowy jak burmistrz. Już dokonałem wyboru. Spodoba ci się. A, jeszcze jedno. Te śpiewy na zewnątrz mają umilknąć, inaczej zginą wszystkie kobiety.

Rozdział 78

Ponieważ zanosiło się na dłuższy, nieznośny przestój, skorzystałem z okazji i przekazałem telefon Nedowi Masonowi, a sam pojechałem do Maeve.

Już w progu zauważyłem zmiany, jakie zaszły w szpitalnej sali. Nowa, świeżo wyprasowana flanelowa pościel. Wazon z kwiatami, nowy szlafrok.

Maeve nie spała, tylko oglądała w CNN bezpośrednią relację z wydarzeń w katedrze. Znalazłem pilota, wyłączyłem telewizor i wziąłem ją za rękę.

— Cześć — przywitałem się.

— Widziałam cię w telewizji — powiedziała Maeve z uśmiechem. — Świetnie wyglądasz w tym garniturze. Na czyje chrzciny go kupiłeś? Shawny?

— Chrissy — poprawiłem.

— Chrissy — westchnęła. — Jak się miewa moja ptaszyna?

— Zeszłej nocy przyszła do gniazdka. Zapomniałem ci powiedzieć. Zapominam o tylu rzeczach, Maeve. Ja...

Uniosła rękę i przyłożyła palec do moich warg.

— Rozumiem — rzekła.

— Nie powinienem tak się przejmować głupią pracą. Chciałbym...

Zamilkłem, widząc jej pełne urazy spojrzenie.

— Niczego nie chciej — powiedziała cicho. — To boli bardziej niż rak. Kiedy cię poznałam, doskonale wiedziałam, jak bardzo jesteś zaangażowany w to, co robisz. Był to jeden z powodów, dla którego wyszłam za ciebie. Byłam taka dumna, patrząc jak rozmawiasz z dziennikarzami. Mój Boże. Byłeś taki porywający.

— A jak myślisz, dzięki komu?

— Zaczekaj. Mam dla ciebie prezent.

Zawsze dawaliśmy sobie prezenty w Wigilię, zwykle około trzeciej nad ranem, kiedy kończyliśmy składać rower, kolejkę albo jakąś inną okropną zabawkę.

— Ja pierwszy! — zawołałem, wyjmując z torby zapakowane pudełko, które wozilem w bagażniku samochodu. — Proszę.

Rozdarłem papier i pokazałem Maeve przenośny odtwarzacz DVD i stertę płyt. Na wszystkich znajdowały się jej ulubione, stare, jeszcze czarno-białe, filmy.

— Nie będziesz musiała gapić się bez przerwy w to pudło — wskazałem na telewizor. — Zobacz. Double Indemnity z czterdziestego czwartego. Przyniosę jeszcze chrupiącego kurczaka z Atomie Wings i będzie jak dawniej.

— Miałeś diabelski pomysł — pochwaliła mnie Maeve. — Teraz ja.

Wyjęła spod poduszki małe pudełeczko z czarnego welwetu i mi je wręczyła. Otworzyłem. W środku był kolczyk. Pojedyncze złote kółeczko. W latach osiemdziesiątych, w epoce Guns N'Roses, kiedy się poznaliśmy, nosiłem w jednym uchu kolczyk.

Zacząłem się śmiać. Po chwili śmialiśmy się głośno oboje.

— Załóż, załóż koniecznie! — wołała ze śmiechem Maeve. Przeciągnąłem kolczyk przez ledwie widoczną dziurkę w lewym uchu. O dziwo, mimo upływu dwudziestu lat, nie zarosła.

— Jak wyglądam?

— Jak elegancko ubrany pirat — oceniła moja żona. ocierając tak rzadką w ostatnim czasie łzę szczęścia. Wtuliłem twarz w jej szyję.

Cofnąłem się, czując, jak jej ciało sztywnieje. Wzdrygnąłem się, widząc nieobecne spojrzenie. Oddech Maeve stał się nieregularny. Kilkakrotnie wcisnąłem przycisk przywołujący pielęgniarkę.

— Rozlałam wodę ze strumienia, mamó — powiedziała z irlandzkim akcentem, który na co dzień tak bardzo starała się ukryć. — Wszystkie owce są w rowie, co do jednej.

Co się działo? O Boże, nie, Maeve! Nie dzisiaj, nie teraz! W ogóle nie!

Nadbiegła Sally Hitchens, przełożona pielęgniarek. Poświeciła Maeve w oczy latarką i poprawiła kroplówkę.

— Lekarz zwiększył dziś dawkę leków — oznajmiła. Kiedy położyła jej rękę na czole, Maeve zamknęła oczy. — Musimy ją teraz uważnie obserwować. Mike, chciałabym z tobą porozmawiać.

Rozdział 79

Pocałowałem żonę w głowę i wyszedłem za Sally na korytarz. Pielęgniarka patrzyła mi prosto w oczy. To zły znak. Szybko przypomniałem sobie o nieoczekiwanych zmianach, jakie zaszły w sali, gdzie leżała Maeve. Nowa pościel. Świeże kwiaty. Poczyniono jakieś przygotowania.

Nie. Nie przyjmuję tego do wiadomości.

— Koniec jest bardzo bliski, Mike — powiedziała. — Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro.

— Ile zostało jej czasu? — zapytałem. Wzrok wbiłem w wykładzinę na podłodze, dopiero po chwili przeniosłem spojrzenie na Sally.

— Tydzień — łagodnym tonem powiedziała pielęgniarka. — Może mniej.

— Tydzień? — powtórzyłem. Zdawałem sobie sprawę, że zachowuję się jak rozkapryszone dziecko. Przecież to nie była jej wina. Ta kobieta i tak była aniołem miłosierdzia.

— Wiem, że to niemożliwe, ale musi się pan przygotować — powiedziała. — Przeczytał pan książkę, którą panu dałam?

Dostałem od niej znaną książkę Elizabeth Kubler-Ross

O śmierci i umieraniu. Opisano w niej kolejne etapy umierania: zaprzeczenie, gniew, negocjacje, depresję i akceptację.

— Obawiam się, że zatrzymałem się na etapie gniewu — przyznałem.

— Musi pan przejść do następnych etapów, Mike — rozłościła się. — Coś panu powiem. Widziałam różne przypadki w tym miejscu, i choć wstyd się przyznać, niektóre mało mnie obeszyły. Ale z pańską żoną jest inaczej. Maeve chce, żeby był pan silny. Musi pan się z tym uporać. A tak swoją drogą, ładny koleczyk.

Zamknąłem oczy i, słysząc oddalające się kroki pielęgniarki, czułem, jak twarz purpurowieje mi z gniewu i zakłopotania. Ból, który mnie przeszywał, wydawał się nie mieć końca. Był tak potężny, że powinien za chwilę rozsądzić moją pierś i zniszczyć świat, zniszczyć wszelkie życie.

Zła chwila minęła, kiedy usłyszałem, jak w sąsiedniej sali ktoś włącza telewizor.

Więc świat będzie istniał dalej, pomyślałem, otworzyłem oczy i skierowałem się do windy.

Rozdział 80

Po wyjściu ze szpitala wsiadłem do samochodu i zadzwoniłem z komórki do domu. Telefon odebrała Julia.

— Jak mama? — zapytała.

W wydziale zabójstw niejednokrotnie trzeba kłamać, żeby skłonić przesłuchiwanego do zwierzeń. Cieszyłem się teraz, że mam takie doświadczenie.

— Mama ma się świetnie, Julio — powiedziałem. — Przesyła wam całusy. Dla ciebie specjalne. Jest z ciebie bardzo dumna. Wspaniale zajmujesz się siostrami. Ja też jestem z ciebie dumny.

— A jak ty się miewasz, tato? — zapytała Julia. Czyżbym słyszał w głosie mojego dziecka prawdziwie dorosłą troskę? Zapominałem czasem, że w przyszłym roku idzie już do liceum. Jak to możliwe? Nawet nie zauważyłem, kiedy moje dziecko dorosło.

— Znasz mnie, Julio — uspokoiłem ją. — Jeśli nie zwa-riowałem, to znaczy, że wszystko u mnie w porządku.

Julia roześmiała się. Zawsze potrafiła mnie rozbroić.

— Pamiętasz, jak wszyscy marzyli o tym, żeby wyjechać na wakacje do Pocono, a ty kazałeś mi zamknąć oczy i wyjrzeć przez okno?

— Gdzieżbym mógł zapomnieć — odparłem ze śmiechem. — Co słyhać w naszych koszarach?

— Za mną ustawiła się kolejka, żeby ci o tym opowiedzieć. Jadąc ulicami miasta, zdążyłem krótko porozmawiać ze wszystkimi dziećmi i zapewnić, że mama i tata bardzo je kochają. Przepraszałem za nieobecność na przedstawieniu i Wigilii. Zdarzało mi się już wcześniej pracować w takie dni, ale nigdy do tej pory nie było tak, że ani Maeve, ani ja nie mogliśmy być z dziećmi. Jak zwykle dzieciaki specjalnie sienie przejęły. Kiedy do telefonu podeszła Chrissy, usłyszałem, że pociąga nosem. Oho, coś jest nie tak, pomyślałem.

— Co się stało, maleńka? — zapytałem.

— Tato — zachlipała Chrissy — Hillary Martin powie dział, że Święty Mikołaj nie może do nas przyjść, bo nie mamy kominka. A ja chcę, żeby przyszedł.

Uśmiechnąłem się z ulgą. Na szczęście słyszeliśmy z Maeve te lamenty już co najmniej dwa razy w życiu i mieliśmy przygotowaną odpowiedź.

— Och, Chrissy — zawołałem z udawanym przerażeniem. — Dziękuję, że mi przypomniałaś! Ponieważ mnóstwo osób w Nowym Jorku nie ma kominków, Święty Mikołaj, kiedy przybywa do naszego miasta, zostawia swoje sanie na dachu budynku i schodzi po schodach przeciwpożarowych. Chrissy, wyświadcz mi, proszę, przysługę. Powiedz Mary Catherine, żeby się upewniła, czy okno w kuchni jest niedomknięte. Zapamiętasz?

— Powiem jej — zapewniła Chrissy z zapartym tchem.

— Poczekaj chwilę. Chrissy, poczekaj — powiedziałem, włączając policyjne radio. — Och, słuchaj! Właśnie dostałem oficjalny meldunek z naszego policyjnego śmigłowca. Święty Mikołaj zbliża się do Nowego Jorku! Szybko! Biegnij do łóżka! Wiesz przecież co się stanie, jeśli Mikołaj się pojawi, a dzieci nie będą spały?

— Poleci dalej — odpowiedziała Chrissy. — Dobranoc, tatusiu.

— Panie Bennett? — kilka sekund później w słuchawce rozległ się głos Mary Catherine.

— Cześć Mary. Gdzie jest Seamus? Powinien cię już dawno zastąpić.

— Zastąpił. Bryluje teraz w salonie z książką Noc przed Bożym Narodzeniem w ręku.

Czytanie tej opowieści należało zawsze do moich obowiązków, ale tym razem czułem wdzięczność do Seamusa. Mimo licznych wad, mój dziadek był świetnym bazarzem i na pewno zrobi wszystko, żeby w tych okropnych okolicznościach dzieci miały wspaniałe święta. Przynajmniej nic im nie groziło, pomyślałem z ulgą. Otaczały je anioły i święci. Chciałbym móc powiedzieć to samo o sobie. Niestety, w pracy, jaką sobie wybrałem, łatwiej było spotkać grzeszników. I to najgorszych z możliwych.

— Proszę cię, Mary. Nie miej obiekcji, żeby stamtąd wyjść — rzekłem. — I dziękuję ci bardzo, że mi pomogłaś. Kiedy już skończy się to szaleństwo w katedrze, usiądziemy sobie i obmyślimy jakiś sensowny harmonogram prac.

— Cieszę się, że mogłam się przydać. Masz wspaniałą rodzinę — powiedziała Mary Catherine. — Wesołych świąt, Mike.

Kiedy wypowiadała te życzenia, mijałem właśnie z dużą prędkością świątecznie udekorowany hotel Plaza. Bardzo chciałbym wierzyć, że te święta mogą być szczęśliwe. W oddali zobaczyłem blask reflektorów oświetlających katedrę.

— Porozmawiamy później — rzuciłem do słuchawki i się rozłączyłem.

Rozdział 81

Laura Winston, spocona i rozedrgana, leżała zwinięta w kłębek na podłodze ciasnego konfesjonału. Najlepiej ubrana kobieta świata rozpaczliwie potrzebuje całkowitej odmiany, pomyślała o sobie.

W ciągu tych dwudziestu godzin, kiedy była zamknięta, to traciła, to odzyskiwała przytomność. Choć blade światło za szybami witraży znikło już sześć lub siedem godzin temu, wciąż potwornie boleśnie odczuwała narkotyczny głód.

Było około południa, kiedy dostrzegła swoje odbicie w mosiężnej płytce na wewnętrznej stronie drzwi. Makijaż zmyty przez łzy i pot, krótka blond fryzura poplamiona wymiocinami. W pierwszej chwili Laura sądziła, że patrzy na jakąś religijną rzeźbę, wyobrażenie obłąkanego, chudego jak szkielet demona, triumfalnie rzuconego na kolana przez anioła. Leżała tam, niezdolna oderwać wzroku od tego strasznego oblicza. Przypomniały jej się ostatnie strofy wiersza Sylvii Plath *Lustro*. We mnie zatopiła młodą dziewczyną i we mnie stara kobieta/Staje naprzeciw niej, dzień po dniu, jak okropna ryba*.

* Przeł. Zbigniew Herbert, *Zeszyty Literackie* nr 72 (2000, nr 4).

Musiąo dojść do porwania, gwałtownego zaburzenia codzienności, żeby sobie to uświadomiła.

Była stara.

Poza tym, krzywdziła ludzi. Szczególnie kobiety. Miesiąc w miesiąc w swoim piśmie podtrzymywała bolesny mit wiecznej elegancji i osiągalnego piękna. Wkładała nieprawdopodobnie drogie ciuchy na ciała czternastoletnich wybryków natury i nazywała to normalnością, a potem wmawiała swoim czytelniczkom, że jeśli nie wyglądają tak jak modelki, to są bezwartościowe, a jeśli nawet nie, to nie potrafią wykorzystać swojego potencjału.

Postanowiła, że jeśli tylko wyjdzie z tego cało, zmieni się. Rzuci to wszystko. Pójdzie na odwyk. Przystopuje. Zamiast budować imperium, stworzy fundację charytatywną. To szalone doświadczenie diametralnie zmieniło Laurę. Na lepsze.

Panie, daj mi ostatnią szansę. Słynna kreatorka mody modela się po raz pierwszy od czasu, kiedy była małą dziewczynką. Daj mi przynajmniej szansę na zmianę.

Nagle w pobliżu konfesjonału rozległ się odgłos strzału.

Kiedy przestało jej dzwonić w uszach, usłyszała ludzkie krzyki. Siarkowy smród korytu wciskał się przez szczeliny w drzwiach i mieszał z gorzkim odorem jej wymiocin.

Dech zamarł jej w piersi, kiedy usłyszała stłumione przekleństwa i odgłos ciała ciągniętego po podłodze w kierunku drzwi.

Boże miłosierny. Znów kogoś zastrzelili!

Laura myślała, że serce wyskoczy jej z piersi.

Kto to mógł być? Kto? Dlaczego? Miała nadzieję, że to nie Eugena, która była dla niej taka dobra.

Sparaliżowana strachem stwierdziła, że porywaczom nie chodziło tylko o pieniądze. Po kolei będą ich brać na rzeź i każą zapłacić za głupie dekadenskie grzechy.

Zostało jej mało czasu. Ja będę następna, pomyślała i zrobiło jej się słabo.

Rozdział 82

Eugena Humphrey widywała już wcześniej martwe ciała.

Pierwsza była jej babka. Pamiętała, jaką złość wywołał w niej widok zmienionej, smutnej i wyniszczonej twarzy ukochanej babci. Później, kiedy zajęła się filantropią, pokazywano jej przeróżne okropne zdjęcia, prosząc, by zainteresowała tym świat.

Ale oglądanie jaskrawych fotografii porąbanych na kawałki ciał wieśniaków w Afryce to nie to samo, co bycie naocznym świadkiem mordu.

Zwyczajnie go zastrzelił, kłębiły się myśli w głowie Eugeny. Podszedł do ławki i strzelił mu prosto w głowę.

Dlaczego? Jak jedna istota ludzka może zrobić coś takiego drugiej?

Patrzyła teraz, jak uzbrojeni mężczyźni wloką ciało po marmurowej posadzce. Cóż to za okropny dźwięk, jakby ktoś ścierał gumową ściągaczką krew z szyby. Porywacze ciągnęli ofiarę za ręce. W pierwszej chwili mogło to wyglądać na głupią szkolną zabawę.

Z jednej stopy zsunął się czarny, błyszczący mokasyn. Przerażający szczegół. Otwarte oczy kołyszącej się bezładnie głowy zdawały się patrzeć na Eugenę.

Dlaczego ja? — zdawało się oskarżycielsko pytać nieruchome spojrzenie ofiary. Dlaczego ja, a nie ty?

Wreszcie ciało zniknęło w zacienionej galerii obok ołtarza.

Zabili mojego bliskiego przyjaciela, pomyślała Eugena i zanosła się płaczem. Wiedziała, że to wydarzenie zmieniło ją raz na zawsze.

Rozdział 83

Mijałem właśnie policyjny posterunek, kiedy nagle poczułem gwałtowny ucisk w okolicy serca. Zobaczyłem Oakleya i kilku innych funkcjonariuszy, którzy jak oszalał przebiegali Piątą Aleję, kierując się ku schodom katedry. To mogło oznaczać tylko jedno, pomyślałem i ruszyłem za nimi.

Zerknąłem na zegarek. Co jest? Jack wspominał o północy. A teraz była dopiero dziesiąta trzydzieści.

Kiedy dotarłem do karetek pogotowia przy Rockefeller Center Oakley i jego ludzie właśnie przynieśli ubrane w garnitur ciało. Wokół postaci leżącej na noszach kłębiło się od lekarzy, nie mogłem zatem dostrzec twarzy. Kto to mógł, do diabła, być? Kogo zabili tym razem? I dlaczego zrobili to przed upływem terminu ultimatum?

Po chwili ratownicy medyczni zamarli. Jeden z nich, kobieta, odwróciła się. W jej oczach błyszczały łzy, z ręki wypadła maska tlenowa. Usiadła na krawężniku. Blask fleszy reporterów robiących zdjęcia zza barierki i z okien domów wychodzących na katedrę bezlitośnie rozświetlały jej twarz, na której malowała się rozpacz.

Serce zamarło mi na moment, kiedy w końcu zobaczyłem, kim była ostatnia ofiara porwaczy. Za każdym razem

przeżywałem taki sam okropny szok. Tak było w przypadku Belushiego, Lennona, River Phoenixa.

Na noszach, z otwartymi szeroko oczami i ustami, leżał aktor komediowy John Rooney.

Po plecach przebiegł mi dreszcz.

Oto bez powodu, ot, tak, dla zabawy, zginęła kolejna osoba.

Zerknąłem przez ramię na tłum gapiów i dziennikarzy, usiłujących coś dostrzec zza policyjnej barierki. Miałem ochotę przysiąść na krawężniku obok rozpaczającej ratowniczkii.

Jak mieliśmy sobie z tym poradzić?

Przypomniałem sobie, jak bardzo moje dzieci uwielbiały Rooneya. Może nawet właśnie teraz oglądały na DVD film z ubiegłych świąt o Rudolffie.

Kto będzie następny? Eugena? Charlie Conlan? Todd Snow?

Rooney miał miliony fanów, wiele z nich to były dzieci. Był gwiazdą i stał się częścią narodowej i światowej świadomości, a te bydlaki po prostu go zgładziły — jego i to cudo-dne ciepło, którym emanował.

Przeniósłem wzrok na katedrę. Po raz pierwszy miałem ochotę rzucić to wszystko. Pragnąłem wyrzucić telefon, który nosiłem przy pasku i po prostu odejść. Wsiąść do metra. Znaleźć się w sali szpitalnej, wziąć do ręki dłoń Maeve. Ona zawsze potrafiła łagodzić mój zły nastrój.

— Boże! — wściekał się Oakley. — Jak mamy przekazać tę sensację ludziom?! Najpierw daliśmy ciała z burmistrzem. A teraz mamy powiedzieć, że biedny John Rooney został zamordowany?

I wtedy do mnie dotarło.

To było to.

O to właśnie chodziło.

Nagle zrozumiałem, dlaczego porywacze zmiotali z powierzchni ziemi nasze gwiazdy.

Chcieli, żeby cała akcja rozgrywała się powoli. Dzięki temu w okolicy katedry gromadziły się coraz większe tłumy. Media transmitowały bieżące wydarzenia na cały świat i rosła presja, by jakoś ten problem rozwiązać. Przy czym ta presja była wywierana nie na nich.

Była wywierana na nas.

Wreszcie komuś się to udało. Ktoś w końcu urzeczywistnił koszmarny sen stróżów prawa. W miarę upływu czasu, kiedy zaczęła rosnąć liczba trupów, nasza sytuacja stawała się coraz gorsza. Podjęcie decyzji o zdobyciu szturmem katedry wydawało się już teraz zupełnie niemożliwe. Gdyby nam się nie powiodło i wszystko wyleciałoby w powietrze, ludzie obwinialiby o to nie porywaczy, tylko nas.

Odczekałem cztery dzwonki telefonu nim zdecydowałem się odebrać.

— Cześć. Tu Jack — w jego głosie pobrzmiwały triumfalne nuty. — Nie przejmuj się Rooneyem, najlepsze dni miał już za sobą. Niedługo minie termin. Żadnego tłumaczenia. Żadnych opóźnień. Jeżeli do jutra, do dziewiątej rano, nie będzie pieniędzy na moim koncie, pod choinką znajdziecie tyle trupów sławnych i bogatych ludzi, że Świętemu Mikołajowi, kiedy to zobaczy, odechce się rozdawania prezentów.

Rozdział 84

Dochodziła druga w nocy, kiedy powoli uniosłem głowę znad klawiatury laptopa, która służyła mi za poduszkę. W uchu czułem kolczyk, który podarowała mi Maeve. Po raz pierwszy od kilku godzin w prowizorycznym centrum dowodzenia w domu towarowym rozmowy toczyły się szeptem.

Byliśmy już blisko końca naszej roboty. Po długich kombinacjach, błaganiach, negocjacjach do pełnej kwoty siedemdziesięciu trzech milionów dolarów brakowało już tylko czterech milionów.

Około północy pojawił się oddział Delta Force. Wspólnie z taktykami z FBI i policji próbowali znaleźć teraz jakieś słabe punkty, jakieś szczegóły, które może zostały wcześniej przeoczone. Dowiedziałem się przy okazji, że w bazie wojskowej w Westchester budują właśnie makietę katedry, gdzie komandosi będą mogli ćwiczyć planowany atak.

Kiedy byłem dzieckiem, myśl o tym, że żołnierze mogą patrolować ulice Nowego Jorku wydawała mi się śmieszna, wzięta rodem z drugorzędnych filmów science fiction. I choć po jedenastym września widziałem wojsko w okolicach Ground Zero i myśliwce F-14 lecące nisko nad dachami drapaczy chmur, wciąż wydawało mi się to nierealne.

Otrzeźwiałem, kiedy moje biurko minął generał. Po raz drugi w życiu widziałem wojskowe buty na terenie miasta Nowy Jork,

— Zrób sobie chwilę wytchnienia. Mike — zaproponował ziewając szeroko Paul Martelli. Sam właśnie wracał z krótkiej drzemki. — Nic tu się w najbliższym czasie nie powinno wydarzyć.

— Zbliżamy się do końca — odparłem. — Nie chcę, żeby mnie szukano, kiedy będę potrzebny.

Martelli poklepał mnie po ramieniu.

— Słuchaj, Mike — powiedział. — Wiemy wszyscy o twojej żonie i o twojej sytuacji rodzinnej. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co w tej chwili przeżywasz. Gdy tylko coś się wydarzy, zaraz do ciebie zadzwonimy. A teraz zjeżdżaj stąd. Idź do rodziny. Mason i ja zastąpimy cię.

Martelli nie musiał mi tego dwa razy powtarzać. Zresztą czułem, że negocjacje już się skończyły — oni zwyciężyli. Musieliśmy jeszcze uzgodnić sposób uwolnienia zakładników i środek transportu, jakim porywacze zamierzali się wydostać z katedry. Ale wszystko to mogło zaczekać.

Kiedy wszedłem do sali, Maeve spała. Nie miałem zamiaru jej budzić. Na stoliku obok łóżka stał odtwarzacz DVD, a na ekranie Jimmy Stewart odbierał właśnie z ociąganiem cygaro od Pottera. Wyłączyłem odtwarzacz.

Stałem tak, patrząc na moją kochaną, cudowną żonę, mój skarb.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie naszej pierwszej randki. Ledwie zdjąłem palec z przycisku dzwonka, kiedy ona otworzyła drzwi i pocałowała mnie. Widziałem blask jej miodowobrazowych oczu, czułem korzenną słodycz perfum i smak delikatnych warg. Serce zatrzepotało mi w piersiach.

— Pomyślałam sobie, że to pozwoli uniknąć późniejszego zakłopotania — powiedziała z promiennym uśmiechem, kiedy ja, jaskając się z lekka, potknąłem się o próg.

— Moja słodka Maeve — wyszeptalem teraz, stojąc w nogach jej łóżka. — Żaden facet nie był nigdy szczęśliwszy ode mnie. Tak bardzo cię kocham, moja księżniczko. — Przytknąłem palec najpierw do swoich warg, potem do jej.

Kilka minut później znów jechałem przez miasto. Na smaganych mroźnymi podmuchami wiatru ulicach nie było żywej duszy. Nawet bezdomni znaleźli jakieś lokum na święta.

Obszedłem pokoje dzieci. Marzyły pewnie o konsolach PlayStation i Xbox, a nie cukierkach, ale przynajmniej słodko spały we własnych łóżkach. Seamus chrapał na szezlongu tak głośno, że mógłby zagłuszyć orkiestrę; na policzkach zostały mu okruchy ciastek. Oto moja jedenasta pociecha. Przykryłem go narzutą i zgasilem światło.

Największe zaskoczenie czekało mnie w salonie. Nie dość, że pośrodku stała olbrzymia choinka, to na dodatek była wspaniale przystrojona. Pod nią było dziesięć stosów prezentów dla dzieci wyjętych wcześniej z mojej szafy i elegancko zapakowanych.

Na pilocie odtwarzacza DVD znalazłem kartkę. Naciśnij play. Wesolych świąt. Mary Catherine.

Postąpiłem zgodnie z instrukcją. Na ekranie zobaczyłem Chrissy przebraną za aniołka idącą korytarzem szkoły Holy Name.

Wzruszyłem się. Mary Catherine i mój dziadek wykonali wspaniałą robotę. Czyż mogło być coś piękniejszego?

A co byś powiedział na obecność zdrowej Maeve tu, obok ciebie? — szepnął mi wewnętrzny głos.

Nie miałem sił, żeby wsłuchiwać się w podszepty wewnętrznych głosów. Wkrótce będzie po wszystkim. Wytarłem łzy i patrzyłem na chłopców w strojach pasterzy zbliżających się z wolna ku scenie. Niech Bóg ma w opiece Bennettów.

Rozdział 85

Sam nie wiem, co było przyjemniejsze, kiedy się obudziłem rano w dzień Bożego Narodzenia. Niezrównanie wspaniałą zapach kawy i bekonu roznoszący się przez otwarte drzwi sypialni z kuchni, czy z trudem tłumiony chichot dochodzący z drugiej strony mojego łóżka.

— O nie —jęknąłem, siadając na łóżku. — Skoro wszystkie moje dzieci śpią... to znaczy, że w tym pokoju grasują jakieś irlandzkie duchy!

Shawna i Chrissy wybuchły śmiechem, a Trent powalił mnie z powrotem na poduszkę.

— To nie duchy! — zawołał Trent, skacząc jak kangur przy mojej głowie. — To święta!

Szarpiąc mnie za rękę Chrissy i Shawna postawiły mnie na nogi i zaciągnęły do pachnącego sosną salonu.

Pod choinką znalazłem swój prezent. Spojrzałem na moje dwa maleństwa. Norman Rockwell nie namalowałby tego lepiej. Lampki na choince rzucały łagodny blask na pod-ekscytowane twarzyczki dzieci z oczami wielkimi jak spodki. Przecież dzisiaj jest wyjątkowy dzień.

— Miałeś rację, tato! — zawołała Chrissy, klaszcząc w dłonie nad głową. — Zostawiłam otwarte okno w kuchni i Mikołaj przyszedł!

Widziałem, jak Trent potrząsa pudełkiem.

— A może byście tak, maluchy, najpierw obudzili starsze rodzeństwo? — zaproponowałem. — Potem razem otworzymy prezenty, dobrze?

Trzy małe istoty wypadły z pokoju jak strzały. Wiedziony zapachami powędrowałem do kuchni. Mary Catherine nalewała właśnie ciasto naleśnikowe na patelnię. Uśmiechnęła się do mnie.

— Wesołych świąt, Mike — powiedziała. — Chcesz jajko smażone na naleśniku czy z boku?

— Jak ci wygodniej — odpowiedziałem zaskoczony, że można jednocześnie dostać naleśnika i jajko. — Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdziżyć za to wszystko, co zrobiłaś dla mojej rodziny. Choinka, nagranie z przedstawienia, pakowanie prezentów. Do diabła, zaczynam podejrzewać, że Święty Mikołaj naprawdę istnieje. Jesteś pewna, że pochodzisz z Tipperary, a nie z bieguna północnego?

— Proszę cię — zaprotestowała i mrugnęła do mnie. — Najwięcej zrobił ojciec Seamus. Czekać, słyszę dzieci. Zabierz tę tacę. Nalałam gorącej czekolady, a twoja kawa stoi na blacie.

Zrobiłem, co mi kazała, i wróciłem do salonu. Sądziłem, że wszyscy się rzucą na prezenty jak wygłodniałe wilki na owcę, tymczasem cała gromadka stała spokojnie. Co się stało?

— Nie musieliście na mnie czekać — powiedziałem. — Wesołych świąt. Niech w powietrzu fruwa papier pakowy!

— Tato — zaczął Brian — zrobiliśmy zebranie i...

— Brian chce powiedzieć — przerwała mu Julia — że postanowiliśmy otworzyć prezenty dopiero po wizycie u mamy. Wiemy, że musisz wracać do pracy, ale chcemy poczekać, aż wrócisz do domu i wtedy pójdziemy wszyscy razem do mamy.

Podszedłem i objąłem ich tyle, ile zdołałem.

— Postanowione — powiedziałem, zaciskając mocno powieki. — Jesteście najlepszymi dzieciakami pod słońcem.

Po zjedzeniu naleśnika z jajkiem wskoczyłem szybko pod prysznic i się przebrałem. Kiedy pospiesznie zbliżałem się do drzwi wyjściowych, kątem oka dostrzegłem jeszcze Mary Catherine podłączającą kamerę do ładowarki. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak zdołam się odwdziżyć tej dziewczynie.

W drzwiach windy o mały włos nie znokautowałem Se-amusa, który po prysznicu i przebraniu się wracał z domu. Był ubrany na czarno, pod szyją miał koloratkę. Niech mnie diabli, wyglądał dostojnie, nabożnie i bardzo ładnie.

— Wesołych świąt — pozdrowił mnie. — Do pracy, co? Świetne sobie znalazłeś zajęcie, co? Doskonale idzie w parze z życiem rodzinnym, co?

— Co, co... — przedrzeźniałem jego irlandzki akcent. Miał rację. Tak, jakby rzeczywiście chciało mi się iść do pracy. O mało nie wybuchnąłem śmiechem. Co to byłyby za święta, gdyby dziadek nie wbił mi jakiejś szpili.

— Dzięki za to wszystko, co zrobiłeś dla moich dzieciaków, wstrętny staruchu — powiedziałem z uśmiechem. Przytrzymałem jeszcze zamykające się drzwi i dodałem: — Tobie też życzę wesołych świąt.

Rozdział 86

W pogrążonej w półmroku katedrze Eugena Humphrey obudziła się na twardej, drewnianej ławce. Usiadła, rozcierając zziębnięte ramiona. Z ociąganiem otworzyła oczy i westchnęła na widok zbyt dobrze znanego zarysu surowych kamiennych ścian. W końcu zwróciła głowę w stronę świec wotywnych, które przez ostatnie czterdzieści osiem godzin dawały jej poczucie spokoju i nadziei.

Szereg złocistych światełek zniknął. Wszystkie świece się wypaliły.

Zdarzały się już jej marne święta w przeszłości, ale te były najgorsze.

Mimo że było to bolesne, nie mogła przestać myśleć o tym, co robiłaby w tej chwili, gdyby była w domu.

Oczami wyobraźni widziała, jak jej mąż, Mitchell, wchodzi do sypialni ich eleganckiego apartamentu przy Wilshire Avenue z tacą, na której znajduje się przeznaczone dla nich dwojga śniadanie. Z okazji świąt szef kuchni i dietetyk mają wolne, więc dietę Mitcha diabli wzięli. Naleśniki z jagodami, wędzone wędliny, bekon z orzechami, wielkie kubki kawy. Po apetycznym posiłku wymieniają się podarkami. Ponieważ oboje zarabiali mnóstwo pieniędzy, po kilku latach okazało

się, choć trudno w to uwierzyć, że nawet najdroższe prezenty, takie jak brylanty czy nowe samochody, mogą się w końcu znudzić. Dlatego wraz z Mitchellem przyjęli nową strategię, która okazała się zabawna i sensowna zarazem. Mogli wydać na prezent nie więcej niż sto dolarów, a cała sztuka polegała na tym, żeby znaleźć rzecz najpiękniejszą i najbardziej znaczącą.

Taka prostota pozwalała im wrócić do podstaw. I była zabawna.

Jednego roku kupił jej tuzin pięknych, czerwonych róż. W efekcie zaczęła zwracać uwagę na kwiaty. Potrafi teraz dostrzec ich urok, bogactwo i ulotne piękno.

W tym roku kupiła mu za dwadzieścia jeden dolarów zegarek, na który natrafiła przypadkiem, podczas robionych ukradkiem zakupów. Miał staromodny i prosty wygląd: okrągły, biały cyferblat i czarne cyferki. Mimo to uważała, że jego prostota ma w sobie coś wiecznego. Taki zegarek nosiłby pewnie Bóg, gdyby tylko chciał. Odzwierciedlał, w jej mniemaniu, bezcennieść czasu, miłości i życia z kimś takim, jak Mitchell.

Nagle coś twardego dźgnęło ją w kark. Otworzyła oczy.

— Eugeno, ty szczęściaro. Mikołaj przyniósł ci w tym roku cheeseburgera — Mały John rzucił jej na kolana pakunek zawinięty w otłuszczony papier.

Eugena wbiła wzrok w kaptur osłaniający głowę porywacza. Może pozostali robili to dla pieniędzy, pomyślała, ale ten sukinsyn lubił zadawać ból. To właśnie on z zimną krwią zastrzelił Johna Rooneya.

Bała się, że za chwilę oładnie nią wszechogarniająca rozpacz.

Kogo próbowała oszukać? Jak ma znieść, na Boga, kolejną godzinę tutaj? Kolejną minutę?

Odłożyła „święteczne śniadanie” na ławkę obok i próbo-

wała się zrelaksować za pomocą ćwiczeń jogi, podnieść się na duchu. Przy pierwszym wydechu, z jej ust wydobyło się warknięcie.

Nie, pomyślała, rozglądając się wokół w poszukiwaniu porywacza. Dość tej uległości. Czas się wkurzyć.

Czy inni ludzie nie myśleli podobnie? — przyszła jej do głowy kolejna myśl. Zmarznięci, wściekli, załamani, brudni, w potrzebie. Tylu ludzi na całym świecie doświadczało znacznie gorszych rzeczy na co dzień. Jakim prawem ona ma się skarżyć?

Nawet jeśli należała do wybrańców, była przecież tylko człowiekiem. I miała tego wszystkiego dosyć.

Zrozumiała wreszcie, że nie ma sensu rozmawiać z tymi bydlakami. Nie da się tego rozwiązać pokojowo. Wyprostowała się w ławce, zaciskając kurczowo pięści. Postanowiła w końcu, że kiedy tylko nadarzy się sposobność, będzie walczyć o swoje życie.

Rozdział 87

Siedzący po drugiej stronie nawy Charlie Conlan rzucił okiem na zegarek, po chwili zrobił to samo jeszcze raz. Zerknął na chudego porywacza, któremu podobała się Mercedes Freer, kiedy ten mijał go, robiąc rutynowy obchód katedry.

Conlan odwrócił się; z tyłu siedział tylko jeden z bandytów. Patrzył, jak gnojek kładzie karabin na kolanach i sięga po coś do kieszeni. Był to wysadzany szlachetnymi kamieniami telefon komórkowy, który zapewne zabrał jednemu z zakładników. Czyżby zamierzał dzwonić? Ale do kogo?

Nie, jednak nie dzwoni, uświadomił sobie Conlan, widząc, jak porywacz wlepił wzrok w wyświetlacz i zaczął naciskać klawisze. Facet zajął się grą.

Conlan dwukrotnie zakaszał. To był znak. Todd Snow siedzący w ławce na przodzie wyprostował się i zerknął na Charliego. Conlan skinął głową i Mercedes, zajmująca miejsce na brzegu jednej ze środkowych ławek, pociągnęła przechodzącego obok porywacza za habit.

Niech się dzieje.

Kiedy porywacz odwrócił się, Snow błyskawicznie przeskoczył przez ławkę i zniknął pod materiałem pokrywającym ołtarz.

Conlan obrócił głowę, żeby sprawdzić, czy porywacz z tyłu niczego nie zauważył. Na szczęście nie. Był zbyt zajęty grą.

Conlan słyszał, jak Mercedes rozmawia z drugim porywaczem.

— Zaczynam świrować — szeptała. — Chodź ze mną. Mówię poważnie. Przynajmniej mnie pocałuj.

Porywacz nerwowo przełknął ślinę. Zerknął w tył na swojego kompana, potem pochylił się, i nie zdejmując z twarzy maski, zaczął całować z języczkiem piosenkarkę. Jego dłonie błędziły nerwowo po jej piersiach.

— Nie przy wszystkich. Za ołtarzem — wyszeptała bez tchu Mercedes.

Porywacz ponownie się obejrzał.

— Co? Nie jestem tego warta? — zapytała Mercedes. Jej palce powędrowały w dół po habicie i zatrzymały się na wysokości krocza. — Wierz mi, jestem.

— Za ołtarzem? — zapytał z niedowierzaniem. — Jesteś bardziej sprośna niż twoje klipy. Dobra, idziemy.

Conlan odetchnął z ulgą, kiedy Mercedes podniosła się z miejsca. O to właśnie chodziło.

Teraz powinny się wydarzyć dwie rzeczy naraz. Snow dopadnie za ołtarzem porywacza, a Conlan rzuci się na tego drugiego, z tyłu. Zdobędą dwa karabiny, więc może uda im się wyjść z tego cało.

Charlie Conlan wytarł spocone dłonie. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczna była to gra. Cóż jednak mieli do wyboru? Walczyć albo czekać, aż ich zastrzelą tak jak Rooneya.

Spojrzał w kierunku ołtarza. Mercedes i porywacz, przyklejeni do siebie, szli szybko po schodach.

Teraz.

Conlan wstał z miejsca. W tej samej chwili nastąpiła nieoczekiwana eksplozja. Miał wrażenie, jakby jakaś stalowa pięść uderzyła go w okolicę krzyża.

Następny huk wystrzału; tym razem poczuł żelazny cios w podbródek. Nic wiedząc, co się dzieje, upadł na plecy oszołomiony i zakrwawiony. Robił wszystko, żeby nie stracił przytomności.

Usłyszał krzyk Todda Snowa. Snow biegł w stronę tyczkowego porywacza, kiedy nagle pojawiło się trzech jego kolegów i zaczęło strzelać gumowymi kulami.

Conlan patrzył z przerażeniem, jak rozgrywający upada. Z głębi katedry wyłonił się Mały John. Podszedł do Snowa.

— Myślałeś, że nas pokonasz? Ty? Jesteś już za stary — Mały John przycisnął Snowa butem do ziemi.

Powoli, z nabożeństwem, odebrał strzelbę od jednego ze swoich kumpli. Wylot lufy przytknął do czoła sportowca. Zastanowił się chwilę. Tym razem lufa dotknęła prawej dłoni Todda. Mały John czubkiem buta unieruchomił jego nadgarstek.

— Kontakt! — krzyknął Mały John, naśladując sprawozdawcę sportowego. — Dziewięć metrów! Pierwsza próba! A ciebie wysyłam na ławkę rezerwowych. Na zawsze.

Odgłos wystrzału zagłuszył wrzask Snowa.

Conlan spostrzegł, że Mercedes Freer zbliża się do Małego Johna. Co ona wyprawia?

Patrzył, jak porywacz podaje jej telefon komórkowy. Potem papierosa. Kiedy Mały John przypalił jej papierosa, Conlan nagle wszystko zrozumiał.

— Zdradziłaś nas! — wrzasnęła. — Ty wstrętna, mała dziwko!

Mercedes przewróciła oczami.

— Wesołych świąt, mamo — powiedziała do telefonu. — Nie płacz. Wszystko jest w porządku. Ci chłopcy nie są tacy źli. Wypuszczą mnie, nie martw się. Przecież nauczyłaś mnie, jak dawać sobie radę.

Rozdział 88

W świąteczny poranek ruch był niewielki, dotarłem więc do katedry Świętego Patryka w rekordowym czasie. Nawet tłumek gapiów i dziennikarzy znacznie się przzerzedził. Byłem jednak pewien, że kiedy już rozpakują prezenty, pojawią się tu ponownie, by sycić ciekawość krwią.

Przechodząc przez plac przed Rockefeller Center, zauważyłem Mikołaja niosącego tacę z kawą. Przez plecy miał przewieszony karabin. To był Steve Reno.

— Dokąd niesiesz prezenty, Święty Mikołaju? Do Falludży? — zapytałem.

— Próbuję podnieść morale, Mike — usłyszałem głos Reno dochodzący zza wacianej brody.

— To masz trudniejsze zadanie niż ja — odpowiedziałem. Wychodząc z windy w centrum dowodzenia, wpadłem na Paula Martellięgo.

— Gotowe, Mike — powiedział. — Pięć minut temu dotarła reszta. Mamy wszystkie pieniądze. Możemy przelewać.

— Jest szansa, żeby śledzić ich przepływ? — zapytałem. Martellię wruszył ramionami.

— Wiemy, że mają trafić na konto na Kajmanach. Stamtąd natychmiast przetransferują je gdzieś indziej, potem jeszcze

gdzieś. Może nawet uda nam się wyrzucić polityczną presję i banki zdradzą nam, dokąd popłynęły pieniądze, ale w końcu i tak pewnie trafią na konto numeryczne w Szwajcarii albo cholera wie gdzie. Nasi fachowcy pracują nad tym. Minie trochę czasu nim będziemy gotowi prześledzić transfer.

Cóż, przynajmniej udało się zebrać wszystkie pieniądze, pomyślałem. To już było coś.

Odwrociłem się, słysząc, jak z gabinetu obok wychodzi Will Matthews. Skrzywiłem się na widok jego zarośniętych policzków i podkrążonych oczu. Jedyne, co dostanie w te święta, to wrzody żołądka.

— Możemy zaczynać? — zapytał Neda Masona Will Matthews.

Mason wstał, zakrył dłonią słuchawkę telefonu i powiedział:

— Bank czeka na twoje polecenie — widać było, że Mason też chce już mieć to za sobą. Niewiele pomógł, ale przynajmniej siedział tu cały czas i obserwował wydarzenia.

Will Matthews zdjął czapkę z pięcioma gwiazdkami, przeciągnął dłonią po łysinie, po czym wziął słuchawkę do ręki.

— Tu komisarz Will Matthews — rzucił. — Z trudem przychodzi mi to powiedzieć. Róbcie przelew.

Poszedłem za moim szefem do gabinetu i razem, w milczeniu, patrzyliśmy przez okno na katedrę. W końcu odwrócił się w moją stronę.

— Musisz jeszcze raz porozmawiać przez telefon z tymi bydlakami, Mike. Powiedz im, że mają już swoje cholerne pieniądze. A teraz niech puszczą wolno tych biednych ludzi.

— Jak oni pana zdaniem, szefie, zamierzają stamtąd uciec? — zapytałem w końcu.

— Przekonamy się, Bennett — odparł Will Matthews, rzucając złowrogie spojrzenia na Piątą Aleję. — Ta niepewność mnie dobija.

Rozdział 89

Wróciłem do stojącego na zewnątrz wozu dowodzenia i policjantów zajmujących się łącznością. Sierżant, który od samego początku kierował ekipą techników, skinął na mój widok głową, oczekując poleceń.

— Co jest, Mike? Co teraz robimy?

— Możesz połączyć mnie z katedrą? — zapytałem. Sierżant zamrugał oczami, aż wreszcie skinął głową. Wstał szybko, zgarnął papiery z biurka i otworzył laptopa.

— Daj mi minutę — poprosił i, faktycznie, nie zajęło mu to więcej.

— Tak? — odezwał się Jack, kiedy sierżant oddał mi słuchawkę.

— Tu Mike. Pieniądze zostały przelane.

— Wszystko? — zapytał Jack.

— Wszystko. Masz to, co chciałeś.

— Pozwól, że sprawdzę — odparł sceptycznie Jack.

W tle słyszałem kliknięcia klawiszy. Sprawdzali stan konta z katedry. Czy Internet nie jest wspaniały?

— Mikey, mój chłopcze. Cóż za wspaniały prezent — odezwał się po dobrej minucie Jack. — Rozsadza mnie świąteczna radość.

— Wypełniliśmy naszą część umowy — powiedziałem, puszczając mimo uszu jego kolejny idiotyczny komentarz. — Zrobiliśmy to, czego chcieliście. Teraz wasza kolej. Czas wypuścić zakładników.

— Wszystko w swoim czasie, Mike — odpowiedział spokojnie Jack. — Wszystko w swoim czasie. Zakładnicy zostaną wypuszczeni, ale na naszych warunkach. Po co mielibyśmy pozabijać ich jak psy, skoro tak dobrze nam się współpracowało? Rozumiesz, co mam na myśli? Oto nasza lista żądań. Masz długopis?

— Mów.

— Okay. Słuchaj. Za dwadzieścia minut jedenaście identycznych czarnych sedanów z przyciemnionymi szybami i pełnymi zbiornikami ma zaparkować przed wejściem od Piątej Alei. Mają mieć otwarte drzwi i uruchomione silniki. Piąta Aleja ma być oczyszczona do Sto Trzydziestej Ósmej, a Pięćdziesiąta Siódma od rzeki do rzeki. Jest chyba oczywiste, że efektem każdej próby zatrzymania nas będzie stos trupów. Jeżeli wszystkie nasze żądania zostaną spełnione, zakładnicy zostaną zwolnieni.

— Coś jeszcze? — zapytałem.

— Nie, to wszystko — odparł Jack. — Arrivederci, Mikey. To była niezła zabawa.

Nie mogłem uwierzyć, że słyszę sygnał zerwanego połączenia. Więc to koniec?

Chcą tylko jedenastu samochodów? Dokąd zamierzali nimi pojechać? Do Meksyku?

Za plecami słyszałem, jak Will Matthews wydaje przez radio polecenie oczyszczenia Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i zablokowania wszystkich przecznic. Po chwili, przez drugą krótkofalówkę, połączył się ze snajperami na dachach i kazał im być w gotowości.

— Zdejmiemy ich, kiedy będą wychodzili — powie-

dział. — Każdy z was, który będzie miał dobre pole widzenia, ma strzelać.

— Przyjąłem — dała się słyszeć odpowiedź jednego z członków Delta Force.

— Jeszcze jedno. Chcę mieć w tych samochodach nadajniki GPS — polecił Matthews jednemu ze swoich kapitanów.

— Bennett — zwrócił się do mnie — włącz na dach i wskakuj do śmigłowca, na wypadek gdybyśmy musieli ich ścigać.

Nie zachwycała mnie praca na wysokości, powiem więcej, byłem tą perspektywą załamany, ale potulnie kiwnąłem głową.

Wsiadłem do windy, która miała mnie zawieźć na dach i zastanawiałem się, jak porywacze zamierzają przejść spokojnie choćby kilka kroków. Wcisnąłem przycisk ostatniego piętra.

Wkrótce wszystko się wyjaśni.

Rozdział 90

Musiałem być naprawdę w bojowym nastroju, skoro zdołałem wsiąść do śmigłowca stojącego na ziemi, nieważne, że na pięćdziesiątym pierwszym piętrze. Gdyby nie poganiał mnie czas, pewnie wolałbym się do niego wczołgać, byle tylko moja głowa znajdowała się jak najdalej od wirujących łopat.

Pilot musiał zauważyć zielony odcień na mojej twarzy albo po prostu miał sadystyczne skłonności. Ledwie zdążyłem zapiąć pas, maszyna zaczęła gwałtownie opadać. To była ekspresowa winda w dół, tyle że mój żołądek pozostał na pięćdziesiątym pierwszym piętrze.

Kiedy wreszcie zatrzymaliśmy się jakieś sto metrów nad skrzyżowaniem Pięćdziesiątej i Piątej Alei, najpierw podziękowałem Bogu, że powstrzymałem się przed wymiotami, a dopiero potem ujrzałem katedrę w pełnej krasie.

To była naprawdę piękna budowla. Iglice wież i ornamenty były delikatne i misterne, jak elementy tortu weselnego. Tym trudniej było uwierzyć, że przecież wykonano je z kamienia. Co ciekawe, monolityczne szklane drapacze chmur, które wyrastały tuż obok, wcale nie pomniejszały katedry. Przeciwi-

nie, to właśnie ona zdawała się górować i pokazywać, że wieżowce są tu zupełnie nie na miejscu.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem jedenaście czarnych chevroletów powoli nadjeżdżających z północy. Samochody zatrzymały się przed katedrą, a ze środka wyskoczyli, pozostawiając otwarte drzwi, umundurowani policjanci.

Na każdym skrzyżowaniu stały radiowozy, blokując wjazd z bocznych ulic.

Co za widok!

— Drzwi! — dobiegło z policyjnego radia.

Tam, w dole, ogromne wrota katedry powoli zaczęły się otwierać.

Jakaś postać w długim do kostek habicie z kapturem i w kominiarce na głowie wyszła na zewnątrz i zatrzymała się obok barierki schodów.

Patrzyłem na samotną postać, czekając na dalszy rozwój wypadków.

Choć wokół była cała armia policjantów, czułem dziwny niepokój. Ci dranie nauczyli nas dotąd jednego — że są zdolni do wszystkiego.

W słuchawkach znów rozległ się szalony jazgot, kiedy chwilę później pojawił się kolejny osobnik ubrany w identyczny brązowy habit i kominiarkę. Czy to byli porywacze? Co tu się, do diabła, dzieło?

Moją uwagę zwrócił jakiś ruch w drzwiach katedry.

Chwilę później dosłownie opadła mi szczęka.

Z katedry wychodziła gęsiego, w dwóch rzędach, grupa dwudziestu kilku osób.

Wszyscy mieli na sobie brązowe habit.

Wszyscy nosili kominiarki.

Nie było żadnej szansy, żeby odróżnić zakładników od porywaczy.

Rozdział 91

— Czy ktoś namierzył cel?! — krzyczał przez radio Will Matthews.

Przed drzwiami z brązu znajdowało się teraz jakieś trzydzieści osób w habitach. Wszyscy powoli schodzili po schodach w stronę czekających samochodów.

— Chwila! — zawołał jakiś głos. — Prześwietlamy ich, zobaczymy, kto ma broń.

Na dachu domu towarowego Saks snajper odłożył karabin i przytknął do oczu coś, co przypominało wyjątkowo długą lornetkę. Kiedy ją odłożył, powiedział do mikrofonu:

— Nie strzelać. Pomiar ciepła wskazuje, że wszyscy mają broń. Nie jesteśmy w stanie ich odróżnić.

Potrząsnąłem głową tak gwałtownie, że o mały włos nie spadły mi słuchawki z uszu. Jack znowu był górą. Wiedział, że przejście z katedry do samochodów może być dla nich niebezpieczne. Przewidzieli nasz następny ruch i dlatego przebrali wszystkich w habitę. Snajperzy byli bezradni.

Tam, w dole, grupa ludzi w brązowych habitach wsiadała do samochodów, po trzy, cztery osoby do każdego. Po chwili zaczęły się zatrzaskiwać drzwi z przyciemnianymi szybami. No właśnie. Kolejna wspaniała okazja stracona. Porywacze

mogli być kierowcami, ale równie dobrze mogli siedzieć na tylnym siedzeniu z bronią wycelowaną w prowadzącego samochód zakładnika.

Dopiero teraz zauważyłem, że w oknach budynków po obu stronach Piątej Alei było pełno gapiów. Z miejsca, w którym się znajdowałem, bardziej przypominało to paradę, tyle że zamiast sportowców i weteranów wojennych głównymi bohaterami byli najświetniejsi ludzie w USA.

Przeglądałem się stojącym w miejscu samochodom. Pozostawało jedno istotne pytanie: w jaki sposób porywacze zamierzali opuścić Manhattan? Wszystko to wyglądało na tyle dziwnie, że zacząłem podejrzewać najgorsze. Że cała akcja skończy się rzezią.

Chwilę później żołądek podszedł mi do gardła, i wcale nie z powodu choroby powietrznej.

— Niech to jasna cholera! — usłyszałem przez radio krzyk Willa Matthews. — Bennett, nie zgub ich!

Spojrzałem na pilota i dopiero teraz zauważyłem, że to kobieta. Widząc jej pewny siebie uśmiech, wiedziałem, że na pewno sobie poradzimy.

— Na co czekasz?! — zawołałem. — Lecimy!

Rozdział 92

Lecieliśmy nisko nad kolumną samochodów. Krawędzie wirujących łopat znajdowały się nie dalej niż pięć metrów od szklanych i kamiennych fasad budynków po obu stronach alei. Z trudem przeżykałem ślinę. Nawet prowadzenie samochodu w tym mieście kosztowało mnie wystarczająco dużo nerwów.

Silne, jednostajne wibracje śmigłowca sprawiały, że samochody w dole wydawały się drżeć. Właśnie ruszyły spod katedry. Dokąd oni zamierzali jechać?

Pasy wpiły mi się w klatkę piersiową, kiedy śmigłowiec ruszył śladem kolumny pojazdów.

Posuwaliśmy się powoli nad samochodami, które mijały teraz eleganckie sklepy przy Piątej Alei: Cartiera, Gucciego, Trump Tower. Czyżby porywacze zamierzali zrobić ostatnie przedświąteczne zakupy?

Jeszcze dziwniejsze wydarzenie miało miejsce, kiedy dotarli do Tiffany'ego na rogu Pięćdziesiątej Siódmej.

Zatrzymali się!

Może chcieli wpaść na śniadanie? Może Jack planował jeszcze na pożegnanie obrabować sklep jubilerski? Wszystko było możliwe. Cierpliwie czekałem na dalszy rozwój wypadków. Rotor śmigłowca łomotał w rytm mojego pulsu.

Po dobrej minucie pierwszy samochód z kolumny powoli ruszył i skręcił w lewo, na zachód, w Pięćdziesiątą Siódmą. Za nim ruszyły następne. Pomyślałem, że cała ta dziwna procesja zamierza chyba zrobić rundę honorową po West Side. Nieoczekiwanie szósty z kolei samochód, a za nim następne, skręcił w Pięćdziesiątą Siódmą, ale na wschód.

Natychmiast zameldowałem o tym przez radio.

East Side, West Side wszystko w granicach miasta, pomyślałem, patrząc, jak kolumna rozdziela się na dwie części.

Czy w jednej grupie byli zakładnicy, a w drugiej porywacze? Ze śmigłowca nie mogłem się tego dowiedzieć.

— Możesz jakoś ocenić, kto jest kim? — zapytał udreżonym głosem Will Matthews.

Zerknąłem na dwa rzędy pojazdów, usiłując coś wywnioskować. Zapach paliwa lotniczego, zawroty głowy i jednostajny hałas silników nie sprzyjały jednak skupieniu. Szybko się poddałem.

Nawet jeżeli był jakiś ślad, nie potrafiłem na niego w tej chwili trafić.

Wszyscy wyglądają tak samo — rzuciłem w końcu do mikrofonu.

— Dokąd teraz? — zapytał poirytowany pilot.

— Na zachód — zdecydowałem. — Skręcaj w lewo. Jeżeli się pomyliłem, i natychmiast wyleją mnie z roboty, to będę miał bliżej do stacji mojej linii metra, żeby wrócić do domu.

Rozdział 93

Eugena Humphrey wyprostowała kierownicę po skręcie na wschód w Pięćdziesiątą Siódmą i wzięła głęboki oddech. W ciasnym wnętrzu było gorąco, pocila się. Kolejną niedogodnością była cuchnąca kominiarka, którą porywacze kazali jej założyć.

Zerknęła na stojących na chodniku przed galerią sztuki dwóch umundurowanych policjantów gapiących się bezmyślnie na mijające ich samochody.

Nikt nic nie robi! Dlaczego?

Była wystraszona i zmęczona, ale wiedziała, że nie może się teraz załamać. Nie może sobie pozwolić na chwilę słabości.

Kiedy ostatnio sama prowadziła samochód? Dziesięć lat temu? Wróciło wspomnienie czerwonego mustanga, którego kupiła po przeprowadzce z Wheeling w Wirginii Zachodniej do Los Angeles. Cóż to była za szalona jazda!

A teraz tak to miało się skończyć? Brudna, w Boże Narodzenie, na łasce i niełasce zdegenerowanych kryminalistów? Po tym wszystkim, czego dokonała? Po latach ciężkiej pracy, po podjęciu wielu trudnych decyzji, po dojściu do tego, co ma, skoro zaczęła od zera? Udało jej się wznieść

ponad granice wyznaczone dla osób z jej kolorem skóry i pochodzeniem.

Żyła pełnią życia. I zrobiła to, co mogła zrobić.

Eugena wydała stłumiony okrzyk, kiedy porywacz na przednim siedzeniu dźgnął ją lufą obrzyna.

— Szybciej! — wrzasnął.

W tej samej chwili czarne myśli zniknęły, poczuła nagły przyptyw adrenaliny.

Szybciej? Nie ma sprawy. Jak sobie życzysz.

Wcisnęła pedał gazu, ośmiocylindrowy silnik zawył, a samochód podskoczył w górę na progu zwalniającym przed Park Avenue.

— Dobrze! Gaz do dechy! — ryknął porywacz, kiedy wóz wylądował na asfalcie, rozsypując wokół iskry.

Pędzili w kierunku Lexington. Eugena zauważyła na rogu ulicy zbiornik z ciekłym azotem należący do jednej z kompanii telefonicznych. Przeszło jej przez myśl, żeby w niego uderzyć.

Miała wrażenie, że Nowy Jork, że cały świat zmierza z ogromną prędkością w jej kierunku, niczym niepohamowana siła wobec nieruchomego obiektu.

Rozdział 94

Kolumna samochodów sunęła powoli na zachód wzdłuż Pięćdziesiątej Siódmej.

Nad Siódmą Aleją zawisło co najmniej pół tuzina śmigłowców z dziennikarzami na pokładzie. Po raz pierwszy od czasu ucieczki OJ Simpsona fordem bronco media tak interesowały się jadącymi samochodami.

Kolumna pojazdów zwolniła przy wejściu do stacji metra przy Szóstej Alei. Tylko tego nam było trzeba, żeby zniknęły w labiryncie podziemnych tuneli!

Na szczęście samochody minęły skrzyżowanie i pojechały dalej w paradnym szyku.

Dlaczego nic się nie działo, dlaczego nie wykonywali żadnych nieoczekiwanych ruchów?

Porywacze musieli czytać w moich myślach, bo gdy minęła może minuta i samochody znalazły się na wysokości Hard Rock Cafe, nagle zawyły silniki, zapiszczały opony i pięć maszyn ruszyło pełnym gazem do przodu.

Policjanci na skrzyżowaniu z Broadwayem z zaskoczeniem gapili się na ten wyścig.

Samochody mijają Ósmą Aleję wciąż nabierając prędkości, a nim dotarły do Dziewiątej, zdawało się, że zamierzają bić

rekord prędkości. Nasz śmigłowiec musiał przyspieszyć, by nie zostać w tyle.

Ten nagły pośpiech wydawał się dziwny, ponieważ ich rajd musiał się wkrótce zakończyć. Do końca Manhattanu zostały jeszcze może dwie przecznice.

Co dalej?

Czułem, jak krew odpływa mi z twarzy na widok pojazdów pokonujących ostatnie nachylenie ulicy i zmierzających wprost w kierunku rzeki Hudson.

Czy spróbują przełamać jedną z blokad? Nie miałem pojęcia, pewne było tylko jedno — za chwilę nastąpi katastrofa. A jedyne, co mogłem w tej chwili zrobić, to obserwować wydarzenia z góry.

Rozdział 95

Na przednim siedzeniu pasażera, w pierwszym samochodzie jadącym na zachód, siedział ze związanymi rękami Charlie Conlan. Kiedy pędzący wóz wjechał w potężną dziurę w jezdni, Charlie poczuł, że otworzyła mu się rana na policzku. Zdawał sobie sprawę, że jadą zbyt szybko. A więc tak to ma wyglądać, pomyślał. Koniec legendy.

Wsluchiwał się w ryk silnika i narastała w nim złość na tego bydlaka, który siedział obok. Był też wściekły na siebie. Wciąż jeszcze oddychał, a więc powinien walczyć, powinien się bronić. Tyle że związano mu ręce i nogi. Był bezsilny.

Zerknął na siedzącego obok porywacza. Na głowie wciąż miał kominiarkę, ale zdjął kaptur.

Conlan podjął decyzję. Może zginę, ale nie na kolanach przed tymi łobuzami.

Samochód zjechał właśnie z garbu ciągnącego się wzdłuż Dziesiątej Alei. Conlan pochylił głowę i z całych sił uderzył porywacza w okolice ucha. Krzyk przerażenia kierowcy prawie zagłuszył huk silnika.

Przez co musieliśmy przejść z powodu tej bezwartościowej gnidy, pomyślał Conlan, czując smak krwi. Zabił jego

przyjaciela, Rooneya, a potem wyrzucił go przed katedrę jak worek śmieci. Conlan chętnie zadałby mu podobny ból. Jednak w tej chwili wóz wjechał na jakąś nierówność, przednie opony wystrzeliły, samochodem zaś zaczęło rzucać na boki.

Kilka sekund później ogromna szyba wystawowa salonu BMW na północno-wschodnim narożniku Jedenastej Alei rozprysła się w drobny mak pod naporem pędzącej tony stali.

Conlan usłyszał ogłuszający, potworny zgrzyt i zapadła ciemność.

Po chwili świat wokół zaczął szarzeć. Potem pojawiła się oślepiająca biel.

Kiedy Conlan otrząsnął się z szoku, stwierdził, że wpatruje się w ostre światło wiszącej wysoko lampy. To chyba nie jest sala operacyjna, pomyślał. A może to powraca jakieś przykre wspomnienie? Obrócił się, żeby zobaczyć, co się stało. Zazgrzytały odłamki szkła, których wokół niego było pełno.

Do diabła, znaleźli się w samym środku salonu samochodowego. Ich pojazd leżał na lewym boku. Zerknął na poskręcane blachy znajdujące się o kilka centymetrów od jego krtani. Samochód był teraz kabrioletem, dach został podczas wypadku oderwany.

Wyrzął przez dziurę w popękanej przedniej szybie. W pierwszej chwili miał wrażenie, że porywacz, który siedzi zgarbiony na jednym z motocykli z wystawy, próbuje uciec.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ramię kierownicy motoru wystaje z jego pleców.

— Jednego mniej — powiedział głośno. — To za Johna Rooneya.

Obejrzał się za siebie. Pasażerowie na tylnym siedzeniu wyglądali na całych. Todd Snow odpiął pas, wypełził przez wybite okno i zaczął szarpać się z taśmą owiniętą wokół

nadgarstków Conlana. Patrzyli obaj na kolejnego pasażera, który właśnie zdejmował z głowy kominiarkę.

— Dobra robota, chłopaki — odezwała się Mercedes Freer. — Uratowaliście nas! — Zdążyła się jeszcze uśmiechnąć, nim pięść Todda Snowa wybiła jej przedni ząb.

Rozdział 96

Od schodów pożarowych mijanej przez nas właśnie kamienicy z brązowego kamienia odbijały się migoczące świąteczne światełka. Nasz śmigłowiec kierował się w stronę salonu, w którego wnętrzu nieoczekiwanie znalazł się jeden z samochodów porywaczy.

Gapilem się na rozbitą szybę wystawową, pogięty metal i błyskające policyjne światła nadbiegających ze wszystkich stron gliniarzy.

Kolejny dzień, kolejna wojna, pomyślałem, usiłując przyjąć do wiadomości, że to, czego jestem świadkiem, dzieje się naprawdę.

Obróciłem głowę w drugą stronę, nie mogąc dłużej patrzeć na zamieszanie powstałe wokół salonu. W tej właśnie chwili cztery pozostałe samochody docierały do opustoszałego skrzyżowania z West Side Highway drogą biegnącą brzegiem rzeki Hudson. I wcale nie zwalniały!

Pomyślałem sobie, że pewnie skręcą w ostatniej chwili, przebijając się przez blokadę. Policjanci przy barykadzie musieli myśleć podobnie, gdyż trzech lub czterech natychmiast zeszło z drogi.

Myliliśmy się.

Patrzyłem bezradnie i w oczach mi ciemniało. Nadmiar adrenaliny, brak snu, zbyt duża dawka kofeiny i stres. Wszystko to sprawiało, iż zdawało mi się, że śnię.

Samochody nie skręciły ani w prawo, ani w lewo. Wydawało się, że po jakichś niewidzialnych szynach jadą wprost na parkan oddzielający rzekę Hudson od drogi.

Huk pękających opon w zetknięciu z wysokim, betonowym krawężnikiem słycać było nawet we wnętrzu śmigłowca. Samochody zdawały się przycupnąć na chwilę, a potem wyskoczyły w górę i uderzyły w ogrodzenie. Siatka rozerwała się bez trudu, jak namoczona lignina, i pojazdy poszybowały nad lodowatą rzeką. Następnie obróciły się w powietrzu i jeden po drugim, z hukiem, uderzały dachami o taflę wody.

Sam już nie wiem, czego wcześniej oczekiwałem, ale to było przecież masowe samobójstwo.

— Są w wodzie! — usłyszałem przez radio. — Wszystkie sześć samochodów wylądowało w East River! Niesamowite! Niemożliwe!

Najpierw pomyślałem, że mówi to policjant obserwujący zdarzenie z ziemi; dopiero po chwili dotarło do mnie, że raport dotyczy innych aut, tych, które pojechały na wschód.

Wyglądało na to, że porywacze zatopili wszystkie samochody w dwóch rzekach.

Śmigłowiec krążył teraz nisko nad wodą w miejscu, które wskazałem. Kiedy się tam znaleźliśmy, zdołaliśmy jeszcze zobaczyć znikające pod powierzchnią światła stopu ostatniego samochodu.

— Jak najniżej — zawołałem do pilota, odpinając pasy i otwierając drzwi. Do kabiny wdarł się powiew mroźnego wiatru. Wychyliłem się.

— Powiadom policję rzeczną! — zawołałem i skoczyłem do wody.

Rozdział 97

Woda nie była wcale taka straszna.

Pod warunkiem, że należało się do klubu morsów.

Temperaturę, lub raczej jej brak, odczułem jak przenikający całe ciało elektryczny wstrząs. Zacząłem podskakiwać na powierzchni, aż wreszcie moje stopy trafiły na coś przypominającego zderzak. Zanurzyłem się w brudnej, mętnej wodzie, wyciągając po omacku ręce.

Sam nie wiem, jak udało mi się trafić na klamkę. Szarpnąłem mocno, drzwi otworzyły się i obok mnie pojawiła się jakaś sylwetka, potem następna.

Kiedy z samochodu uwolniła się trzecia i czwarta postać, poczułem, że brakuje mi tchu i jestem zziębnięty. Odepchnąłem się mocno nogami od dachu tonącego pojazdu.

Moje ubranie wydawało się być zrobione z ołowiu, ze zmrożonego ołowiu. Płynąłem pieskiem. Naliczyłem w wodzie dwanaście osób. Wszyscy zdjęli kominiarki, większość byłam w stanie rozpoznać jako zakładników. Ilu ich było w każdym samochodzie? Czy wszyscy zdołali się uratować?

— Nikt nie został w samochodach? — krzyknąłem do Kennetha Rubensteina, który młócił rękami wodę obok mnie.

Spojrzał na mnie, jakbym mówił do niego po chińsku. Był

w szoku. Uznałem, że nie mogę już zrobić nic więcej, jak tylko próbować wydostać tę dwunastkę z wody.

Pojawił się śmigłowiec. Pani pilot była niesamowita. Używając płozy niczym ośęki, wylawiała po kolei nasze zmrożone tyłki z wody i odstawiała na nabrzeże.

Obok nas pojawiła się grupa krzepkich pracowników oczyszczania miasta, którzy przybiegli z pobliskiej zajezdni. Bez wahania zabrali nas do ciepłego budynku biurowego. Ktoś zarzucił mi na plecy koc. Jakiś potężnie zbudowany robotnik robił oddychanie usta-usta bladej kobiecie w średnim wieku, aż w pewnym momencie ratowana odepchnęła go ręką.

Poznałem ją, to była Laura Winston, kreatorka mody. Siedząca obok młoda kobieta — Linda London — uczestniczka reality show, zaczęła wymiotować.

Mniej więcej po półgodzinie zadzwonił do mnie Will Matthews. Z East River wydobyto już wszystkich zakładników. Byli podrapani, przemoczeni i wciąż w szoku, ale wyglądało na to, że nikomu nic poważniejszego się nie stało.

Tymczasem porywacze zniknęli. Trzeba było ustalić, czy utonęli wraz z samochodami, czy może wciąż znajdują się w katedrze. Zanim się rozłączyłem, Will Matthews kazał mi udać się do salonu samochodowego, gdzie miał miejsce wypadek i sprawdzić, co się tam dzieje.

Dlaczego nie? — pomyślałem, oddając telefon sierżantowi drżącą wciąż z zimna ręką. Na pewno potrzebowałem tego ranka więcej mocnych wrażeń.

Przynajmniej wszyscy wyszli z tego cało, pomyślałem, wracając na nabrzeże. Oczywiście prócz ludzi zamordowanych w katedrze.

Myślałem, że ten fakt uspokoi mnie nieco, ale nic z tego.

Patrzyłem na śmigłowce krążące nad wodami rzeki w poszukiwaniu porywaczy i cały czas miałem w pamięci obietnicę Jacka.

Powiedział, że ucieknie i udało mu się.

Rozdział 98

Przy opuszczonym nabrzeżu, na północ od przystani Hell's Kitchen, dwadzieścia przecznic na południe od miejsca, gdzie połowa samochodów wylądowała w wodzie, pomiędzy sterty nieczystości wyłoniła się na powierzchni jakaś ciemna sylwetka.

Z oczami tuż nad lekko wzburzoną taflą wody, Jack uważnie obserwował okolicę, wypatrując policji rzecznej. W pobliżu nie było nikogo. Nie zauważył też niczego podejrzanego na nabrzeżu.

Z kieszeni kombinezону płetwonurka wyjął wodoszczelną torbę, w której trzymał telefon komórkowy. Wcisnął guzik ponownego wybierania i wyjął z ust ustnik aparatu tlenowego.

— Gdzie? — rzucił do słuchawki.

— Wciąż zajmują się miejscem wypadku i ratowaniem zakładników — odpowiedział Czyścioszek. — Nie zaczęli jeszcze was szukać. Pospieszcie się, póki macie taką możliwość.

Jackowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Schował telefon do torby, ponownie zanurzył się w wodzie i szarpnął za linę holowniczą.

Pięć minut później Jack i czterech pozostałych porywaczy

stało na betonowej półce poniżej nadbrzeżnej promenady ośrodka sportowego, zdejmując kombinezony i butle z powietrzem, które czekały na nich ukryte pod wodą w miejscu, gdzie zatopili samochody. Butle były niewielkie, raptem czterolitrowe, w sam raz do spędzenia pod wodą dziesięciu do piętnastu minut.

Najbardziej ryzykowną częścią ich planu było samo wjechanie samochodami do rzeki. Cała reszta — uwolnienie się z tonącego samochodu i odnalezienie ukrytych butli tlenowych była dziecinnie prosta. To było nie tylko największe porwanie wszech czasów, ale i najwspanialsza ucieczka!

Na dodatek jego kochanym tępakom udało się niczego nie spieszyć. Był z nich naprawdę dumny. Ale teraz nie było czasu na triumfowanie. Musieli dostać się do Queens i zabrać resztę ekipy, która wylądowała w East River. Miał nadzieję, że im też się powiodło.

Jack spojrzał w górę, na zatłoczoną West Side Highway. Poczul, że serce zaczyna mu bić szybciej i uśmiechnął się. Zdawał sobie sprawę, jak ważną rolę odegrał w całej operacji i wpadł w prawdziwą euforię. Gdyby nie utrata Fontaine'a i Jose, byłby to perfekcyjny skok.

Odwrócił się i zobaczył, że ostatni członek jego załogi zdejmuje kombinezon. Teraz mieli na sobie sportowe stroje i wyglądali jak typowi ludzie odwiedzający kompleks sportowy nad rzeką. Jak młodzi yuppies, którzy postanowili spędzić Boże Narodzenie, grając i bawiąc się, zamiast siedzieć z marudną rodziną.

— No, panowie — mrugnął do swoich ludzi — ruszajcie się. Już prawie jesteśmy w domu. Zgarnęliśmy główną wygraną.

Z trudem pohamowywali się, by nie biec. Przeskoczyli ogrodzenie, przeszli wzdłuż budynku i czekali na zmianę świateł na przejściu dla pieszych.

Z południa doszły ich dźwięki policyjnych syren. Jackowi momentalnie zaschło w gardle, a krew w żyłach zmroziła się do takiej temperatury, jaką miała woda, z której przed chwilą się wydostali. Uspokoił się, kiedy radiowozy minęły ich i pognały dalej. Bez wątpienia jechały w stronę Pięćdziesiątej Siódmej, tam gdzie dokonali kaskaderskiego wyczynu.

Trzydzieści minut później siedzieli w furgonetce i zabierali resztę towarzyszy z nabrzeża opuszczonej rozlewni na Long Island. Kiedy wsiadali przez boczne przesuwne drzwi, na twarzy Małego Johna gościł triumfalny uśmiech.

— Co tak długo? — zagadnął wielkolud, odbierając od Jacka butelkę zimnego heinekena. — Gdzie Jose?

— Zginął na skrzyżowaniu z Jedenastą Aleją — odparł Jack, uderzając pięścią w otwartą dłoń.

Mały John wbił zamyślony wzrok w podłogę furgonetki.

— A co z odciskami? — zapytał po chwili.

Jack uśmiechnął się.

— Pamiętasz, jak mu tłumaczyliśmy, że nie można zostawić żadnych śladów? — powiedział. — Głupkowi nic lepszego nie przyszło do głowy, więc przez ostatnie półtora miesiąca przypalał sobie opuszki palców zapalniczką.

— Za Jose! — wykrzyknął uspokojony Mały John, unosząc butelkę z piwem. — To był facet z jajami!

— I za Fontaine'a! — dodał Jack, wspominając przyjaciela, który zginął podczas wymiany ognia w krypcie. Spojrzał na torbę leżącą pośród kostek lodu obok butelek piwa, torbę, w której znajdowały się odcięte dłonie Fontaine'a. Wyglądały jak skrzydełka kurczaka.

— Co teraz robimy? — zapytał Mały John.

— Nie wiem jak ty, ale po trzech dniach noszenia tych samych gatek i kąpieli w jednej z najbrudniejszych rzek świata, marzę o prysznicu — powiedział Jack.

— A potem małe tentego! — zawołał radośnie jeden

z porywaczy, kiedy wjeżdżali na autostradę łączącą Brooklyn i Queens.

— Miałem na myśli, co później — wyjaśnił Mały John.

— Trzymamy się planu. Dwa, trzy miesiące czekamy, i jeśli nic się nie wydarzy — bilet w jedną stronę na Kostarykę w klasie biznesowej.

Jack słuchał wesołych głosów kompanów: Arriba! Arriba! Andale! Uśmiechnął się szeroko. A więc naprawdę tego dokonali. Trudno było w to uwierzyć. Pokonali cały świat. Kolejny etap to łatwizna. Wystarczyło tylko siedzieć cicho i czekać. I nie wydawać swoich milionów.

Rozdział 99

Musiąłem pożyczyć trochę ciuchów, wystroiłem się zatem w kombinezon śmieciarzy i ruszyłem na Jedenastą Aleję, gdzie znajdował się salon samochodowy.

Dwóch sanitariuszy w białych kitlach próbowało oderwać ubranego w brązowy habit porywacza od kierownicy motocykla. Wyglądało to tak, jakby bawili się w przeciąganie liny. Dopiero kiedy pojawił się policjant z piłą tarczową, udało im się wyciągnąć kierownicę z piersi martwego mężczyzny.

Przy roztrzaskanym w pył automacie z napojami stał jeden z moich ulubionych piosenkarzy rockowych, Charlie Conlan, i rozgrywający Giantsów, Todd Snow. Przesłuchiwali ich detektywi z wydziału przestępstw. Obaj zakładnicy nie wyglądali na chętnych do rozdawania autografów. Patrząc na rozbity samochód, zastanawiałem się, jakim cudem jedyną widoczną raną było podkrążone oko i spuchnięta warga wyglądającej na maksymalnie wkurzoną gwiazdy pop, Mercedes, która robiła właśnie awanturę jednemu z ratowników medycznych.

Przykleknąłem przy tym, co pozostało z porywacza, kiedy już ułożono jego ciało na podłodze. Pożyczyłem parę gumowych rękawiczek i powoli zdjąłem z jego głowy kominiarkę.

Kiedy pod kominiarką zobaczyłem gumowy czepek kombinezonu płetwonurka, uderzyłem się otwartą dłonią w czoło.

Kombinezon płetwonurka!

Więc tak to rozegrali! W ten sposób udało im się uciec! Użyli sprzętu płetwonurków.

Pożyczyłem telefon i powiedziałem Willowi Matthewsowi o tym odkryciu. Will rzucił do słuchawki cały stek przekleństw, a potem wezwał posiłki policji rzecznej z Jersey i straży przybrzeżnej.

Odłożyłem słuchawkę i zacząłem ściągać gumowy czepek z głowy porywacza. Trup był Latynosem pod czterdziestkę lub tuż po czterdziestce. Kieszenie miał puste. W kaburze pod pachą lśniła dziewięćmilimetrowa beretta ze starannie usuniętym numerem seryjnym. Spojrzałem na jego dłonie i jęknąłem. Brakowało odcisków palców. Widywałem podobne ślady na opuszkach palców narkomanów poparzonych przez zbyt gorącą firkę.

Nie, pomyślałem, nie może tak być, żeby te bydlaki zniknęły, nie pozostawiając żadnego śladu. Odszukałem Lonniego Jacoba, technika kryminalistycznego, z którym już nieraz pracowałem. Pokazałem mu dłonie porywacza.

— Myślisz, że coś z tego wydobędziesz? — zapytałem.

— Może, częściowo... — odparł sceptycznie. — Popracuję nad tym w kostnicy. Ale wątpię, czy się uda. Ten gość nie chciał, żeby go ktoś zidentyfikował.

— Co się dzieje, Mike? — zapytał Will Matthews, który właśnie pojawił się w salonie. — Przechodzisz do służby oczyszczania miasta?

— Myślałem, że trochę tu jeszcze powęszę.

— Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, Mike — powiedział Will Matthews, patrząc na jatkę wokół. — Taka jest prawda i tego zamierzam się trzymać. Radzę ci powtarzać za mną te słowa, bo nieuchronnie zbliża się burza.

— Tak zrobię — odparłem. — Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Tak się zresztą składa, że to prawda.

— A teraz wynoś się stąd. Wracaj do rodziny. Na zewnątrz czeka na ciebie mój kierowca — powiedział Will Matthews. — To rozkaz.

Wyszedłem na zewnątrz; zimny wiatr smagał mi twarz. Dopiero teraz zauważyłem, że Boże Narodzenie miało barwę stalowoszarą, typową dla grudniowych dni, kiedy wydaje się, że zima nigdy się nie skończy. Usiadłem na tylnej kanapie samochodu. Moje myśli powędrowały do żony i wtedy zapragnąłem, żeby rzeczywistość czas zatrzymał się w miejscu.

Skoro Maeve miała nie doczekać następnej wiosny, dlaczego ktokolwiek inny mógł?

Rozdział 100

Mówi się, że nic nie może się równać z Bożym Narodzeniem w Nowym Jorku, ale w moich oczach to miasto wyglądało dziś wyjątkowo ponuro. Wróciłem do domu, przebrałem się i zabrałem moją gromadkę do szpitala. Nie dostrzegałem świątecznych dekoracji i zapalonych lampek, tylko ciągnące się w nieskończoność szare rzędy pustych okien, brudny beton i kłęby pary unoszące się nad ulicami. Jakiś irlandzki pisarz nazwał Manhattan katedrą, ale dla mnie był on dzisiaj bardziej smętnym placem budowy, zaśmieconym, okrutnym, zimnym.

Żeby nie upaść ze zmęczenia, musiałem przytrzymać się otwartych drzwi samochodu, podczas gdy Mary Catherine usadowiła moje dzieci ściskające w rękach pięknie zapakowane prezenty.

Nawet srogię pielęgniarki, którym przyszło spędzić Boże Narodzenie na dyżurze, miały oczy pełne łez, widząc tragicznie smętną procesję mijającą ich dyżurkę i kierującą się na piąte piętro.

— Zaczekajcie — powiedziałem, poklepując się po pustych kieszeniach, kiedy byliśmy już na korytarzu. — Film z przedstawienia! Zapomniałem go zabrać!

— Jest tutaj. Mike — odparła Mary Catherine— wręczając mi małe plastikowe pudełko.

Powinienem jej jeszcze raz podziękować za uratowanie mi życia. Gosposia, pomyślałem. Czy ta Irlandka robi za dobrą wróżkę? Pewnie spędziłaby spokojniejsze święta w Afganistanie niż z moją gromadką. Mimo to została z nami.

— Pozdrów ode mnie Maeve — powiedziała cicho ta wspaniała, młoda kobieta. — Będę w holu, gdybyście mnie potrzebowali. Idźcie.

Kiedy dotarliśmy do jej korytarza, zobaczyłem Seamusa klęczącego przy wózku Maeve.

Coś ścisnęło mnie za gardło, gdy zobaczyłem w jego rękę otwartą Biblię. Zatrzymałem się, widząc, jak robi znak krzyża na jej czole. Ostatnie namaszczenie? — pomyślałem.

Jak mam sobie z tym poradzić? W taki dzień jak dzisiaj?

Zapukałem we framugę i Maeve uśmiechnęła się lekko. Jak zwykle była ubrana; tym razem zamiast baseballówki miała na głowie czapkę Świętego Mikołaja.

Seamus zamknął Biblię i uściskał mnie mocno.

— Niech Bóg da ci siłę, Michael — szepnął mi do ucha. — Twoja żona to święta. Ty też. — Seamus przerwał. — Zaraz wróce, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Poczułem w piersiach ból, jakby pękła tam jakaś struna, kiedy zobaczyłem, jak Maeve przygarnia do siebie Chrissy i Shawnę.

Wbiłem wzrok w sufit. W historii mojej rodziny pojawi się nowy zwyczaj, pomyślałem z żalem. Boże Narodzenie na oddziale paliatywnym.

To było nie fair. Maeve regularnie ćwiczyła, dobrze się odżywiła, nie paliła. Zagryzłem wargi, czując, jak piekący żal ściska moje serce. Miałem ochotę krzyczeć.

Gdy mój syn Brian pomógł jej usadzić się na łóżku

i włączył film z przedstawienia, stało się coś dziwnego Maeve zaczęła się śmiać. Nie był to uprzejmy cichy chichot, ale głośny, donośny, płynący z głębi trzewi śmiech. Podeszedłem do łóżka. Jej dłoń znalazła moją za jednolitą ścianą złożoną z naszych dzieci.

Na następne dziesięć minut znikła sala szpitalna. Byliśmy znów na zdezelowanej kanapie w naszym domu, oglądaliśmy mecz albo jeden z ulubionych starych filmów.

Moja bezużyteczna złość zmieniła się w głośny rechot, kiedy na scenie pasterz Eddie potknął się o swój pastorał.

— Wspaniale! — powiedziała Maeve, przybijając piątkę dzieciakom, kiedy film się skończył. — Bennettowie, jestem z was dumna!

— Czy nie słyszycie bezwstydnego zamieszania, jakie dochodzi z tej sali? — rozległ się karcący głos wracającego Seamusa.

Maeve rozpromieniła się, kiedy uniósł jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

— Wesołych świąt — rzekł, kładąc ukradkiem za jej plecami bombonierkę z czekoladkami i puszczając przy tym oko.

Zachowywaliśmy się tak, jakby ktoś przeniósł szpitalne łóżko do sklepu z kartkami świątecznymi i prezentami. Julia i Brian wystąpili naprzód z czarnym, eleganckim pudełkiem w rękach. Maeve otworzyła je i uśmiechnęła się. Przez chwilę wydawało się, że jest na tyle silna, by przegnać ze swojego organizmu chorobę. W pudełku znajdował się cienki złoty naszyjnik. Na wisiorku widniał napis: „Najwspanialszej mamie”.

— Wszyscy się na to złożyliśmy — oznajmił Brian. — Wszyscy, nawet najmłodszy.

Pocałowała go w policzek, kiedy zapinał naszyjnik na jej szyi.

— Trzymajcie się zawsze razem, dzieci — powiedziała Maeve, oparłszy się wygodnie i walcząc z opadającymi ze zmęczenia powiekami. — Wiele rąk potrafi unieść nawet duży ciężar, a rąk wam nie brakuje. Małe dłonie i wielkie serca. Jestem z was taka dumna. Tata później pokaże, co dla was przygotowałam. Wesołych świąt. I pamiętajcie, bardzo was wszystkich kocham.

Rozdział 101

Seamus zabrał Mary Catherine i dzieci do domu, a ja zostałem w szpitalu. Nieoczekiwanie poczułem przyływ sił byłem spokojny, czujny, zmęczenie znikło. Zamknąłem drzwi i usiadłem na zimnym łóżku przy Maeve. Objąłem ją mocno, ująłem jej dłoń i spojrzałem na stykające się ze sobą obrączki ślubne.

Zamknąłem oczy i przywołałem obraz Maeve z tych pierwszych dni, kiedy umizgiwałem się do niej w szpitalnej izbie przyjęć. Wtedy też zawsze kogoś trzymała za rękę. Czarnych, białych, żółtych, śniadych, młodych, starych, szalonych, okaleczonych, pokiereszowanych, zakrwawionych. Pomyślałem o tych wszystkich ludzkich sercach, w które wiała nieco otuchy. Szczególnie o własnym. I dziesięciorga naszych dzieci.

Około północy wstałem, żeby się przeciągnąć. Maeve otworzyła szeroko oczy i ścisnęła moją dłoń.

— Kocham cię, Mike — powiedziała gwałtownie.

O Boże! — pomyślałem. — Nie teraz. Proszę, jeszcze nie teraz!

Sięgnąłem po przycisk przywołujący pielęgniarkę, ale

Maeve go odsunęła. Potrząsnęła głową i po jej policzku spłynęła łza.

Potem uśmiechnęła się.

Stop!

Spojrzała mi w oczy. Zupełnie tak, jakby dostrzegła w nich jakieś bardzo odległe miejsce. Jakiś nowy ład, do którego zmierzała.

— Bądź szczęśliwy — powiedziała.

Jej palce wymknęły się z mojej ręki, a ja poczułem, że coś we mnie pęka.

Złapałem ją, kiedy opadała na łóżko. Była taka lekka. Jej pierś przestała się poruszać. Ułożyłem jej głowę na poduszce równie delikatnie jak wtedy, w naszą noc poślubną.

Tak samo, myślałem, zupełnie tak samo.

Podniosłem się, pokój zawirował wokół mnie. Stałem jak porażony.

Wszystko, co mnie kiedyś cieszyło, pozwalało się śmiać, każdy zachód słońca, każda nadzieja, każda dobra rzecz, jaka mi się przydarzyła lub mogła przydarzyć — wszystko to znikło.

Nagle usłyszałem śpiew.

Jakimś cudem na nowo włączyła się płyta z nagraniem przedstawienia. Na ekranie zobaczyłem małą Chrissy przemierzającą scenę w srebrnym przebraniu anioła, podczas gdy wszyscy uczniowie śpiewali kolędę Cicha noc.

Wyłączyłem odtwarzacz, zgasilem światło i położyłem się obok mojej żony. Za oknem, w mroku nocy, prószył śnieg.

Dlaczego ja jeszcze żyję? — zastanawiałem się, czując w piersiach samolubne bicie serca.

Odnalazłem dłoń Maeve, poczułem przejmujący chłód ślubnej obrączki. Wspominałem łzy szczęścia w jej oczach w małych kościółku, w którym braliśmy ślub, kiedy wsuwałem jej tę obrączkę na palec. Obsypujący nas ryż zmieszany

z płatkami śniegu, kiedy schodziliśmy na zewnątrz, po drewnianych schodach, trzymając się za ręce.

Zamknąłem oczy i nie słyszałem już niczego. Odgłosy szpitala utonęły gdzieś w mroku, podobnie jak odgłosy całego zewnętrznego świata. Jedyne, co pozostało, to zimna dłoń mojej żony w mojej dłoni i przenikająca mnie na wskroś nicość.

Rozdział 102

Przełożona pielęgniarek, Sally Hitchens, przysłała około czwartej trzydzieści rano. Uśmiechnęła się i pomogła mi wstać. Obiecała, że zaopiekuje się Maeve, podczas gdy ja stałem zdezorientowany i błędnym wzrokiem wpatrywałem się w ciało mojej żony.

Przeszedłem piechotą trzydzieści przecznic dzielących szpital od domu. Chłód wczesnego poranka mroził moją skórę. Barman, który zamykał właśnie stalowe żaluzje lokalu na Amsterdam Avenue, przeżegnał się na mój widok.

Kiedy chwiejnym krokiem wszedłem do mieszkania, okazało się, że wszystkie dzieci czekają na mnie w salonie.

Usiadłem. Otoczyły mnie zwartym kołem. Sądziłem, że uwolniłem się choć trochę od bólu ostatnich godzin, ale było to tylko złudzenie. Powiodłem wzrokiem po twarzach dzieci i robiło mi się coraz ciężej na sercu. Przez łzy spojrzałem w oczy małej Chrissy i żal stał się nie do zniesienia.

Powiadomienie kogoś o śmierci to najtrudniejsze zadanie policjanta z wydziału zabójstw. Cóż dopiero, kiedy trzeba przekazać tę wiadomość we własnym mieszkaniu, własnym dzieciom.

— Mama jest już w niebie — powiedziałem w końcu,

przygarniając je do siebie. — Mama jest już w niebie Pomódlcie się.

Wstałem i poczłapałem do kuchni, żeby podzielić się tą wiadomością z Seamusem i Mary Catherine.

Potem poszedłem do swojego pokoju, zamknąłem cicho drzwi i usiadłem na brzegu łóżka.

Kiedy dziesięć godzin później wszedł do mnie Seamus, wciąż tak siedziałem, w ubraniu.

Seamus usiadł obok mnie.

— Kiedy straciłem twoją babkę — zaczął spokojnie — byłem gotów kogoś zamordować. Lekarzy, którzy powiedzieli mi, że umarła, ludzi, którzy przyszli czuwać przy jej zwłokach. Nawet ksiądz odprowadzający żałobne nabożeństwo doprowadził mnie do szału. Tyko dlatego, że wszyscy oni wydawali mi się szczęśliwi. Nie musieli wracać do pustego mieszkania. Nie musieli słuchać potwornej ciszy, kiedy zabierano jej rzeczy. Myślałem nawet poważnie o sięgnięciu po butelkę. Ale nie zrobiłem tego. Wiesz dlaczego?

Potrząsałem głową. Nie miałem pojęcia.

— Bo byłoby to zniewagą. Nie znieważylbym pamięci Eileen, tylko ją samą. Wtedy zrozumiałem, że ona tak całkiem nie odeszła. Wysforowała tylko trochę naprzód. Eileen nauczyła mnie jednej rzeczy. Że wstajesz, ubierasz się i robisz to, co masz do zrobienia, aż do dnia, kiedy nie wstaniesz. Chcę przez to powiedzieć, że Maeve nie całkiem odeszła. Jest gdzieś tam, przed tobą, i czeka na ciebie, Mike. Dlatego nie możesz zamknąć się w sobie. My, Irlandczycy, nie zawsze odnosimy sukcesy, ale zawsze jesteśmy twardzi.

— Twardzi aż do śmierci — powiedziałem głucho. — Oto inspirujące słowa Seamusa Bennetta. Powinieneś napisać poradnik.

— Ileż w tym sarkazmu — powiedział Seamus, ścisnął moje kolano i wstał. — Grzeczny chłopiec. Maeve byłaby

z ciebie dumna. Dla jej irlandzkich uszu brzmiałoby to jak muzyka.

Wziąłem prysznic i rozpoczęliśmy ustalenia. A właściwie rozpoczęli je Seamus i Mary Catherine. Zadzwonili do kościoła, potem do zakładu pogrzebowego, a ja tylko kiwałem lub potrzasałem przecząco głową. Twardy aż do śmierci.

Rozdział 103

Dwa dni później, na pogrzebie Maeve, kościół Holy Name wypełnił się przyjaciółmi i krewnymi. Podczas wcześniejszego czuwania i teraz, w kościele, moja żona zdołała zgromadzić tłum ludzi, który swoją liczebnością śmiało mógłby rywalizować z pogrzebem Pierwszej Damy w katedrze Świętego Patryka. Brakowało tylko wozów transmisyjnych i sławnych ludzi.

W morzu głów rozpoznawałem jej dawnych współpracowników, pacjentów, a nawet większość naszych nadętych sąsiadów. Pojawił się prawie w komplecie mój wydział zabójstw, a także mnóstwo policjantów, którzy przyszli tu zapewne po to, by wesprzeć swojego druha w niebieskim mundurze.

Podczas czuwania usłyszałem mnóstwo nieznanych mi wcześniej historii. O tym, jak Maeve opiekowała się czyimiś dziećmi, małżonkami, rodzicami. Jak czuwała przy tych, którzy przychodzili na świat, i tych, którzy go opuszczali. O współczuciu, jakie okazywała w najtrudniejszych chwilach. A także o sile, jaką dawała tym, którzy byli samotni.

Bywają chwile, kiedy Nowy Jork wydaje się najbardziej osamotnionym miejscem na świecie, ale widząc, jak Seamus

w sutannie odchodzi od ołtarza i z kadzidłem w rękę okrąża trumnę Maeve, słysząc szloch zgromadzonych wokół mnie ludzi, miałem silne poczucie wspólnoty.

Po odczytaniu Ewangelii. Seamus wygłosił mowę pogrzebową.

— Jedno z moich najpiękniejszych wspomnień związanych z Maeve pochodzi z ruin WTC — zaczął. — Oboje, jako ochotnicy, wydawaliśmy ratownikom gorące posiłki z pokładu statku „Spirit of New York”, zacumowanego przy Battery Park. Trwał właśnie czwarty mecz rozgrywek World Series 2001 w baseballu. Stałem na górnym, otwartym pokładzie i pocieszałem zrozpaczonego dowódcę batalionu, który właśnie stracił jednego z ludzi, kiedy nagle z dolnego pokładu dobiegł nas przerażający wrzask. Pomyśleliśmy, że kogoś zabito albo ktoś wypadł za burtę, ale kiedy wpadliśmy do jadalni, zastaliśmy Maeve ze słuchawkami na uszach, podskakującą tak radośnie, że o mało nie rozbijała statku.

— Tino Martinez zablokował! — krzyczała. — Zablokował!

Ktoś przyniósł telewizor i postawił go na bufecie. Mówi się, że nigdy na stadionie Yankee nie było tak głośno, jak wtedy, gdy Derek Jeter dostał home run z dziewięć metrów. Ale wiem, że my, przy tym telewizorze, zachowywaliśmy się nie mniej głośno. Kiedy wspominam Maeve, widzę ją tam, w samym środku grupy zmęczonych mężczyzn, wymachującą w powietrzu zaciśniętą pięścią. Jej energia i nadzieja, jej żywotność zmieniły to ponure miejsce w coś wyjątkowego, coś, co graniczy ze świętością.

Seamus zacisnął zęby. Teraz on, podobnie jak wszyscy pozostali, też ją utracił.

— Nie zamierzam was oszukiwać. Nie wiem, dlaczego Bóg właśnie teraz ją zabrał. Ale jeśli fakt, że została tu przysłana przez Boga, by żyć pośród nas, nie świadczy

o bożym miłosierdziu, to inaczej nie potrafię was przekonać. Jeśli mamy coś z dzisiejszego zdarzenia wynieść, to niech będzie to lekcja, że Maeve przeżyła swój czas na ziemi pełnią życia. I niczego nie żądała w zamian.

Wszyscy obecni w kościele, wraz ze mną, płakali bez skrzepowania. Siedząca obok Chrissy odsunęła połę płaszcza i wycierała łzy o moje kolano.

Podczas pogrzebu na cmentarzu Gates of Heaven w Westchester zza chmur wyszło słońce. Dzieci rozsypywały za trumną Maeve płatki róż. Zauważyłem, jak Shawna przed upuszczeniem róży całuje ją. O mało nie popłakałem się ponownie, kiedy wysoki, świdrujący dźwięk dud wygrał melodię Danny Boy.

Ale nie, powstrzymałem się.

Zadałem sobie pytanie, co na moim miejscu zrobiłaby Maeve, przełknąłem łzy, przytuliłem dzieci i obiecałem sobie i jej, że jakoś przez to przebrniemy.

Rozdział 104

Przez najbliższe dni, kiedy dzieci miały przerwę świąteczną, planowałem zostać w domu, ale Seamus i Mary Catherine nie chcieli o tym słyszeć.

— Przykro mi, kolego — wyjaśnił mi Seamus. — t dzieci trzeba teraz mocno rozpieszczać, a ty jesteś w takim nastroju, że lepiej będzie, jeśli pozostawisz to mnie i Mary. Poza tym powinieneś wyrwać się z rozmyślań. Rzucić się w wir pracy. Przestań wysiadywać w domu, tylko idź i przyskrzyń tych smutasów, którzy zaatakowali katedrę.

— Przyskrzynić? — powtórzyłem z lekkim uśmiechem. — Smutasów?

— Oglądam od czasu do czasu Nowojorskich gliniarzy — przewrócił oczami Seamus. — Czy to grzech?

Tak więc w poniedziałek rano, po pogrzebie Maeve, pojawiłem się za swoim biurkiem w wydziale zabójstw północnego Manhattanu we wschodnim Harlemie. Mój szef, Harry Grissom, i reszta kolegów okazywali mi współczucie w wyjątkowo irytujący sposób. Kto by pomyślał, że będzie mi brakować tego, by znów stać się obiektem żartów. Rychło w czas, pomyślałem, ścierając kurz z komputerowej myszy.

Zadzwoiłem do Paula Martelliiego i Neda Masona.

Dowiedziałem się, że nie ma żadnych nowych, obiecujących śladów. Obejrzano każdy centymetr kwadratowy ścian, okien i podłogi w poszukiwaniu odcisków palców, ale nic to nie dało. Bandyci byli wyjątkowo pedantyczni.

Martelli opowiadał, że wprawdzie pojawiła się pewna nadzieja, kiedy w krypcie arcybiskupów znaleziono ciało zastrzelonego porywacza, ale szybko okazało się, że jego kompani z zimną krwią pozbawili zwłoki dłoni i głowy, co przekreśliło szanse na identyfikację.

W katedrze nie natrafiono też na żaden ślad materiałów wybuchowych, zapewne więc groźby o wysadzeniu w powietrze katedry były zwykłym blefem. Jednym słowem, Jack był górą.

Na ekranie monitora znalazłem przyklejoną karteczkę z prośbą o telefon do Lonniego Jacoba, śledczego zajmującego się zdarzeniem w salonie samochodowym. Około południa podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer laboratorium kryminalistycznego.

— Mike — zaczął Loonie, kiedy odebrał telefon. — Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Mam coś.

— Co takiego? — zapytałem.

— To nie było łatwe, ale dzięki wodorotlenkowi sodu zdołałem wysuszyć i zdjąć wierzchnią warstwę naskórka z przypalonych paluchów naszego nieznajomego. Z drugiej warstwy dużo trudniej odczytać linie papilarne, ponieważ niektóre linie się dublują, ale coś jednak mamy. Rozmawiałem już ze znajomym z archiwum FBI. Mam je wysłać do porównania?

Powiedziałem, że oczywiście, a on obiecał, że oddzwoni, jak tylko coś będzie wiedział. Ci bandyci mieli świra na punkcie zacierania za sobą śladów — a to znaczyło, że mieli coś do ukrycia.

Rozdział 105

Następnego dnia dotarli do nas wieści, że kiedy komisarz usłyszał o mizernych wynikach śledztwa, jego odpowiedź była krótka: „Zrobić wszystko jeszcze raz. I zrobić to lepiej”.

Na początek chłopcy z ESU wrócili do katedry i powtórzyli wszystkie czynności, jakich dokonali wcześniej przy zabezpieczeniu miejsca przestępstwa. Sprawdzili nawet, czy w świątyni nie ma jakiejś miny pułapki albo innych niebezpiecznych materiałów.

Inspektorzy policji wraz z technikami kryminalistycznymi ponownie szukali odcisków palców i śladów włókien. Pobrano próbki do badań DNA. Sprawdzono, czy nie zostały sprofanowane jakieś obiekty kultu — wszystko, co pozwoliłoby nakreślić profil psychologiczny przestępców.

Wszystko, co było do sprawdzenia, sprawdzono jeszcze raz.

Ślady krwi.

Włosy, włókna, nitki.

Szkło — okna, butelki, szklanki.

Broń.

Substancje znalezione w katedrze, a szczególnie w krypcie

arcybiskupów, w której porywacze ukrywali się przed rozpoczęciem ataku.

Dwóch posterunkowych wyznaczono tylko do tego, by jako posłańcy szybko dostarczali dowody do laboratorium.

Po trzech dniach wyczerpującej pracy rezultat był jeden — żadnego tropu prowadzącego do Jacka i jego kompanów.

Rozdział 106

Pewnego ranka, kiedy poczułem, że nie wytrzymam dłużej za biurkiem, postanowiłem wybrać się na przejażdżkę. Skręciłem w Piata Aleję i uśmiechnąłem się na widok zgiełku i zamętu, jaki tworzyły samochody i piosi wokół katedry Świętego Patryka. Nasze miasto przeżyło zamieszki, awarie sieci energetycznej, jedenastego września, burmistrza Dinkinsa, a teraz to, pomyślałem, wchodząc po schodach katedry.

Świątynia była zamknięta z powodu remontu. Kiedy pokazałem stojącemu przy wejściu policjantowi odznakę, ten bez szemrania wpuścił mnie do środka.

Znalazłem się w głównej nawie, przyklęknałem, a potem usiadłem w pierwszej ławce.

Rozglądałem się po dostojnym, ascetycznym wnętrzu. Można by pomyśleć, że po ostatnich wydarzeniach mogę mieć dość kościołów, tymczasem w mrocznej świątyni wypełnionej zapachem palących się świec czułem się dobrze. Znajdowałem w tej ciszy jakiś dziwny rodzaj pocieszenia.

Tu odbierałem dyplom ukończenia szkoły jezuickiej. Uśmiechnąłem się znacząco, przypominając sobie, jak kiepsko szła mi greka i łacina. Było jednak coś, być może tylko to jedno, czego nauczyli mnie w tej szkole jezuiti — najważ-

niejsza jest przyczyna. Bez przerwy powtarzali, że powinniśmy używać racjonalnego myślenia danego przez od Boga, by dotrzeć do istoty rzeczy. Pewnie dlatego właśnie, kiedy poszedłem do Manhattan College, niewielkiej uczelni w Bronksie, jako główny przedmiot wybrałem filozofię. I zapewne dlatego zostałem policjantem. Czułem potrzebę dotarcia do prawdy.

Myśląc o tym, co się tu wydarzyło, zadarłem głowę i spojrzałem na ołtarz.

Wiedzieliśmy kiedy, gdzie, co, dlaczego i jak. Pozostawało pytanie kto.

Kto mógł to zrobić? Kto był jednocześnie tak błyskotliwy i tak brutalny? Mężczyźni z silną wolą z jednej strony, niewahający się przy tym uciec do przemocy, by osiągnąć swój cel.

Przez cały czas trwania okupacji katedry zabili pięć osób. Oficer z ESU i agent FBI zginęli podczas szturmowania tunelu. Od strzału w głowę, „przez przypadek”, jak twierdził Jack, pożegnał się z życiem stary ksiądz. Strzałem z bliska zabito Johna Rooneya. Potwierdziły to przesłuchania zakładników, którzy byli świadkami całego zdarzenia.

Na koniec pomyślałem o burmistrzu. Dlaczego zasztyletowali Andrew Thurmana? Ślady po przypalaniu papierosem wskazują, że był wcześniej torturowany. Ci mężczyźni zachowywali się bardzo racjonalnie. Dlaczego zatem w zupełnie inny sposób zamordowali burmistrza? Wynikałoby z tego, że zastrzelenie człowieka, choć również nie do przyjęcia, wydawało się czymś lepszym niż zadźganie nożem. Czyżby pojawił się tu jakiś wątek osobisty?

Mocno zacisnąłem dłoń na wypolerowanej drewnianej poręczy.

Była jakaś przyczyna. Nie wiedziałem tylko jaka.

Na razie.

Przed wyjściem z kościoła zatrzymałem się przed rzędem świec wotywnych w kaplicy Matki Boskiej. Zapaliłem po jednej za duszę każdego człowieka, który tu stracił życie i jedną dodatkowo za duszę mojej żony. W martwej ciszy zaszeleściły głośno dolarowe banknoty wrzucone do puszek ofiarnej. Skrzydła anioła, pomyślałem, powstrzymując łyzy. Opadłem ciężko na wyłożony welwetem klęcznik, zamknąłem oczy i zacisnąłem pięści.

Droga Maeve, modliłem się. Kocham cię. Tak bardzo mi ciebie brak.

Wciąż czekałem na telefon od Lonniego z wiadomością o odciskach palców. Kiedy wróciłem na posterunek, okazało się, że jeszcze nie dzwonił. Nalałem sobie kawy i w oczekiwaniu na dzwonek telefonu, spoglądałem przez okno na Harlem.

Na opustoszałym parkingu, po drugiej stronie ulicy, dzieci rozпалиły ognisko z wyrzuconych choinek. Zwęglone pnie wyglądały jak sterta czarnych kości.

Sporo było jeszcze do ustalenia. Znaliśmy markę broni, jaką zostawili porywacze; może to naprowadzi nas na ślad. Znaleźliśmy też łuski po nabojach i pół tuzina gładkolufowych strzelb przeznaczonych do strzelania gumowymi pociskami. Ten trop wydawał mi się interesujący. Pomyśleli o tym, żeby zaopatrzyć się w broń do rozpędzania tłumów. Musieliśmy jeszcze wyjaśnić, w jaki sposób ukryli butle nurkowe w rzece.

Dwie godziny później, kiedy byłem pogrążony w lekturze protokołów przesłuchań, na moim biurku zadzwonił telefon.

— Przykro mi, Mike — usłyszałem niezadowolony głos Lonniego. — Nic z tego. Odciski nic nam nie powiedzą. Ten facet nie był notowany.

Kiedy odkładałem słuchawkę na widełki, zdawało mi się, że słyszę szyderyczy śmiech Jacka.

Rozdział 107

Następnego ranka, kiedy przyszedłem do pracy, na moim biurku dzwonił telefon.

Podniosłem słuchawkę i usłyszałem znajomy głos, którego się nie spodziewałem.

— Tu Cathy Calvin z „Timesa”. Mogę rozmawiać z detektywem Bennettem?

Zastanawiałem się chwilę, czy odpowiedzieć *No hablo ingles*, czy po prostu odłożyć słuchawkę.

— To dotyczy porwania — wyjaśniła.

— Bennett przy telefonie. Mam już dosyć tej zabawy, pani Calvin — odezwałem się szorstko.

— Mike — przymilała się reporterka. — Wybacz to, co zrobiłam. Wiem, że było to głupie. Wydawca mnie cisnął i... Co ja mówię?! Nie będę się tłumaczyć. Spieprzyłam sprawę, wiem. Przepraszam. Jestem ci coś winna. Słyszałam o twojej żonie. Przyjmij wyrazy współczucia, ty i twoje dzieci.

Milczałem, zastanawiając się, czy reporterka „Timesa” zwyczajnie mi się nie podlizuje. Jej słowa brzmiały szczerze, ale wolałem zachować ostrożność. Dzięki niej ja i cały wydział wyszliśmy na głupców. Z drugiej strony skoro uznała, że ma wobec mnie dług, może warto to wykorzystać?

— Przyjmij moje przeprosiny, Mike — spróbowała ponownie. — Czuję się jak skończony drań.

— Przynajmniej jesteś samokrytyczna — powiedziałem.

— Wiedziałam, że się w końcu zaprzyjaźnimy — odparła prędko. — Dzwonię dlatego, że przeprowadzam wywiad z porwanymi. A właściwie próbuję, bo na razie nie udaje mi się przebić przez ich prawników i agentów. Ale rozmawiałam z księdzem Solstice, aktywistą walczącym o prawa obywatelskie, i wiesz, co mi powiedział?

Pseudopolityk Solstice był znany z jednego: nienawiści do policji.

— Wstrzymuję oddech — odparłem.

— Powiedział, że jego zdaniem porywacze byli policjantami — ciągnęła Calvin. — To właśnie chciałam ci przekazać. I jeszcze to, e nie mam zamiaru tych bzdur drukować. Wiesz? Nie jestem taka zła.

— W porządku. Doceniam to.

Odłożyłem słuchawkę, rozsiadłem się wygodnie na krześle i zacząłem zastanawiać nad przypuszczeniami Solstice'a. Prawdą jest, że słynął z kontrowersyjnych sądów, ale był też na tyle łebski, żeby wiedzieć, że ma coś na poparcie swoich tez. Co w takim razie Solstice wiedział? Czy było to coś istotnego? A może był w to w jakiś sposób zamieszany?

Oddzwoniłem do Calvin, żeby wziąć od niej numer telefonu księdza.

— Witam księdza. Tu detektyw Michael Bennett z nowojorskiej policji. Prowadzę śledztwo w sprawie porwania z katedrze. Słyszałem, że ma ksiądz na ten temat własne spostrzeżenia. Prosiłbym, żeby ksiądz się ze mną nimi podzielił.

— Aha! — zakrzyknął Solstice. — Jasne! Dobrze wiem, co robicie i co próbujecie wykombinować! Już się zaczyna!

— Co się niby, zdaniem księdza, zaczyna? — zapytałem.

— Że jesteście, dranie, najlepsi! Zwykła przykrywka! Zamiatanie pod dywan! Posłuchaj, człowieku, ja wiem! Dobrze znam gliniarzy. Manipulujecie nami. A potem wszyscy będziecie udawać wariatów. Wypuściliście ich, a teraz próbujecie to ukryć. Jak zwykle.

Czyżby to była prawda? Niemożliwe.

Mimo wszystko Solstice zadał dwa ważne pytania. Skąd porywacze tak dużo wiedzieli o naszej taktyce i dlaczego potrafili przewidzieć nasz każdy następny ruch?

Rozdział 108

Na Rikers Island w Bronksie znajduje się obecnie dziesięć zakładów karnych, w których przebywa aż siedemnaście tysięcy więźniów. Rikers stało się już małym miasteczkiem z własnymi szkołami, przychodniami lekarskimi, boiskami, kaplicami i meczetami, sklepami, zakładami fryzjerskimi, zajezdnią autobusową, a nawet myjnią samochodową.

Pełen nadziei dotarłem tam wcześniej rano. W nocy przyszedł mi do głowy pewien pomysł i teraz mogłem wprowadzić go w życie.

Minęła właśnie ósma rano, kiedy mijałem „skrzynię bezkarności”, gdzie odwiedzający, niczym nie ryzykując, mogli zostawić narkotyki i broń. Nie miałem niczego, co musiałbym złożyć w depozycie, zaprowadzono mnie zatem do niewielkiej sali widzeń Centralnego Zakładu Karnego Rikers, znanego także pod nazwą „Bing”.

Jedna czwarta więźniów w Rikers to biedacy, których nie stać na zapłacenie kaucji w wysokości pięciuset dolarów lub mniej, mnie jednak interesowały poważniejsze przypadki. Następne cztery godziny spędziłem w salce, rozmawiając z dziesiątkami więźniów.

Puszczając im z taśmy głos Jacka. Miałem nadzieję, że ktoś go rozpozna.

Niestety, nie rozpoznał go Angelo, włamywacz z wiecznie zaciśniętą pięścią, w każdej chwili gotów do walki, jak bokser.

Ani Hektor, członek bandy z wytatuowanymi w kącikach oczu dwiema kroplami łez, które oznaczały, że choć nie skończył jeszcze dwudziestu jeden lat, zabił dwie osoby.

Ani J.T., biały zbir z Westchester, narkoman próbujący po kolei wszystkich możliwych używek.

Ani Jesse, ze Sto Trzydziestej Pierwszej w Harlemie, facet o łagodnych rysach twarzy, z astygmatyzmem w jednym oku i hiszpańską bródką, który znalazł się w Rikers za domniemany napad.

Okazało się, że żaden z siedemdziesięciu dziewięciu więźniów, z którymi rozmawiałem, nie miał mi nic ciekawego do powiedzenia. To było naprawdę deprymujące.

Dopiero osiemdziesiąty więzień, Tremaine, chudy, starszy, może czterdziestoletni, choć wyglądał na pięćdziesiąt, wniósł coś nowego. Po namyśle powiedział, że być może słyszał już ten głos. Nie na pewno — być może.

Wracając z Rikers, zadzwoniłem do Lonniego, prosząc go, żeby porównał odciski palców zabitego porywacza z odciskami zarejestrowanymi we wszystkich miejskich, stanowych i federalnych bazach danych.

Godzinę później na moim biurku rozległ się sygnał faksu. To Lonnie przesyłał rezultaty swoich ustaleń.

Ostrożnie wzięłem kartkę do ręki, starając się nie rozmazać tuszu.

Nie mogłem od niej oderwać oczu i wcale nie chodziło o zdjęcie uśmiechniętego faceta, a raczej o tekst pod zdjęciem.

Zaskoczenie połączone z poczuciem winy ścisnęło mi żołądek.

Nie do wiary, pomyślałem.

Szybko wybrałem numer telefonu Willa Matthews'a.

— Tu Bennett — przedstawiłem się, kiedy podniósł słuchawkę. — Chyba ich mamy.

Rozdział 109

Jechaliśmy drogą Saw Mili Parkway na północ, kiedy na granicy miasta zaczął przószyć śnieg. Kolumna ośmiu samochodów FBI i policji nowojorskiej przejechała nad Harlem River i zbliżała się właśnie do lasu Westchester.

Nie zmierzaliśmy jednak w stronę domu mojej babci. Skręciliśmy na Pleasantville i jechaliśmy dalej, na zachód, w kierunku Hudson. Nad brzegiem rzeki zatrzymaliśmy się przed wysokim, betonowym murem zwieńczonym drutem kolczastym. Na pobliskiej skale znajdowała się wyblakła, ledwie czytelna tablica informacyjna.

ZAKŁAD KARNY SING-SING.

Nie, to nie był domek babci, pomyślałem. To było wielkie gmaszysko.

Okryte złą sławą Sing-Sing.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do muru. Powietrze było dotkliwie zimne. Zdawało się, że ten chłód bije zza złowrogich murów. Zrobiło mi się jeszcze zimniej, kiedy zobaczyłem, jak uzbrojony strażnik na wieży przypominającej miniaturową wieżę lotniska ściągnął okulary przeciwsłoneczne i zaczął mi się przyglądać. Jedyną błyszczącą

rzeczą w promieniu kilometra była lufa M 16 przewieszona przez jego pierś.

Przez cały czas staraliśmy się zamknąć porywaczy w ciupie, tymczasem oni już tam byli, pomyślałem, patrząc na pilnie strzeżone więzienie wznoszące się za wysypanym żwirem parkingiem.

Odciski palców porywacza, który zginął w salonie samochodowym, należały do Jose Alvareza, strażnika więziennego, który jeszcze pół roku temu pracował w Sing-Sing.

Z rozmowy telefonicznej z naczelnikiem dowiedzieliśmy się, że w dniach, kiedy doszło do okupacji katedry, tuzin strażników z nocnej zmiany znalazł się na zwolnieniu lekarskim.

Nagle wszystko zaczęło układać się w jedną całość. Gaz łzawiący, gumowe kule, kajdanki, uliczny slang przeplatany wojskową terminologią. Wyglądało na to, że odpowiedź znajdziemy właśnie tutaj, choć nie udałooby się to bez podejrzeń księdza Solstice'a i dobrej pamięci Tremaine'a Jeffersona, więźnia z Rikers, który wcześniej odsiadywał wyrok w Sing-Sing.

Strażnicy więzienni podobnie jak policjanci potrafili zapamiętać nad tłumem i w razie potrzeby nie zawahaliby się użyć przemocy.

— Jesteś gotowy, Mike? — zapytał Steve Reno idący na czele dziesięcioosobowego pododdziału SWAT.

— Jestem gotowy od tamtego ranka, kiedy pojawiłem się pod katedrą.

Nasi podejrzani znajdowali się w środku, pełnili właśnie służbę. Żeby ich aresztować, musieliśmy wejść do jaskini lwa. I chociaż więzienie jest ostatnim miejscem, gdzie chciałby się znaleźć policjant, ja nie mogłem się doczekać, kiedy wejdę do środka. Szczególnie zależało mi

na spojrzeniu w twarz Jackowi. Wprost kipiałem z wściekłości.

Mimo podmuchów lodowatego wiatru, który osiągał chyba prędkość tysiąca metrów na sekundę, uśmiechnąłem się.

— Spotkajmy się, Jack — powiedziałem do siebie.

Rozdział 110

Aby dotrzeć do głównej bramy, należało przejść wąską kładką dla pieszych. Choć nie było nam to na rękę, musieliśmy przy wejściu oddać broń.

— Strażnicy, którzy mieli zwolnienie lekarskie, zostali już wezwani do pokoju przesłuchań — poinformował nas naczelnik więzienia Clark, kiedy znaleźliśmy się w ponurym korytarzu, nieopodal jego gabinetu.

Schodziliśmy po schodach i wtedy z radiotelefonu naczelnika dobiegł jakiś wrzask.

— Co się stało? — zainteresowałem się.

— Blok A — odpowiedział naczelnik. — Coś się tam dzieje. Jakieś wrzaski i krzyki. Pewnie nic ważnego. Nasi pensjonariusze bez przerwy narzekają na obsługę.

— Jest pan pewien, że wszyscy strażnicy z tamtej zmiany są zgromadzeni w jednym miejscu? — zapytałem, kiedy dotarliśmy do drzwi z metalową siatką wtopioną w szybę.

Naczelnik spojrzął znacząco przez zbrojone szkło na podenerwowanych strażników w mundurach.

— Sądzę, że tak. Chwileczkę. Nie — odparł. — Sierżant Rhodes i sierżant Williams, dowódcy zmiany. Nie ma ich tu. Gdzie oni się, do diabła, podziali?

Dowódcy zmiany, to brzmiało w moich uszach jak „pro-wodyrzy”. Przypomniałem sobie o meldunku radiowym, który przed chwilą odebrał naczelnik.

— Niech zgadnę — odezwałem się. - Dowódcy zmiany urzędują w bloku A?

Clark przytaknął.

— To najpilniej strzeżony budynek w tym więzieniu — dodał.

— Idziemy tam — zakomenderowałem.

Rozdział 111

Podobnie jak w całym dotychczasowym śledztwie, także w Sing-Sing wszystko szło nam, dosłownie i w przenośni, pod górkę. Ruszyłem za naczelnikiem Clarkiem i jego kilkoma zaufanymi strażnikami wysokimi, betonowymi schodami. Minęliśmy kilka korytarzy o odrapanych ścianach, aż dotarliśmy do stalowych drzwi poprzedzonych potężną kratą.

Krata otworzyła się ze zgrzytem, a kiedy weszliśmy do środka, rozległ się metaliczny odgłos zamykających się za nami drzwi.

Czułem w piersiach niemiły ucisk, gdy przemierzaliśmy ogromną halę z mnóstwem cel. Ryczące odbiorniki radiowe i pokrzykiwania więźniów odbijały się bez końca echem od stalowych krat i drzwi. Wszystko to brzmiało niczym odgłosy tortur dochodzące z jakiejś metalowej studni bez dna.

Więźniowie w mijanych przez nas celach podrywali się gwałtownie i obrzucali nas przekleństwami z za podwójnych grubych krat. Tak nas witano w hali, której długość była dwukrotnie większa od boiska piłkarskiego. Spomiędzy gąszczu krat wystawały ramiona z połyskującymi lusterkami. Miałem tylko nadzieję, że nie oberwiemy zrzucaną przez więźniów z góry kompozycją moczu i kału.

— Nim przejdziemy do następnej galerii, sprawdźmy najpierw salę gimnastyczną — próbował przekrzywić har-
mider naczelnik.

Na drugim końcu hali pokonaliśmy kolejne zamknięte drzwi. Przy przyrządach na siłowni nie było nikogo. Podobnie na boisku do koszykówki. Nikt nie ukrywał się za trybunami. Gdzie oni w takim razie byli? Czyżby Jackowi i Małemu Johnowi znów udało się uciec? Jak im się udawało wciąż wyprzedzać nas o krok?

Tym razem ja szedłem na czele naszej grupy wracającej do głównej hali bloku A. Nagle ktoś z tyłu mnie popchnął. Upadłem, asekurując się wyciągniętymi w przód ramionami. Za plecami usłyszałem szcęk zamykanych stalowych drzwi.

Obróciłem się i zobaczyłem dwóch najbardziej zaufanych strażników naczelnika. Stali nade mną z uśmiechem na ustach. Naczelnik, Steve Reno i pozostali policjanci, zamknięci w sali gimnastycznej, zaczęli dobijać się do zamkniętych, ciężkich, metalowych drzwi.

Jeden ze strażników był prawdziwym olbrzymem, drugi był niski i korpulentny. Twoja kolej, profesorze Bennett. Ich wygląd odpowiadał opisowi Jacka i Małego Johna. Więcej, to był Jack i Mały John.

Jack trzymał w ręku czarną pałkę. Obracał nią w palcach. Miał krótko przystryżone brązowe, kręcone włosy i szyderczy uśmieszek przyklejony do twarzy. Prawdziwy zimny drań.

— Cześć, Mikey — odezwał się. — Dawno nie mieliśmy okazji pogadać.

Jak można nie rozpoznać tego głosu? Nic dziwnego, że Tremaine Jefferson zrobił to bez trudu.

— Dlaczego już nie dzwonisz? — dowcipkował Jack. — Myślałem, że jesteśmy kumplami.

— Cześć, Jack — powiedziałem, udając odwagę, której

tak naprawdę teraz mi brakowało. — Dziwne, przez telefon nie dało się odczuć, że jesteś karłem.

Jack zachichotał. Nie tracił rezonu. Nawet jeśli martwi! się, czy nie nadciąga już dla mnie pomoc, nie dał tego po sobie poznać.

— Popełniłeś kolejny błąd, Mike — powiedział. — Tyle że tym razem fatalny w skutkach. Przyszedłeś tu bez zaproszenia. Wydaje ci się, że nie przewidziałem tego, że możesz nas odnaleźć? Psiakrew, nawet zepsuty zegarek dwa razy w ciągu doby wskazuje właściwą godzinę. Myślisz, że to ten bydlak Clark tu rządzi? To jest mój pierdel, moje terytorium i moi ludzie.

— To koniec, Jack — wydusiłem.

— Nie sądzę — odpowiedział. — Pomyśl tylko. Wydostaliśmy się z jednej fortecy, wydostaniemy się z kolejnej. Tym bardziej że mamy zakładników. Wiesz co, Mike, może pozwolę ci negocjować twoje uwolnienie. Co ty na to?

— Świetny pomysł — zgodziłem się, cofając pół kroku. Piętą uderzyłem w płaską, stalową powierzchnię drzwi. Nie było stąd ucieczki.

Ciężki radiotelefon, który dostałem od naczelnika, był jedyną namiastką broni. Uniosłem go, widząc, jak Mały John z odrażającym uśmiechem sięga po pałkę. Ten bydlak miał gębę równie paskudną jak pluskwa.

— Może najpierw o tym porozmawiamy? — zaproponowałem, cofając się. Następnie rzuciłem radiotelefonem. Sądzę, że Roger Clemens byłby ze mnie dumny. Radiotelefon i nos Małego Johna zostały rozbite w tej samej chwili. Strażnik wrzasnął. Podbiegł do mnie razem z Jackiem i obaj podnieśli mnie z podłogi.

— Niegrzeczny chłopczyk! — ryknął mi do ucha Jack i znów wylądowałem na ziemi.

Rozdział 112

Wcześniej wydawało mi się, że więźniowie zachowują się głośno, ale teraz rozumiałem, że była to tylko rozgrzewka. Kiedy próbowałem walczyć z Jackiem i Małym Johnem, z betonowych cel rozlegał się taki jednolity wrzask, jakby w zamkniętym hangarze startował jumbojet. Z górnych cel zaczął spadać deszcz przeróżnych przedmiotów: jakieś płyny, mokre prześcieradła, gazety, rolki płonącego papieru toaletowego.

Pałka Jacka prześlizgnęła się po mojej czaszce. Upadłem na kolana. Na przemian traciłem i odzyskiwałem świadomość. Mały John usiadł mi na piersiach. Nie dość, że nie mogłem się poruszyć, to znów zacząłem tracić przytomność.

Krzyknąłem głośno i z całych sił odepchnąłem się od podłogi.

Pomyślałem o dzieciach. Nie mogłem ich teraz opuścić. Nie mogłem pozwolić, żeby zostały same na świecie. Już się podnosiłem, kiedy Mały John sturlał się ze mnie i zaczął kopać po żebrach.

Znów upadłem bez tchu. Kolejny cios to był kopniak prosto w spłot słoneczny. Pomyślałem z goryczą, że widok

Jacka, zamachującego się na mnie pałką, może być ostatnią rzeczą, jaką przyjdzie mi oglądać.

I wtedy wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego — pomiędzy krat, przy których stał Jack, wysunęło się czyjeś ramię. Było gęsto pokryte tatuażami i tak potężne, że ledwie zmieściło się między prętami. Masywna dłoń zacisnęła się na kołnierzyku munduru Jacka. Jego głowa raz za razem z hukiem uderzała o kraty.

— Jak ci się to podoba, klawiszu? — dopytywał się więzień, rytmicznie tłukąc o pręty czaszką ofiary. — Jak ci się to podoba, cholerny sadysto?

Mały John zostawił mnie w spokoju i ruszył bronić Jacka. Wtedy wreszcie udało mi się stanąć na nogi. Podniosłem z podłogi upuszczoną przez Jacka pałkę.

Minęło sporo czasu od chwili, kiedy z policyjną pałką w rękę przechadzałem się po południowym Bronksie. W zimne noce z nudów wymachiwałem nią na wszystkie strony tak szybko, że aż świstała w powietrzu.

To jak z jazdą na rowerze, nie zapomina się dawnych umiejętności. Teraz też dał się słyszeć świst i lewe kolano Małego Johna było roztrzaskane.

Musiałem się szybko cofnąć, bo olbrzym najpierw zawył przeraźliwie, a potem, skacząc na jednej nodze, próbował mnie dopaść. W szeroko otwartych oczach widać było oznaki wściekłości, ze skrzywionych z bólu warg tryskała ślina.

Zamachnąłem się jeszcze raz, mierząc w jego szczękę. Uchylił się, ale zrobił to zbyt wolno. Drewniana pałka złamała się na jego skroni. Mały John runął na ziemię o ułamek sekundy wcześniej, niż rozłupana na dwoje pałka.

Więźniowie wykrzykiwali jakieś okrutne życzenia, kiedy krążyłem wokół zakrwawionego, nieprzytomnego wielkoluda. Zbliżyłem się do Jacka, którego w tej chwili dusił obiema rękami więzień. Twarz Jacka zsiniała.

Podniosłem z podłogi drugą pałkę, gotowy w każdej chwili zadać cios.

— Zabij, zabij, zabij, zabij! — ryczeli więźniowie jednym głosem.

Muszę przyznać, że propozycja była kusząca. Mocniej zacisnąłem dłoń na pałce.

Ale nie uderzyłem Jacka.

Uderzyłem w wytatuowaną rękę więźnia, która niedługo pozbawiłaby Jacka życia. Więzień zaskowyczał i puścił strażnika, który padł nieprzytomny na podłogę.

— Coś ty zrobił, bracie? — zawołał zbolałym głosem muskularny więzień, rozmasowując obolałą rękę.

— Przykro mi, stary — odezwałem się, ciągnąc Jacka w stronę drzwi prowadzących do sali gimnastycznej. — Nie mógłbym przecież aresztować trupa.

Ale mogłem mu sprzedać porządnego kopniaka prosto w zęby. Taki ze mnie gość.

I tak zrobiłem. Kopnąłem mocno, tylko raz. Więźniowie oszaleli ze szczęścia.

Rozdział 113

Oczywiście to wszystko nie było takie proste.

Dwaj dowódcy zmiany, Rhodes i Williams, zostali znalezieni z kajdankami na rękach w jednej z cel bloku A.

Okazało się, że Jack i Mały John, którzy w rzeczywistości nazywali się Rocco Milton i Kenny Robard, jako inspektorzy zmiany wcześniej dowiedzieli się o naszym przybyciu. Przekonali naczelnika, że choć również korzystali ze zwolnienia lekarskiego, to nie mieli nic wspólnego z atakiem na katedrę Świętego Patryka. Potem zasadzili się na dwóch dowódców zmiany i ukryli ich w jednej z cel, żeby rzucić na nich podejrzenia i wywabić nas do bloku A. Jak powiedział nam naczelnik, Milton i Robard mieli wśród więźniów wielu znajomych, nie wiadomo więc, jakby się cała historia mogła zakończyć. Być może doszłoby do zamieszek, przetrzymywania zakładników, masowej ucieczki.

Na parkingu przed więzieniem pouczyłem Rocco Milтона o przysługujących mu prawach. Dla własnej satysfakcji zrobiłem to na oczach Steve'a Reno i jego ludzi, a potem otworzyłem drzwi samochodu i wepchnąłem Jacka do środka.

Reno wsiadł do furgonetki wypełnionej pozostałymi porywaczami. Kenny Robard został odwieziony do szpitala z po-

dejzeniem pęknięcia czaszki. Miałem nadzieję, że kierowca karetki wybierze najdłuższą możliwą drogę do szpitala.

Przez chwilę stałem nieruchomo, zastanawiając się, jak rozegrać tę batalię. W końcu sięgnąłem do bagażnika po pewien przedmiot, usiadłem za kierownicą i ruszyłem w stronę Nowego Jorku.

Może zabrzmiałoby to zabawnie, ale wielu podejrzanych wprost pali się do tego, żeby opowiedzieć, co zrobili. A im bardziej są zadufani, tym więcej im się przypomina szczegółów. Miałem nieodparte wrażenie, że Jack jest z siebie bardzo dumny.

Przez pierwszą część podróży milczałem, pozwalając, by narastała w nim złość.

— Wygodnie ci tam z tyłu? — to było jedyne wypowiedziane przeze mnie zdanie. — Temperatura w porządku?

W końcu Jack nie wytrzymał.

— Wiesz, że latem dziewięćdziesiątego piątego, w Rikers, więźniowie wzięli jako zakładników czterech strażników? Słyszałeś o tym, Bennett?

Zerknąłem na niego przez rozdzielającą nas siatkę.

— Naprawdę?

— Tylko dwóch z nas ocalało.

— Ty i Mały John? — zapytałem.

— Wystarczy powiedzieć, że nikt nie zawracał sobie głowy kilkoma klawiszami, szczególnie burmistrz.

— To dlatego go zabiliście? Dlatego był torturowany? Dlatego przypalaliście go papierosami?

Jack powolnym ruchem podrapał się po policzku.

— Niech to zostanie między nami — zaproponował.

— W porządku — odpowiedziałem z uśmiechem.

— Musisz mi uwierzyć. Te bydlaki, które podniosły na nas rękę, oślepiły jednego z moich kumpli nożem do masła, a mnie przypalali ręce papierosami. Jego wysokość pan

burmistrz uznał, że nie będzie negocjował ze zbuntowanymi więźniami. Rozumiesz, są równi i równiejsi. Zabawne. Nie widziałem burmistrza na pogrzebie mojego kumpla. Trzeba być dzielnym strażakiem albo gliniarzem jak ty, żeby zasłużyć sobie na szczególne traktowanie.

Obojętnie skinąłem głową. Chciałem, żeby Jack mówił dalej.

— Kiedy miasto po raz trzeci odrzuciło moją skargę na stan zdrowia po przeżytym stresie, przestałem mieć jakiegokolwiek skrupuły. Postanowiłem zrobić jakiś wielki skok. Pomysł z katedrą Świętego Patryka przyszedł mi do głowy, kiedy dorabiałem jako ochroniarz na pogrzebie poprzedniego kardynała. Na początku myślałem, że to niewykonalne. Rozumiesz, Secret Service, ochrona i tak dalej. Tymczasem okazało się, że wszyscy ci dzielni agenci mają głęboko w nosie całą uroczystość i nie zachowują czujności.

— A pozostali porywacze? Twoi pomocnicy? Jak ich do tego namówiłeś?

— Jak namówiłem? Nie wiem, jak to jest z wami, gliniarzami, ale bycie klawiszem daje się we znaki. Siedzimy cały czas w pierdłu, chociaż nic nie przeskrobaliśmy. Dodaj do tego gównianą pensję, statystykę rozwodów i samobójstw, upierdliwych szefów i oto masz obraz szczęśliwego klawiszka. Rzucił ci ktoś kiedykolwiek gównem w twarz? Wierz mi, to nie poprawia samopoczucia.

— Serce się kraje — powiedziałem. — Ale żeby zabijać Pierwszą Damę, burmistrza, księdza i Johna Rooneya tylko dlatego, że masz stresującą pracę? Sędzia tego nie kupi.

Jack wydawał się mnie nie słuchać. Wpatrywał się w krajobrazy za szybą. Zachodzące słońce prześwitywało pomiędzy bezlistnymi gałęziami drzew, tworząc na asfalcie kod kreskowy ze światła i cienia.

— Zrobiliśmy to dla siebie nawzajem — odezwał się

cicho. — No dalej, zamknij nas z powrotem w więzieniu. To nie ma znaczenia. Spędziłem w nim ostatnie piętnaście lat. Klawisze wiodą życie więźniów, tyle że na ośmiogodzinnych zmianach.

— Jeżeli tak się martwisz o swój tryb życia, to mam dla ciebie dobrą wiadomość — powiedziałem, wyłączając ukryty w kieszeni kurtki dyktafon. — Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś dostał czapę, Jack.

Rozdział 114

Była ósma i dawno już zapadł zmrok, kiedy zatrzymałem się przed domem na Delafield Avenue w eleganckiej części Bronksu, zaledwie kilka przecznic od Manhattan College, gdzie uczono mnie wysnuwania wniosków, analizy i w ogóle bycia lepszym człowiekiem.

Pięć minut wcześniej skończyliśmy uzgadniać nasz plan w punkcie zbornym na parkingu przed Food Emporium dwie przecznice stąd.

Steve Reno i jego chłopcy zajęli już swoje stanowiska. Dom był otoczony, w środku miał założony podsłuch i kamerę.

Nadeszła pora zajęcia się najbardziej śmierdzącym, zgnitym jajem.

Wtyczką w naszych szeregach. Człowiekiem, którego Jack nazywał Czyścioszkiem.

Z raportu snajpera, który przycupnął przy ścianie z tyłu domu, wynikało, że nasz podejrzany jest teraz na parterze i kończy jeść kolację z rodziną.

Żeberka w ciemnym sosie pieczeniowym, puree ziemniaczane i szparagi — donosił snajper.

— Z południa nadjeżdża jakiś samochód — przekazałem

przez radio, kiedy minął mnie niebieski lincoln. Zwolnił przed domem podejrzanego i wtedy na jego bocznej szybie zobaczyłem plakietkę taksówki lotniskowej.

— Wygląda na to, że po naszego przyjaciela przyjechała podwoda — powiedziałem. — Gdzie on teraz jest?

— Poszedł na piętro — odpowiedział snajper.

— Co tam robi?

— Myje ręce — odparł po chwili snajper. — W porządku. Skończył. Idzie na dół.

— Uważaj, Steve — rzuciłem do mikrofonu. — Wchodzę. — Wysiadłem z samochodu. Powinno pójść gładko. Taką miałem nadzieję.

— Złap sobie inny kurs — zwróciłem się do taksówkarza, pokazując odznakę. — Jego lot został odwołany.

Zadzwoiłem do drzwi i przykucnąłem za starannie przystrzyżonym żywołotem. Obok drzwi, w ścianie, znajdowało się małe okienko, przez które widziałem, jak wprawnymi ruchami kobieta i trójka dzieci sprzątaję ze stołu naczynia.

Najwyraźniej kochany tatuś nie zamierzał ich zabierać ze sobą na Kostarykę. Przy oknie pojawiła się jakaś postać. Wyjąłem z kabury swojego glocka. Drzwi wejściowe otworzyły się powoli. W progu mocował się z nieporęczną torbą podróżną i walizką Paul Martelli. Zrobił zaskoczoną minę, widząc, że taksówka, która miała zawieźć go na lotnisko, odjeżdża w siną dal. Wyłoniłem się zza żywołotu.

— Cześć Paul, jak się masz? — przywitałem go. — Miło cię widzieć. Rozmawiałem właśnie z twoim kumpłem, Jackiem. Przesyła ci pozdrowienia.

W oczach negocjatora FBI zobaczyłem strach. Zaczęła mu drżeć prawa ręka, w której trzymał walizkę, ręka, która znajdowała się najbliższej schowanego w kaburze pistoletu.

Pokazałem trzymanego przeze mnie glocka. W tej samej chwili na jego piersi pojawiły się, niczym eskadra rozwścieczonych pszczół, trzy czerwone plamki celowników laserowych.

— Próba sięgnięcia po broń jest kiepskim pomysłem, Paul — dodałem. — Ale jeśli chcesz, spróbuj. No, dalej, Czyścioszku.

Rozdział 115

— Żą-żą-żą-dam adwokata —jąkał się pół godziny później Paul Martelli przykuty kajdankami do nogi mojego biurka.

Spokojną, rozsądną postawę, jaką prezentował pod katedrą Świętego Patryka, diabli wzięli. Drżały mu ręce, pod pachami, na niebieskiej, wymiętej koszuli pojawiły się plamy potu. W korytarzu czekała już cała armia agentów federalnych, gotowa rzucić się na niego, kiedy tylko skończę przesłuchanie.

Chciałem, żeby wyjaśnił mi jedną sprawę.

Jack już opowiedział mi, jak to się stało, że zaprzyjaźnił się z Martellim tuż po wydarzeniach w więzieniu Rikers. Jak porozumieli się, że jednakowo gardzą obowiązującym systemem.

Przez cały czas okupacji katedry Martelli był wtyczką w naszych szeregach. Działał po mistrzowsku, stojąc z boku i manipulując nami. Doskonale wiedział, jak będą wyglądały nasze kolejne posunięcia, w końcu napisał książkę o technice negocjacji.

— Chyba nie muszę ci tłumaczyć jak wygląda procedura, prawda, Paul? Ocalić was może tylko współpraca z nami — tłumaczyłem mu. — Wprawdzie muzyka jeszcze gra, ale prawie wszystkie miejsca są już zajęte.

Martelli siedział, mrugał oczami i niemiłosiernie się pociał. Bez trudu mogłem zgadnąć, jakie myśli kłębią mu się w tej chwili pod czaszką. Prawe kolano zaczęło mu podrygiwać nerwowo.

Powiem wszystko, co chcesz, ale pod jednym warunkiem — odparł.

— Jakim?

— Tu jest cholernie brudno — pozałił się. — Potrzebne mi są wilgotne chusteczki. Denerwuję się, Mike.

— Jak zginęła Pierwsza Dama? — zapytałem, wręczając mu paczkę chusteczek o zapachu cytryny, które trzymałem w szufladzie biurka. Martelli starannie, w milczeniu przecierał twarz i ręce. To go wyraźnie uspokoiło.

— To Alvarez — odpowiedział w końcu.

— Jose Alvarez? — zapytałem. — Ten, który zginął w salonie samochodowym podczas ucieczki?

— Jego kuzyn, Julio — poprawił mnie Martelli. — To była ciężka sprawa — ciągnął, patrząc na tylną ścianę monitora na moim biurku. — Żeby w katedrze odbył się uroczysty państwowy pogrzeb, musiał zginąć ktoś ważny. Na dodatek musiało to wyglądać na wypadek. Przez kilka miesięcy szukałem odpowiedniej ofiary. Dopiero kiedy przeczytałem o alergii, na którą cierpiała Pierwsza Dama i o zwyczaju prezydenckiej pary spędzania raz do roku wieczoru na kolacji w L'Arene, problem się rozwiązał. Skrzyknęliśmy się i zawarliśmy pakt. Julio rzucił pracę strażnika więziennego i zatrudnił się jako pomocnik kucharza w L'Arene. Przed podaniem gęsich wątróbek skropił je w kuchni olejem arachidowym.

— Więc chodziło wam tylko o pieniądze? — zapytałem agenta FBI.

— Nie wszyscy są takimi harcerzykami jak ty — odpowiedział, po raz pierwszy patrząc mi prosto w oczy. —

Oczywiście, że chodziło o forszę. Zapytaj któregoś z tych dupków, których porwaliśmy. Oni ci powiedzą. Światem rządzi pieniądz, Mike.

Z niesmakiem odwróciłem od niego wzrok. W czasie akcji zginął młody agent FBI, ojciec dwójki małych dzieci, ale to Martelliego nie obchodziło.

Dopiero, kiedy podszedłem do drzwi i w pokoju zaroilo się od agentów FBI, w oczach Martelliego pojawiły się oznaki paniki.

— Nie masz jeszcze paczki chusteczek, Mike? Dałbyś mi na drogę — poprosił.

Otworzyłem szufladę biurka, ale po namyśle zamknąłem ją.

— Niestety, już nie mam.

Epilog

Święci

Rozdział 116

Pogoda była wietrzna i mroźna, ale pięknie świeciło słońce, kiedy w sobotni poranek, tydzień później, rodzina Bennettów przekraczała kamienną bramę wejściową do Riverside Park. Przez nagie gałęzie drzew widzieliśmy Hudson River, naszą rzekę, jak nazywała ją Maeve. Wyglądała teraz jak nieruchoma tafla płynnego srebra.

Bez trudu odnalazłem słupek owinięty pomarańczową taśmą. Trzy miesiące temu umieściliśmy go razem z moją ukochaną żoną na krańcu ciągnącego się aż do brzegu rzeki trawnika.

Położyłem na trawie przyniesioną ze sobą sadzonkę dębu. Spojrzałem na najstarszego syna. Brian skinął głową i wbił łopatę w ziemię.

Pracowaliśmy na zmianę. Musiałem pomóc Shawnie i Chrissy, ale Trent radził już sobie samodzielnie. Włożyłem sadzonkę do wykopanego przez nas dołka. Przyklęknałem i gołymi rękami zacząłem zasypywać otwór. Zaraz znalazło się więcej rąk do pomocy. Wszyscy byliśmy umorusani ziemią.

Wstałem i w milczeniu zacząłem wpatrywać się w młode drzewko. Zimny, wilgotny wiatr smagał moje brudne ręce. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem było leniwe perkotanie płynącego na północ holownika.

Przypominałem sobie zachód słońca, kiedy ubiegłego lata urządziliśmy sobie w tym miejscu piknik. To była ostatnia chwila, kiedy wszystko było jeszcze w porządku. Dzieci łąpały robaczki świętojańskie, ja siedziałem z policzkiem opartym o ramię Maeve, a niebo zaczynało się złościć. Choć teraz stałem samotnie, czułem obecność Maeve, tak jak czuje się amputowaną kończynę, fantomowy ból w sercu.

— Mama tu jest z nami — odezwała się w końcu Chrissy, poklepując delikatnie smukły pień drzewka. — Prawda, tato?

— Tak, Chrissy — odparłem, unosząc ją w ramionach i sadzając na barana. — Odkąd byłaś maleńka, to było ulubione miejsce mamy, tu zabierała was na spacer. Powiedziała mi, że jeśli zechcecie o niej pomyśleć albo z nią porozmawiać, wystarczy, że tu przyjdziecie, albo spojrzycie na to miejsce z okna naszego mieszkania.

Chwyciłem Julię i Bridget za ręce i utworzyliśmy wszyscy krąg wokół drzewa. Przypomniłem sobie o kolczyku, który nosiłem w uchu i obiecałem sobie, że nie zdejmę go już nigdy, niezależnie od mojego wieku i panującej mody.

— Mama zgromadziła nas wszystkich razem — powiedziałem, patrząc na twarze dzieci — i dopóki trzymamy się razem, ona jest z nami.

Kiedy wracaliśmy, bardziej poczułem niż usłyszałem, że Chrissy płacze. Zdjąłem ją z ramion, postawiłem na ziemi i mocno przytuliłem.

— Co się stało, kochanie?

— Mały ćwirek tęskni za mamą ćwirkiem. Tak bardzo, tak bardzo...

— Wiem — powiedziałem, próbując wytrzeć jednocześnie jej łzy i swoje. Wzmógł się wiatr i utworzył na naszych mokrych policzkach soplek lodu.

— Tata ćwirek też tęskni — szepnąłem.

Spis treści

| | |
|-----------------------------|-----|
| Prolog | |
| Ostatnia wieczerza..... | 11 |
| Część pierwsza | |
| Dziesięciu wspaniałych..... | 23 |
| Część druga | |
| Grzesznicy | 71 |
| Epilog | |
| Święci | 331 |